

BRUTALNIE SZCZERA OPowieŚĆ
O NASTOLATKACH I PRZYJAŹNI,
KTÓRA POZWALA PRZETRWAĆ.

J E F F Z E N T N E R

KRÓL WĘŻY



J E F F Z E N T N E R

K R Ó . L W Ę Ż Y

Przełożyła Zuzanna Byczek



Jaguar

Tytuł oryginału: *The Serpent King*

Redakcja: Justyna Czebanyk

Korekta: Elżbieta Śmigielska

Skład i łamanie: Ekart

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Zdjęcia na okładce:

Copyright © David Lees/Taxi/Getty Images

Copyright © Roc Canals Photography/Moment Select/Getty Images

Copyright © Panoramic Images/Getty Images

Copyright © Rasstock/ Shutterstock

Copyright © wong yu liang/ Shutterstock

Copyright © 2016 by Jeff Zentner

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-581-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

1. Dill

2. Lydia

3. Dill

4. Travis

5. Dill

6. Lydia

7. Dill

8. Travis

9. Dill

10. Lydia

11. Dill

12. Travis

13. Dill

14. Lydia

15. Dill

16. Travis

17. Dill

18. Lydia

19. Dill

20. Travis

21. Dill

22. Lydia

23. Dill

24. Travis

25. Dill

26. Lydia

27. Dill

28. Travis

29. Dill

30. Lydia

31. Dill

32. Lydia

33. Dill

34. Lydia

35. Dill

36. Lydia

37. Dill

38. Lydia

39. Dill

40. Lydia

41. Dill

42. Lydia

43. Dill

44. Lydia

45. Dill

46. Lydia

47. Dill

48. Lydia

49. Dill

50. Lydia

[51. Dill](#)

[52. Lydia](#)

[53. Dill](#)

[Podziękowania](#)

[O autorze](#)

[Przypisy](#)

*Dla Tennessee Luke'a Zentnera,
mojego wspaniałego syna.
Mojego serca.*

1

Dill

I stniały rzeczy, których Dillard Wayne Early Junior bał się bardziej niż rozpoczęcia szkoły w liceum Forrestville High. Niewiele, ale jednak. Na przykład myślenie o przyszłości. Dill nie lubił tego ani trochę. Nie lubił też rozmawiać z matką na temat religii. Nigdy nie czuł się ani szczęśliwy, ani zbawiony. Nie cierpiał też tego błysku rozpoznania, który przemykał po twarzach ludzi na dźwięk jego nazwiska. Następująca później rozmowa też raczej rzadko sprawiała mu przyjemność.

I szczerze nie lubił odwiedzać swego ojca pastora Dillarda Early'ego Seniora w więzieniu Riverbend. Tym razem celem jego wyprawy do Nashville nie była wizyta u ojca, lecz przez cały czas towarzyszyło mu dręczące poczucie niesprecyzowanego lęku. Nie rozumiał, o co chodzi. Możliwe, że lęk wywoływała perspektywa rozpoczęcia roku szkolnego, jednakże Dill odczuwał go jakoś inaczej niż w latach ubiegłych. Lęk byłby znacznie większy, gdyby nie perspektywa spotkania z Lydią. Najgorsze dni w jej towarzystwie były i tak lepsze niż najlepsze dni bez niej.

Dill przerwał brzdąkanie na gitarze, pochylił się i zaczął pisać w leżącym przed nim na podłodze tanim zeszytce z dyskontu. Rozpadający się wentylator zawył, przegrywając bitwę z duchotą panującą w pokoju.

Uwagę Dilla przyciągnął przebijający się przez szum pracującego wentylatora dźwięk osy obijającej się o szybę. Podniósł się ze zniszczonej sofy i podszedł do okna, po czym walnął w nie kilka razy, aż otworzyło się z piskiem.

Dill przegonił osę w stronę szpary.

– Nie chcesz tu zostać – mruknął. – Ten dom nie jest dobrym miejscem do umierania. No już. Zmykaj.

Osa przysiadła na parapecie, jeszcze raz rozejrzała się dokoła i pofrunęła na wolność. Dill zatrzasnął okno, niemal wieszając się na nim, by zechciało się zamknąć.

Do pokoju weszła matka ubrana w uniform pokojówki z motelu. Wyglądała na zmęczoną. Zresztą zawsze wyglądała na zmęczoną, a przez to na starszą niż swoje trzydzieści pięć lat.

– Otwarte okno i włączona klimatyzacja? Co ty sobie myślisz? Prąd nie jest za darmo.

Dill odwrócił się w jej stronę.

– Osa.

– Czemu ubrałaś się do wyjścia? Dokądś się wybierasz?

– Do Nashville. – *Proszę, nie zadawaj tego pytania, które zamierzasz zadać.*

– W odwiedziny do ojca? – Jej głos był pełen nadziei i pretensji zarazem.

– Nie. – Dill odwrócił wzrok.

Matka podeszła bliżej, szukając jego spojrzenia.

– Dlaczego nie?

Dill wciąż unikał jej wzroku.

– Dlatego. Nie po to tam jedziemy.

– Jacy „my”?

– Ja. Lydia. Travis. Jak zwykle.

Podparła się jedną ręką pod bok.

– W takim razie po co tam jedziesz?

– Po ubrania do szkoły.

– Twoje ubrania są w porządku.

– Nieprawda. Robią się za małe. – Dill uniósł chude ramiona. T-shirt podjechał do góry, ukazując płaski brzuch.

– Za co niby chcesz je kupić? – Brwi matki, i tak zmarszczone mocniej niż u większości kobiet w jej wieku, ściągnęły się jeszcze bardziej.

– Za napiwki z noszenia ludziom zakupów do samochodu.

– Darmowy przejazd do Nashville. Powinieneś odwiedzić ojca.

Chcesz powiedzieć: odwiedź ojca albo pożałujesz. Dill wojowniczo uniósł podbródek i spojrzał na matkę.

– Nie chcę. Nie cierpię tego miejsca.

Splotła ramiona na piersi.

– Z założenia ma być nieprzyjemne. To więzienie. Myślisz, że jemu się tam

podoba?

Pewnie bardziej niż mnie. Dill wzruszył ramionami i znów popatrzył za okno.

– Wątpię.

– Nie proszę o wiele, Dillard. Byłoby mi miło. I jemu też.

Dill westchnął, ale nic nie odpowiedział. *Prosisz o bardzo wiele, niby o nic nie prosząc.*

– Jesteś mu to winien. Tylko ty masz dosyć wolnego czasu.

Wiedział, że matka będzie mu suszyć głowę. Jeśli nie odwiedzi ojca, będzie cierpiał znacznie dłużej, niż jeśli od razu się podda. Uczucie lęku w żołądku przybrało na sile.

Matka już zamierzała wymusić na nim bardziej konkretną deklarację, ale w tym momencie na drodze do ich domu pojawiła się oklejona znaczkami toyota prius, by po chwili zatrzymać się przy wtórze pisku opon i dźwięku klaksonu. *Dzięki Ci, Boże.*

– Muszę lecieć – powiedział Dill. – Miłej pracy. – Uściskał matkę na pożegnanie.

– Dillard.

Szybko wypadł za drzwi, nie dając jej szansy. Kiedy przysłaniając oczy wyszedł na zalane jaskrawym słońcem podwórze, poczuł się, jakby ktoś włożył mu na barki wielki ciężar. Była dopiero dziewiąta trzydzieści, a wilgotne i parne powietrze już atakowało z całych sił – jakby ktoś owinął mu gorący, mokry ręcznik wokół twarzy. Spojrzał na biały obłazący budynek Kalwaryjskiego Kościoła Baptistów. Z przyzwyczajenia zmrużył oczy, by przeczytać napis. BEZ JEZUSA NIE ZAZNASZ SPOKOJU. POZNAJ JEZUSA, ZAZNASZ SPOKOJU.

A jeśli ktoś zna Jezusa, lecz nie może zaznać spokoju? Czy to znaczy, że napis jest błędny, czy też znaczy to, że ten ktoś nie zna Jezusa tak dobrze, jak mu się wydaje? Dill przypuszczał, że z obu tych stwierdzeń można wyciągnąć tylko niezbyt zadowalające wnioski.

Otworzył drzwiczki i wsiadł. Pory na jego ciele natychmiast skurczyły się w lodowatym powietrzu z klimatyzacji.

– Hej, Lydio.

Prędko chwyciła z siedzenia zniszczony egzemplarz *Tajemnej historii* i rzuciła go na tył.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nieprawda.

– Pewnie, że nie. Ale muszę udawać. Normy, umowa społeczna i tak dalej.

Można było regulować według Lydii zegarki, zawsze spóźniała się dokładnie dwadzieścia minut. I nie dało się jej oszukać, umawiając się dwadzieścia minut przed godziną, o której rzeczywiście chciało się umówić. W rezultacie spóźniała się czterdzieści minut. Miała szósty zmysł.

Lydia przechyliła się i uściskała Dilla.

– Tak wcześnie, a ty już spocony. Chłopcy są wstrętni.

Czarne oprawki jej okularów otarły się o jego kość policzkową. Zmierzwione szaroniebieskie włosy – w kolorze listopadowego nieba zaciągniętego chmurami – pachniały miodem, figą i wetiwerią. Wciągnął zapach w nozdrza. Przyjemnie zakręciło mu się w głowie. Na wyprawę do Nashville włożyła vintage’ową bluzkę bez rękawów z kraciastej czerwonej bawełny, dżinsowe szorty z podwyższonym stanem i kowbojki. Uwielbiał jej styl – we wszystkich odmianach i odsłonach, a było ich naprawdę wiele.

Zapiął pas, dosłownie na sekundę zanim przyspieszyła tak, że wcisnęło go w fotel.

– Wybacz. Nie dysponuję klimatyzacją, która mogłaby zmienić sierpień w grudzień. – Czasem przez wiele dni z rzędu nie miał okazji poczuć powietrza tak chłodnego jak w samochodzie Lydii, nie licząc chwil, gdy otwierał lodówkę.

Sięgnęła do przodu i nieco przykręciła klimatyzację.

– Uważam, że mój samochód powinien walczyć z globalnym ociepleniem na wszelkie możliwe sposoby.

Dill skierował wylot klimatyzatora na swoją twarz.

– Zastanawiałaś się kiedyś, jakie to dziwne, że Ziemia krąży w czarnej pustce kosmosu, gdzie panuje temperatura wynosząca jakieś tysiąc stopni¹ poniżej zera, a my tu na dole się pocimy?

– Często zastanawiam się, jakie to dziwne, że Ziemia krąży w czarnej pustce kosmosu, a tu na dole żyje sobie taki świr jak ty.

– A dokąd się wybieramy? Opry Mills Mall czy jak?

Lydia rzuciła mu mordercze spojrzenie, po czym znów utkwiała wzrok w drodze, jednocześnie wyciągając rękę w jego stronę.

– Przepraszam, wydawało mi się, że przyjaźnimy się od dziewiątej klasy, a jednak wszystko wskazuje na to, że wcześniej się nie spotkaliśmy. Lydia Blankenship. Z kim mam przyjemność?

Dill skorzystał z okazji, by dotknąć jej dłoni.

– Dillard Early. Być może słyszałaś o moim ojcu, nosi to samo nazwisko.

To był wielki skandal w Forrestville w Tennessee, kiedy pastor Early z Kościoła Uczniów Chrystusa z Widocznymi Znakami trafił do więzienia stanowego – i bynajmniej nie z powodów, których można by się spodziewać. Wszyscy przypuszczali, że któregoś dnia wpadnie w kłopoty w związku z węzami, grzechotnikami i mokasynami w liczbie dwudziestu siedmiu, które każdej niedzieli poskramiała jego kongregacja. Nikt nie wiedział dokładnie, jakie łamią prawo, ale owe wyczyny wydawały się w jakiś sposób niewątpliwie bezprawne. I rzeczywiście, po jego aresztowaniu stanowy Wydział Ochrony Przyrody skonfiskował węże. Ludzie zapewne przypuszczali również, że pastor wejdzie w konflikt z prawem za nakłanianie swego stadka do picia rozwodnionego kwasu akumulatorowego i strychniny, co stanowiło kolejną ulubioną praktykę religijną. Ale nie, pastor trafił do więzienia Riverbend za truciznę zupełnie innego rodzaju: mianowicie za posiadanie ponad stu zdjęć przedstawiających nieletnich w jednoznacznie erotycznych sytuacjach.

Lydia przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy.

– Dillard Early, hę? Coś mi to mówi. Ale nieważne, będziemy jechać półtorej godziny do Nashville po to tylko, by pójść do Opry Mills Mall i kupić ci takie same szmaty, jakie założył na rozpoczęcie roku Tyson Reed, Logan Walker, Hunter Henry i ich koszarne dziewczyny.

– Zadałem proste pytanie.

Uniosła palec.

– Głupie pytanie.

– Dziękuję.

Oczy Dilla spoczęły na dłoniach Lydii trzymających kierownicę. Były smukłe, o długich zgrabnych palcach zakończonych pomalowanymi na jaskrawą czerwień paznokciami i ozdobionych całym mnóstwem pierścionków. Jej palce były niebywałe, wręcz agresywnie piękne. Dill uwielbiał patrzeć, jak prowadzi samochód. Jak pisze na klawiaturze. Jak robi cokolwiek rękami.

– Zadzwoiłaś do Trávisa, żeby uprzedzić, że się spóznisz?

– A czy do ciebie zadzwoniłam, żeby uprzedzić, że się spóźnię? – Wzięła prędko zakręt, z piskiem opon.

– Nie.

– Myślisz, że to będzie dla niego niespodzianka?

– Nie-e.

Sierpniowe powietrze było jak parna maligna. Już było słychać te owady – Dill nie miał pojęcia, jak się nazywają – te, które w upalne poranki wydają taki pulsujący grzechotliwy dźwięk, zapowiadając, że w ciągu dnia zrobi się jeszcze goręcej. Nie cykady, chyba nie. Grzechotki. Nazwa dobra jak każda inna.

– Jaki mam dzisiaj limit? – spytała Lydia. Dill posłał jej pytające spojrzenie. Uniosła rękę i potarła palcami. – Dalej, gościu, dawaj, co tam masz.

– Aaa. Pięćdziesiąt dolców. Dasz radę?

Prychnęła.

– Oczywiście, że dam radę.

– Dobra, tylko nic cudacznego.

Lydia znów wyciągnęła rękę w jego stronę – tym razem mocniejszym ruchem, jak karateka rozwalający deskę.

– Nie no, *poważnie*. Czy my się znamy? Powtórzysz nazwisko?

Dill znowu chwycił jej dłoń. Każdy pretekst dobry.

– Jesteś dzisiaj w świetnym humorze.

– Jestem w humorze na drobną premię. Niewielką. Nie rozpieszczaj mnie za bardzo.

– Gdzie bym śmiał.

– Czy w ciągu tych dwóch lat, kiedy jeździmy razem na zakupy, kiedykolwiek ubrałam cię w coś cudacznego?

– Nie. Znacząco dostawało mi się za ciuchy, ale na pewno i tak by mi się dostało, niezależnie od tego, co bym włożył.

– Właśnie. Ponieważ uczęszczasz do szkoły z ludźmi, którzy nie poznaliby się na świetnym stylu, nawet gdyby ugryzł ich w dupę. Mam pewną wizję. Tradycyjny rustykalny styl dawnej Ameryki. Kowbojskie koszule z perłowymi zatraskami. Dżinsy. Klasyczne męskie ikoniczne linie. Podczas gdy wszyscy w Forrestville High rozpaczliwie próbują wyglądać tak, jakby nie mieszkali w Forrestville, my zaakceptujemy i wykorzystamy nasze wiejskie południowe korzenie, konsekwentnie rozwijając styl w duchu: Townes Van Zandt z lat siedemdziesiątych skrzyżowany z Ryanem Adamsem z czasów, gdy grał z Whiskeytown.

– Wszystko zaplanowałam. – Dill ucieszył się, że Lydia o nim myślała.

Nawet jeśli odgrywał w jej myślach jedynie rolę lepszej wersji manekina.

– A czego się spodziewałeś?

Dill wciągnął w nozdrza zapach samochodu. Waniliowy odświeżacz powietrza, frytki, balsam o zapachu jaśminu, pomarańczy i imbiru, rozgrzany makijaż. Byli już blisko domu Trávisa. Mieszkał niedaleko Dilla. Na skrzyżowaniu Lydia zatrzymała samochód, zrobiła selfie komórką i podała ją Dillovi.

– Zrób ze swojego miejsca.

– Jesteś pewna? Twoi fani mogą pomyśleć, że masz przyjaciół.

– Bardzo śmieszne. Strzelaj, a ja będę martwić się resztą.

Minęli jeszcze kilka przecznic i zajechali przed dom Bohannonów. Był biały i zniszczony, miał stary blaszany dach, a przed frontowymi drzwiami leżał stos drewna. Ojciec Trávisa męczył się na żwirowym podjeździe, wymieniając świece przy pickupie, na którym widniała z boku odrysowana od szablonu nazwa rodzinnej firmy *Bohannon Lumber*. Rzucił im przelotne spojrzenie, przytknął złożone dłonie do ust i wrzasnął:

– Travis, masz gości. – Oszczędził tym samym Lydii trąbienia klaksonem.

– Papa Bohannon chyba też jest w świetnym humorze – zauważyła Lydia.

– Z tego, co mówi Travis, papa Bohannon zawsze jest w humorze. Inaczej określa się ten stan mianem bycia totalnym palantem i jest on nieuleczalny.

Po chwili z domu wyszedł Travis. Znaczy, wyczłapał czy jakoś tak – stosownie byłyby wszelkie określenia odnoszące się do niedźwiedzi – w całej krasie, liczącej sześć stóp i sześć cali wzrostu oraz dwieście pięćdziesiąt funtów wagi². Jego kosmate, kręcone rude włosy i kępkowata nastoletnia broda były mokre po prysznicu. Miał na sobie swoje charakterystyczne wysokie czarne buty robocze, czarne wranglery i workowatą czarną koszulę zapiętą na wszystkie guziki. Na jego szyi wisiał naszyjnik, tandetny cynowy smok trzymający w pysku purpurową kryształową kulę – pamiątka z Festiwalu Renesansu. Travis zawsze go nosił. W rękę trzymał któryś z tomów serii *Bloodfall*, tanie wydanie w miękkiej okładce z pozaginаныmi rogami – rzecz, bez której również rzadko go widywano.

W połowie drogi przystanął, uniósł palec, obrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do środka, o mało nie przewracając się o własne stopy. Lydia pochyliła się z rękami na kierownicy.

– O nie. Kij – mruknęła. – Zapomniał kija.

Dill jęknął i zakrył twarz dłonią.

– No tak. Kij.

– Dębowy – powiedziała Lydia pompatycznym głosem jakby prosto ze średniowiecza.

– Magiczny kij królów, lordów, czarodziejów i... elfów czy kogoś tam.

Travis ponownie wynurzył się ze środka, tym razem ściskając w dłoniach kij pokryty symbolami i twarzami, które wyrył własnymi niezgrabnymi rękami. Jego ojciec popatrzył ze zbolaną miną, potrząsnął głową i wrócił do pracy. Travis otworzył drzwiczki samochodu.

– Hej wam!

– Kij? Poważnie? – zapytała Lydia.

– Zawsze zabieram go w podróż. A gdyby zaszła konieczność obrony własnej? Nashville to niebezpieczne miasto.

– Ta-a. Ale nie z powodu wymachujących kijami rzezimieszków. Teraz noszą oni broń palną. A ta pokona kij w każdej rozgrywce – stwierdziła Lydia.

– Śmiem wątpić, by przyszło nam walczyć na kije w Nashville – dorzucił Dill.

– Ale ja go lubię. Dobrze się czuję, kiedy mam go przy sobie.

Lydia wywróciła oczami i uruchomiła silnik.

– Nieuleczalny przypadek. Dobra, chłopaki, ruszamy. Ostatnie wspólne zakupy z okazji rozpoczęcia szkoły, Panu niech będą dzięki.

Przy tych słowach Dill uświadomił sobie, że lęk ściskający mu żołądek nieprędko ustąpi. A może nie zrobi tego już nigdy. Ostateczny afront? Wątpił, by udało mu się choćby zrobić z tego dobrą piosenkę.

2

Lydia

W oddali majaczyły zabudowania Nashville. Lydia lubiła to miasto. Uniwersytet Vanderbilt znajdował się na liście uczelni, do których zamierzała wysłać papiery. Może nie wysoko, ale jednak. Myśl o studiach wprawiła ją w dobry humor, podobnie jak perspektywa spędzenia kilku godzin w mieście. Czuła się znacznie szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd ostatniego dnia przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak będzie się czuła za rok – dzień przed rozpoczęciem pierwszego roku na uczelni.

Kiedy wjechali na przedmieścia, Dill zapatrzył się za okno. Lydia dała mu aparat i mianowała fotografem ekspedycji, on jednak zapomniał, że miał robić zdjęcia. Na jego twarzy malował się, zwykle tam goszczący, nieobecny wyraz i wyraźny cień melancholii. Ale dzisiejszy dzień wydawał się wyjątkowy. Lydia wiedziała, że wizyty w Nashville z powodu ojca budzą w nim mieszane uczucia, i dlatego specjalnie próbowała wybrać inną trasę niż ta, którą zwykle odbywał, odwiedzając ojca w więzieniu. Spędziła sporo czasu na Google Maps, starając się znaleźć alternatywną drogę, jednak bez rezultatu. Liczba tras prowadzących z Forrestville do Nashville była bardzo ograniczona.

Może Dill przyglądał się mijanym budynkom... Wszystko wskazywało na to, że nawet w najbardziej podupadłych dzielnicach Nashville nie było domu, który dorównywałby stopniem zniszczenia jego domowi, a przynajmniej oni nie spotkali takiego po drodze. Może rozmyślał o muzyce płynącej w żyłach tego miasta. A może jego umysł zajmowało jeszcze coś innego... W przypadku Dilla istniało sporo różnych możliwości.

– Hej – zagaiła cicho.

Drgnął i odwrócił się od okna.

– Hej, co?

– Nic. Hej. Tak cicho siedzisz.

– Nie mam dzisiaj zbyt wiele do powiedzenia. Myślę.

Przejechali przez rzekę i znaleźli się we wschodniej części miasta. Mijali kolejne kafejki i restauracje i po jakimś czasie dotarli do odnowionego niskiego budynku w stylu Craftsman. Na wiszącym od frontu ręcznie malowanym szyldzie widniał napis STRYCH. Lydia zaparkowała samochód. Travis sięgnął po kij.

Lydia ostrzegawczo uniosła palec.

– Nie.

Zanim weszli do środka, Lydia ustawiła się obok szyldu i kazała Dillovi zrobić zdjęcie, a potem jeszcze jedno, jak opiera się o szeroki ganek.

W sklepie pachniało starą skórą, wełną i dżinsem. Klimatyzator z pomrukiem wypuszczał chłodne powietrze zabarwione lekko stęchłym zapaszkiem. Z ukrytych głośników leciało Fleetwood Mac.

Drewniana podłoga trzeszczała pod ich stopami. Za szklanym blatem, na którym wystawiono ręcznie robioną biżuterię, siedziała atrakcyjna dwudziestoparoletnia rudawa blondynka, ubrana w stylu boho, intensywnie wpatrzona w laptop.

– Hej, podoba mi się twój styl. Gorąca dziewczyna – rzuciła w stronę Lydii. Lydia dygnęła.

– Hm, dziękuję pani. I wzajemnie.

Lydia rzuciła Dillovi spojrzenie mówiące: *Ciekawe, czy dostałbyś taką obsługę w Opry Mills Mall?*

– Szukacie czegoś konkretnego?

Lydia chwyciła Dilla za ramię i pchnęła go przed siebie.

– Ubrań. Łachów. Ciuchów. Takich, które będą pasowały na tego oto jegomościa i sprawią, że na jego widok pomdleją wszystkie mieszkanki Wyzyny Cumberland.

Dill uciekł spojrzeniem.

– Może skupmy się na odpowiednim rozmiarze, Lydio – wycedził.

Kobieta wydała lekki okrzyk.

– Mało brakowało, a rodzice daliby mi na imię Lydia. Staństwo na April.

– Prowadź, panno April – powiedziała Lydia. – Widzę, że masz tu wybór doskonale wyselekcjonowanych ubrań.

Dill raz po raz wychodził z przymierzalni, by zaraz znów w niej zniknąć,

tymczasem Travis zasiadł na trzeszczącym drewnianym krześle i zatonął w lekturze, nieobecny dla świata. Lydia była w swoim żywiole, mało co uszczęśliwiało ją tak jak sesje z Dilem – jej własny, mały, charytatywny projekt modowy.

Podawała mu kolejną koszulę.

– Potrzebny nam stosowny podkład muzyczny, „Let’s Hear It for a Boy” czy coś w tym stylu. I pamiętaj, jeśli wyjdiesz z przymierzalni w stroju miejscowego karka, od razu zaprotestuję.

Dill włożył koszulę, zapiął ją i przyjrzał się sobie w lustrze.

– Oglądasz za dużo filmów z lat osiemdziesiątych.

W końcu wybrali kilka dzinsów i koszul, dzinsową kurtkę wykończoną barankiem oraz buty z cholewką.

– Uwielbiam zakupy z tobą w vintage’owych sklepach, Dill. Masz ciało gwiazdy rocka z lat siedemdziesiątych. Wszystko świetnie na tobie wygląda. – *Zapamiętać: wszyscy potencjalni faceci w college’u powinni mieć ciało Dilla. Ubierać kogoś takiego to niesamowita frajda. Zapewne byłoby również niezłą frajdą... eee, nieważne.*

– Nie stać mnie na to wszystko – wyszeptał Dill.

Lydia poklepała go po policzku.

– Spokojnie.

April podliczyła ich na kasie. Trzydzieści dolarów za trzy koszule. Kolejne trzydzieści za kurtkę. Czterdzieści za buty. Dwadzieścia za dwie pary dzinsów. Razem sto dwadzieścia dolarów.

Lydia pochyliła się nad kontuarem.

– Okej, April. Mam taką propozycję: sprzedasz nam to wszystko za pięćdziesiąt dolarów, a ja sowicie ci to wynagrodzę.

April współczująco przechyliła głowę.

– Ou, skarbie. Bardzo bym chciała. Wiesz co, spuszczę do stówki, po znajomości, bo chętnie bym cię bliżej poznała.

Lydia pochyliła się niżej i wskazała na laptop.

– Mogę?

– Jasne.

Wpisała w wyszukiwarkę *Dollywould*, zaczekała, aż strona się załaduje, i odwróciła komputer w stronę April.

– Wchodziłaś tu kiedyś?

April zmrużyła oczy.

– Ta-a... wygląda znajomo. Wydaje mi się, że tak. Był tu taki artykuł o najlepszych sklepach vintage w Tennessee?

– Aha.

April przewinęła w dół.

– Okej, jasne. Byłam. Świetny artykuł.

– Dziękuję.

– Czekał, ty go napisałaś?

– Podobnie jak wszystkie pozostałe na *Dollywould*. Prowadzę tę stronę.

Szczęka April lekko opadła.

– Niemożliwe. Powaga?

– Aha.

– To ile ty masz lat? Pewnie z osiemnaście?

– Siedemnaście.

– A gdzie byłaś, kiedy ja chodziłam do liceum?

– W Forrestville, Tennessee, i marzyłam, by być tobą. Jak się reklamujesz?

– Głównie pocztą pantoflową. Nie mam zbyt wielkiego budżetu na marketing. Czasami, jak trafi się dobry miesiąc, zamieszczam reklamę w „Nashville Scene”.

– A gdybym tak opisała twój sklep na *Dollywould* w zamian za rabat?

April zabębniła palcami o kontuar. Po namyśle odparła:

– Sama nie wiem.

Lydia wyciągnęła telefon i zaczęła pisać. Potem położyła go na kontuarze, zrobiła krok do tyłu i splótła ramiona na piersi, uśmiechając się od ucha do ucha. Telefon zaczął wydawać różne dźwięki.

– Co to? Co robisz? – spytała April.

– Chciałam dać ci przedsmak. Jesteś na Twitterze?

– Mam konto sklepu.

– Właśnie zatweetowałam do moich 102 678 followersów, że stoję w najlepszym sklepie vintage w całym stanie Tennessee i że koniecznie powinni tu zajrzeć.

– Wow. Dzięki, ja...

Lydia uniosła palec, po czym zabrała telefon.

– Zaczekaj. Zobaczmy, co tu mamy. Siedemdziesiąt pięć osób dodało do ulubionych, pięćdziesiąt trzy retweetowały. „Dzięki za info, na pewno wpadniemy...”, „Zawsze ufam twojemu gustowi...”, „Trzeba będzie wybrać się do Nashville, może się spotkamy i razem skoczmy na zakupy...”.

– A jeśli...

Lydia znów uniosła palec.

– Uuu, to jest dobre. Od Sandry Chen-Liebowitz. Nazwisko pewnie nic ci nie mówi, ale jest ona zastępcą redaktora w „Cosmo”. Zobaczmy, co napisała: „Super, właśnie pracuję nad artykułem o Nashville. Dzięki!”. Może właśnie trafiłaś na strony „Cosmo”. Przekonana?

April popatrzyła na Lydię, po czym zaśmiała się i wyrzuciła ramiona do góry.

– Okej, okej. Wygrałaś.

– Obie wygrałyśmy.

– A więc, pewnie jesteś najfajniejszą dziewczyną w całej szkole, co?

Lydia zaśmiała się, a Dill i Travis jej zawtórowali.

– O tak, jestem najfajniejsza. Ale czy najbardziej lubiana? Powiedzmy, że internetowa sława niesie ze sobą pewne konsekwencje.

– Raczej negatywne – dorzucił Dill.

– On to powiedział. Istota płci żeńskiej otwarcie wyrażająca opinie na jakiś temat nie może liczyć na popularność w miejscowym liceum.

– Jestem pod wrażeniem – odparła April.

– Wspaniale. Ty podlicz mojego kolegę, a ja zastanowię się, jak by tu wydać trzysta dolarów.

– A ty? – sprzedawczyni zwróciła się do Trávisa. – Chyba nie znajdzie się zbyt wiele rzeczy na osobę twojego wzrostu, ale możemy spróbować.

Travis zarumienił się i odparł z krzywym uśmiechem:

– O nie, dziękuję. Ja przeważnie noszę to samo, dzięki temu mam czas myśleć o innych rzeczach.

April i Lydia wymieniły spojrzenia. Lydia potrząsnęła głową. Mina April wyrażała głębokie zrozumienie.

Lydia bez najmniejszych trudności zdołała wydać sumę przeznaczoną na szkolną wyprawkę. Zanim wyszli, kazała Dillowowi zrobić chyba z pięćdziesiąt ujęć jej nowych strojów w najprzeróżniejszych kombinacjach. A potem jeszcze ze dwadzieścia fotek z April. Wymieniły się numerami telefonów i obiecały pozostać w kontakcie.

Ledwo wyszli, od razu oblali się potem. Było co najmniej dziewięćdziesiąt pięć stopni³. Popołudniowe słońce grzało mocno. Pulsujący szum cykad brzmiał jak bicie serca na ultrasonografie.

Lydia kazała chłopakom przysunąć się bliżej i objąć.

– Zróbmy parę fotek całej naszej trójki. Ostatnia wspólna wyprawa po szkolne mundurki.

Dill uśmiechnął się z przymusem.

– Ej, stary, stać cię na więcej – powiedziała Lydia.

Spróbował jeszcze raz. Wcale nie wyszło lepiej.

– Hej, Lydia, mogłabyś zrobić kilka ujęć mnie z kijem?

Lydia była w bardzo radosnym nastroju z powodu rabatu, który tak wyczynowo zdobyła dla Dilla, własnych znalezisk oraz nowej stylowej koleżanki. Mimo to udała oburzenie, żeby nie wyszło, że jest niekonsekwentna.

– Och, no niech ci będzie. Przynieś kij swój, panie.

Travis potruchtał do samochodu, chwycił kij, przybiegł z powrotem i przybrał ponurą, zamyśloną minę.

– Dobra.

Lydia zrobiła kilka zdjęć. Travis zmieniał pozy: opierał się o kij, trzymał kij gotowy do ciosu.

– Tylko żeby było widać smoka.

– Chłopcze. Nie jestem nowicjuską, potrafię zadbać, by na zdjęciu było widać ładne akcesoria.

Kiedy skończyła, Travis podszedł, by obejrzeć rezultaty. Na jego twarzy pokazał się szeroki, dziecięcy uśmiech. Pachniał potem i zduszonymi ciuchami, które ktoś za długo trzymał po upraniu w pralce.

– Nieźle – mruknął. – Jak Raynar Northbrook z Bloodfall.

Dill zapuścił żurawia.

– No, Raynar Northbrook jak żywy.

Travis najwyraźniej nie wychwycił jego sarkastycznego tonu.

Lydia klasnęła w rękę.

– Panowie. Jestem głodna. Chodźmy do Panery.

– Tam jest zbyt elegancko. Wolę do U Krystala – zaproponował Travis.

– Po pierwsze, do Krystal, bez U. A po drugie, nie.

– Daj spokój. Wybierałaś muzykę na drogę.

– W Forrestville też jest Krystal. A Panery nie ma. Jechaliśmy taki kawał drogi, żeby zjeść w beznadziejnym Krystal i dostać tej samej sraczki, której możemy dostać na miejscu?

– Niech Dill rozstrzygnie sprawę.

Dill, zapatrzony gdzieś w przestrzeń, odparł:

- Ja nie jestem głodny. Zjem w domu.
 - Nieistotne – odparł Travis. – Zagłosować możesz.
 - Głos na Krystal oznacza, że wracacie z buta – oznajmiła Lydia.
 - W takim razie wybieram Panerę – odparł Dill z uśmiechem.
- Ale i tak pojechali do Krystal, specjalnie dla Travisa.

3

Dill

Dill miał nadzieję, że kiedy zapyta, czy w drodze do domu mogą zatrzymać się koło więzienia, Lydia odpowie, że z jakiegoś powodu musi szybko wracać do domu i nie może czekać, aż on złoży ojcu wizytę. Ale nie.

Więzienie Riverbend leżało w zwodniczo pięknej sielankowej części Nashville. Gęsty kobierzec drzew i łagodne wzgórza otaczały masywne beżowe budynki o wąskich oknach.

– To nie potrwa długo. Jak wiecie, nienawidzę tego miejsca – powiedział Dill, wysiadając z samochodu.

Lydia postukała w telefon.

– Nic się nie martw. Popracuję nad postem o powrocie do szkoły.

Travis uniósł książkę.

– Powinniście mi powiedzieć, że się spieszyście – odparł Dill.

– No tak – rzuciła Lydia, nie odrywając wzroku od ekranu. – Dobra, Dill, pospiesz się, bo przez ciebie dostanę szlaban albo lanie, czy coś w tym rodzaju.

– Tak, Dill, pospiesz się – dodał Travis. – Marzę, by jak najszybciej znaleźć się w domu i spędzić czas z moim fajnym tatą, zamiast czytać ulubioną książkę.

Dill posłał im wymuszony uśmiech i pokazał środkowy palec. Wziął głęboki wdech i ruszył w kierunku głównego budynku. Przeszedł przez bramkę kontrolną i wpisał się do zeszytu. Strażnicy zaprowadzili go do sali widzeń. Ani trochę nie przypominała tego, co widywało się na filmach. Nie było tu przezroczystych ścianek oddzielających więźniów ani słuchawek telefonicznych. Było to spore pomieszczenie pełne okrągłych stolików, przy

których stały po dwa-trzy krzesła, pod ścianami zaś znajdowały się automaty z napojami. Miejsce przypominało szkolną stołówkę i wywoływało w nim podobne emocje. Było duszno, a panująca temperatura zapewne miała przypominać, że owszem, w budynku jest klimatyzacja, lecz z powodów finansowych bądź oporów natury moralnej nie korzysta się z niej w takim stopniu, by panowały naprawdę komfortowe warunki.

Dill okazał się jedynym gościem. Usiadł przy stole i zaczął bębnić po nim palcami. Jego nogi bujały się nerwowo. Nie mógł ich powstrzymać. *Trzeba jakoś przez to przebrnąć.*

Kiedy drzwi się otworzyły, odwrócił się. Strażnik wprowadził Dillarda Early'ego Seniora.

Jego ojciec był wysoki i chudy. Miał głęboko osadzone ciemne oczy, podkręcone do góry wąsy i długie czarne włosy przetykane siwizną, tłuste i związane w kucyk. Za każdym razem, gdy Dill go odwiedzał, zdawał się coraz twardszy. Coraz bardziej podstępny. Coraz bardziej zdiczały i wężowy. Więzienie ciosało go, zestrugiwało resztki miękkości i łagodności. Był prawie dziesięć lat starszy od matki Dilla, wyglądał jednak na starszego o co najmniej dwadzieścia lat.

Miał na sobie granatowe dżinsy oraz jasnoniebieską koszulę więzienną z numerem na piersi i literami TDOC na plecach.

Ojciec podszedł bliżej. Poruszał się czujnym krokiem drapieznika.

– Hej, Junior. – Dill nienawidził, kiedy się tak do niego zwracano. Przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem. Nie wolno im było obejmować się ani w ogóle dotykać. Dill czuł jego woń. Może nie odrażającą, ale niewątpliwie ludzką. Pierwotną. Jak skóra i włosy myte znacznie rzadziej niż w przypadku ludzi na wolności.

Usiedli. Ojciec Dilla położył ręce na stole. Na jednej, wzdłuż knykci, miał wytatuowane imię MAREK, a na drugiej 1618. Dill wcześniej ich nie widział. *Zły znak. Ojciec wyraźnie coraz bardziej dziwaczeje.*

Dill odpowiedział, starając się nadać głosowi swobodne brzmienie.

– Hej, tato. Widzę, że zrobiłeś sobie tatuaże.

Ojciec spojrział na dłonie, jakby dowiedział się czegoś nowego.

– Tak, zgadza się. Nie pozwalają mi tu praktykować świadectwa znaków, więc noszę swą wiarę na skórze. Tego mi nie odbiorą.

Wygląda na to, że ci tu całkiem dobrze. Kiedy ojciec trafił do więzienia, wszyscy podejrzewali, że czeka go ciężkie życie, biorąc pod uwagę, za co go

skazano. Ale nie docenili jego charyzmy. Najwyraźniej ktoś, kto potrafi przekonać ludzi, by brali do rąk jadowite węże i pili truciznę, potrafi też zapewnić sobie ochronę przed tymi, których określał mianem sodomitów.

Patrzyli na siebie przez krótką, niezręczną chwilę.

– A więc... jak się miewasz? – spytał w końcu Dill.

– Żyję z dnia na dzień, chwala Jezusowi.

– Karmią cię tu... wystarczająco? – Więzienna pogawędka szła opornie. Nawet o pogodzie nie bardzo dało się porozmawiać.

– Niczego mi nie brakuje. A jak ty i twoja matka?

– Jakoś żyjemy. Pracujemy ciężko.

Oczy o intensywnym spojrzeniu załśniły dziwnym światłem, które obudziło w Dillu mroczne uczucie.

– Dobrze to słyszeć. Ciężka praca. Spłacicie nasze długi, tak bym mógł powrócić do posługi kapłańskiej, kiedy mój czas tutaj dobiegnie końca. Może mógłbyś do mnie dołączyć, jeśli twoja wiara urośnie w siłę.

Dill zaczął wiercić się na krześle.

– Ta-a, może. W każdym razie jutro zaczyna się szkoła.

Ojciec wsparł łokcie na stole i splótł palce, jak do modlitwy.

– Jak co roku o tej porze, prawda? A jak zamierzasz spędzić nadchodzący rok? Czy staniesz się żołnierzem Chrystusa, czy będziesz rozsiewał pośród swych rówieśników dobrą nowinę o zbawieniu i jego znakach? Czy wykonasz pracę, której ja nie mogę wykonać?

Dill znów poruszył się nerwowo na krześle i odwrócił wzrok. Nie lubił patrzeć ojcu w oczy. Potrafiły skłonić ludzi do robienia różnych rzeczy, rzeczy, które – jak dobrze wiedzieli – sprawią im cierpienie.

– To znaczy... moich kolegów z klasy chyba za bardzo nie interesuje, co mam do powiedzenia. – *Idealnie. Przypomnienie, że nie jestem szczególnie lubiany plus przypomnienie, jak wielkim rozczarowaniem jestem dla swego ojca, wszystko zwinięte razem w jeden pakiet. Wizyty w więzieniu to niesamowita jazda.*

Ojciec pochylił się, wbijając wzrok w Dilla i konspiracyjnie wyszeptał:

– A więc nie mów do nich. *Śpiewaj.* Wydaj z siebie głos, którym obdarzył cię Bóg. Posłuż się dłońmi, które Bóg pobłogosławił muzyką. Młodzi ludzie kochają muzykę.

Dill zdusił gorzki śmiech.

– Ta-a... ale nie muzykę o poskramianiu węży i tego rodzaju rzeczach. Taka

muzyka nie jest popularna.

– Duch wstąpi w ich wnętrza, tak jak wstępował w dusze członków naszej kongregacji, kiedy śpiewałeś i grałeś. A kiedy stąd wyjdę, nasza kongregacja urośnie po dziesięciokroć.

A może po prostu spróbuję przeżyć ten rok szkolny? Może nie będę robił nic, co mogłoby dać im powód, by jeszcze bardziej się ze mnie naśmiewać?

– Posłuchaj, tato, twoja... nasza... sytuacja sprawia, że raczej nie mogę rozmawiać z kolegami w klasie o tego rodzaju sprawach. Oni nie chcą tego słuchać, rozumiesz?

Ojciec prychnął.

– A więc mamy się poddać Lucyferowi i zaprzepścić świadczenie znaków? Oddać mu zwycięstwo bez walki?

– Nie, ja nie... – Świadomość surrealizmu tej sytuacji, w której człowiek odbywający karę więzienia próbował mu wmówić, że to on jest nic niewart, powstrzymała Dilla od dokończenia myśli.

– Pamiętasz, jak pisałeś psalmy i śpiewałeś je wraz z chórem? Pamiętasz?

– Tak. Chyba tak.

Ojciec Dilla odchylił się na oparcie i skierował spojrzenie w bok, lekko kręcąc głową.

– Te pieśni były piękne. – Znowu skierował wzrok na Dilla. – Zaśpiewaj którąś.

– Znaczy, tutaj? Teraz? – Dill szukał na twarzy ojca oznak świadczących o tym, że żartuje. Byłoby to ekstremalnie rzadkie zjawisko, ale może jednak prawdopodobne.

– Tak. Tę, którą sam napisałeś. „A Chrystus nas wyzwoli”.

– Nie zabrałem gitary ani nic. Zresztą, to chyba byłoby trochę... dziwne? – Dill ruchem głowy pokazał na znudzonych, zajętych rozmową strażników.

Ojciec odwrócił się i popatrzył na nich, a potem znowu na Dilla, z błyskiem w oku.

– Myślisz, że już nie mają nas za dziwnych?

Słuszna uwaga. Dill poczerwieniał. Trzeba zerwać ten plaster. Prędko, cichym głosem zaśpiewał pieśń a capella. Kątem oka dostrzegł, że strażnicy przerwali pogawędkę i słuchają.

– Jeszcze – poprosił ojciec, klaszcząc. – Jeszcze jedną.

– Od dawna... od dawna nie napisałem nic nowego.

– Zrzuciłeś muzykę?

– Nie do końca. Tyle że teraz piszę... inne rzeczy.

Twarz ojca pociemniała.

– Inne rzeczy. Bóg nie umieścił muzyki na twym języku po to, byś śpiewał na chwałę człowieka i wszeteczeństw.

– Nie piszę piosenek o wszeteczeństwach. Nie stworzyłem takiej ani jednej.

Ojciec wymierzył w niego palcem wskazującym.

– Zapamiętaj. Chrystus jest drogą. Jediną drogą. Twoją ścieżką do zbawienia. Twoja muzyka zaś to twoja ścieżka do Chrystusa. Moją ścieżką jest pokazywanie znaków wiary. Jeśli stracimy ścieżkę do Chrystusa, stracimy ścieżkę do zbawienia. Stracimy nagrodę wiekiustą. Rozumiesz?

– Aha, rozumiem. – Rozmowa z ojcem przypominała przemawianie do ożywionego muru, który jakimś sposobem słyszał o niejakim Jezusie. – Okej, muszę już iść.

Twarz ojca pociemniała jeszcze bardziej.

– Dopiero przyszedłeś. Chyba nie po to jechałeś taki kawał drogi, żeby spędzić ze mną zaledwie kilku minut i zaraz wracać do domu.

– Nie. Zabrałem się z przyjaciółmi, którzy jechali na zakupy. Czekają na parking, a jest bardzo gorąco. Byli tak mili, że zgodzili się, bym wpadł tu na kilka minut.

Ojciec Dilla wypuścił powietrze nosem i wstał.

– Cóż, w takim razie powinieneś iść. Do zobaczenia, Juniorze. Przekaż matce wyrazy miłości i powiedz, że niedługo napiszę.

Dill również się podniósł.

– Dobrze.

– Powiedz, że dostaję jej listy.

– Tak.

– Kiedy znów cię zobaczę?

– Trudno powiedzieć.

– A więc zobaczymy się, kiedy Bóg zechce. Idź z Jezusem, synu. – Ojciec Dilla uniósł obie dłonie i złączył je. Marek 16,18. A potem odwrócił się i odszedł.

Dill wyszedł z budynku więzienia i z ulgą wypuścił powietrze, jakby wstrzymywał je przez cały ten czas, by przypadkiem nie wciągnąć w płuca świństw, które zapewne krążą w więziennym powietrzu. Czuł się tylko odrobinę lepiej, że już nie musi denerwować się wizytą u ojca. Teraz

odczuwał tylko lęk towarzyszący mu od samego rana.

Dotarł do samochodu. Lydia właśnie tłumaczyła Travisowi, ile kalorii musiałby zjeść dziennie smok, by móc ziać ogniem. Travis nie wyglądał na przekonanego.

Spojrzała na Dilla.

– O, dzięki Bogu. – Zapaliła silnik. – Jak tata?

– Dziwny – odparł Dill. – Jest naprawdę dziwny.

– Czy... – zaczął Travis.

– Wolałbym o tym nie rozmawiać.

– Okej. Jezu.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Po prostu... jedźmy do domu.

Podczas drogi powrotnej głównie milczeli. Travis czytał książkę. Lydia włączyła płytę z miksem utworów Nicka Cave'a and the Bad Seeds z Gun Club i stuknęła do rytmu w kierownicę. *Niby czemu nie. To był dla niej dobry dzień.*

Dill gapił się za okno na drzewa rosnące wzdłuż autostrady i na pojawiające się czasem przydrożne ręcznie robione krzyże, oznaczające miejsca, w których ktoś spotkał swój koniec, przebijając zwartą ścianę zieleni. W oddali krążyły trzy sępy, szybując w prądzie wstępującym. Dill próbował smakować ostatnie chwile wyprawy.

Ostatnie wspólne zakupy z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. Cząstka mojego życia umiera. A ja nawet nie mogłem do końca nacieszyć się tą chwilą z powodu walniętego tatusia. Który na dodatek powoli popada w coraz poważniejsze opętanie.

Ukradkiem przypatrywał się Lydii za kierownicą. Kąciki jej ust, uniesione w niemal stałym złośliwym uśmiechu. Ledwo dostrzegalne ruchy warg, gdy nieświadomie śpiewała do płynącej muzyki.

Zapamiętaj to. Zapisz na własnoręcznie zrobionym krzyżu i umieść go w sercu, na pamiątkę tego zakończenia.

Kiedy dojechali do Forrestville, cienie były już długie, a światło wyglądało jak przesączone przez dzban pełen herbaty. Najpierw podwieźli Trávisa.

Wyskoczył i pochylił się do okna, z ręką na dachu.

– Kolejny rok. Widzimy się jutro.

– Niestety – powiedział Dill.

Travis ruszył chodnikiem prowadzącym do domu. Na ganku odwrócił się i pomachał im, trzymając kij wysoko w górze.

Lydia odjechała z piskiem opon.

– Nie spieszy mi się do domu – rzucił Dill.

– Przyzwyczajenie.

– Chcesz pojechać do Bertram Park i popatrzeć na pociągi, aż zrobi się ciemno?

– Chciałabym, ale muszę poświęcić trochę czasu mojemu blogowi. Zamierzam wspomnieć o nim w podaniach na uczelnie, więc treść musi być naprawdę porządna.

– Daj spokój.

– Wiem, byłoby super w tradycyjnie nudny sposób, ale nie.

Podjechali pod dom Dilla. Jeszcze nie ruszał się ze swojego fotela, nie sięgał po kławkę. Odwrócił się w stronę Lydii.

– W tym roku będziesz dla nas zbyt zajęta?

Twarz Lydii przybrała wyzywający wyraz. Jej oczy stwardniały i cały entuzjazm się ulotnił.

– Przepraszam, ale chyba nie uważałam. Co robiliśmy przez kilka ostatnich godzin? A, no tak.

– Nie o to mi chodziło. Nie o dzisiaj. Tylko tak ogólnie. Czy tak będzie wyglądał nadchodzący rok?

– Ehm, nie, stary. To samo pytanie. Czy tak będzie wyglądał nadchodzący rok? Nadal nie będziesz potrafił zrozumieć? Nadal będziesz się dziwnie zachowywał, kiedy ja będę musiała się zająć sprawami niecierpiącymi zwłoki?

– Nie.

– Cóż, niezbyt dobry początek.

– Rozumiem. Jesteś zajęta. Nieważne.

– A ty będziesz siedział cicho i nic nie mówił, a czasem zachowywał się jak ostatni kutas.

– Mam sporo na głowie.

– Mówię poważnie, Dill. Nie zachowuj się tak wstrętne, kiedy jestem zajęta.

– Nie zachowuję się wstrętne.

– Właśnie że tak, trochę.

– Sorry.

Przez chwilę patrzyli na siebie, jakby dawali sobie okazję do wypowiedzenia kolejnych żądań czy żali. Twarz Lydii złagodniała.

– Zmieniając temat, pół mojej sałatki z Panery to niezbyt obfity obiad.

– Niczego mi nie trzeba.

– Jesteś pewien?

– Aha.

– Okej. Muszę lecieć. W porządku? – Przechyliła się i objęła go na pożegnanie.

Dill jeszcze raz wciągnął w nozdrza jej zapach, zabierając go ze sobą wraz z torbami pełnymi nowych ubrań.

– Dzięki za dzisiaj. Nie chciałem wyjść na niewdzięcznika.

– I dobrze, bo mam coś dla ciebie. – Chwyciła leżącą na desce rozdzielczej płytę CD z wykonanym czarnym flamastrem napisem „Joy Division/New Order”. – Tego słuchaliśmy podczas jazdy do Nashville. Wiedziałam, że będziesz chciał kopię.

Dill popukał w pudełko.

– I miałaś rację. Dzięki.

– Powinieneś wiedzieć, że „Love Will Tear Us Apart” to moja najukochańsza piosenka na całej kuli ziemskiej.

– Zapamiętam.

– Jutro siódma piętnaście.

Uniósł kciuki.

– Będę czekał.

Dill wysiadł i ruszył w stronę domu. Wspiął się po splekanych, niszczących schodach do drzwi frontowych i położył rękę na gałce, ale nagle zmienił zdanie. Uznał, że nie ma sensu siedzieć w ponurym domu, aż zrobi się ciemno. Położył zakupy i płytę na schodach, po czym usiadł i zapatrzył się w napis na kościele.

Nie zaznasz spokoju. Nie zaznasz spokoju.

4

Travis

Raynar Northbrook czuł radość w sercu za każdym razem, gdy wracał z polowania i jego oczom ukazywały się blanki Northome. Niczego więcej nie potrzebował, kiedy mógł zasiąść przy trzaskającym ogniu i przegonić zmęczenie dzbanem letniego miodu, wymieniając z kapitanem gwardii opowieści o podbojach obcych ziem i pięknych kobietach. Potrafił cieszyć się życiem – aż do dnia, gdy spojrzął z najwyższej wieży i ujrzał armię Randa Allastaira, szeregi dzikich mężów i Przeklętych zbliżające się do jego zamku...

Ojciec oglądał mecz bejsbolowy między Bravesami i Cardinalsami. Siedział rozwalony z nogami na stoliku, puszką piwa w ręku i talerzem pełnym zastygających resztek skrzydełek z kurczaka na kolanach. Oczy miał czerwone i zapuchnięte.

Nie odrywając wzroku od telewizora, zapytał:

– Gdzie byłeś?

– W Nashville, na zakupach do szkoły z Lydią i Dilem. Mówiłem ci.

Ojciec beknął, zgniół puszkę i wziął kolejną z chwiejnego stosiku.

– Kupiłeś nowe łachy? Żeby wreszcie nie wyglądać jak Dracula? –

Otworzył puszkę.

– Nie. Lubię swoje ubrania.

Ojciec zachichotał.

– Co byś miał nie lubić. Ciągłe czytasz te gówna o czarodziejach i wrózkach.

– Clint, skarbie, nie klnij, proszę – zawołała z kuchni mama Trávisa, nieśmiała rudowłosa kobieta. Pozostawało zagadką, jak to możliwe, że Travis wyszedł z ciała tak drobnej istoty. Właściwie pozostawało również niemałą

zagadką, jak to się stało, że wyszedł z ciała swego ojca.

– To mój dom. Mogę w nim kłąć do woli – krzyknął ojciec w odpowiedzi.

– Ale wolałabym, żebyś tego nie robił. Travis, jesteś głodny?

– Nie, mam. – Travis ruszył do swojego pokoju.

– Czekał no. Jeszcze nie skończyłem.

Travis odwrócił się.

– Pierwszy dzień szkoły – powiedział ojciec.

– Aha.

– Mówiłem ci, że w ostatniej klasie byłem rozgrywającym? Podałem zwycięską piłkę w półfinałowym meczu z Athens High. Matt też był rozgrywającym.

– Mówiłeś. Nawet kilka razy. – Travis poczuł ostre szarpnięcie w środku ciała na wspomnienie zmarłego brata. Matt zawsze siadał z nim wieczorem przed rozpoczęciem szkoły i wygłaszał specjalną mowę. Tłumaczył, jak trzeba rozmawiać z dziewczynami. Jak się bronić. Jak być przywódcą, a nie pionkiem. Travis nie miał ochoty na przemowę w wykonaniu ojca.

– Zamierzasz spędzić ten rok z fiutem w garści? – zapytał ojciec.

– Nie, ojcie. W spodniach, jak zwykle.

– Próbujesz pyskować?

– Nie, ojcie. – Travis zrobił krok w kierunku pokoju.

Ale ten nie skończył.

– To co zamierzasz robić?

– Chodzić na lekcje. Zdobywać dobre stopnie. Zdać. Uczyć się, jak sądzę.

Na twarzy ojca pojawił się krzywy uśmiešek.

– Znów skopiesz dupę jakiemuś Meksykaninowi?

– Nie mam tego w planach – odparł Travis. – Alex już się mnie nie czepia.

W pierwszej klasie Alex Jimenez przyparł Dilla do ściany w stołówce i zaczął grać w tak zwane klepanie. Gra miała proste reguły: Alex klepał Dilla, w nadziei, że go sprowokuje i Dill zacznie się bronić, dzięki czemu on będzie miał pretekst, żeby porządnie mu dowalić. Alex był jedynym Latynosem w klasie i zajmował niewiele wyższą pozycję społeczną od Dilla, a wygrana bójka zwykle pomagała wspiąć się chociaż o szczebel.

Dill robił uniki przed kolejnymi ciosami. Travis wreszcie nie wytrzymał, podszedł do Alexa i powiedział, żeby przestał. Alex natychmiast stracił zainteresowanie Dille. Wygrać z kimś znacznie większym od siebie – to dopiero mogłoby znacząco zwiększyć jego status. Travis nie próbował się za

bardzo bronić, aż do chwili, gdy Alex wymierzył mu mocny cios w oko. Wtedy w nim zawrzało. Chwycił go za poły koszulki sportowej i pół-pchnął, pół-rzucił na solidne siedem-osiem stóp. Kiedy Alex lądował, wykręciła mu się kostka, upadł i walnął głową o róg stolika. Buchnęła krew. Na chwilę stracił przytomność.

To był dla Trávisa decydujący moment. Gdyby powiedział coś w stylu: *I co teraz, pizdo?*, a dodatkowo opluł przeciwnika, natychmiast skoczyłby do góry w szkolnej hierarchii. On jednak próbował podejść do Alexa i mu pomóc, ale tłum go powstrzymał. Przeszł z nogi na nogę, nerwowo przeczesując włosy palcami, łkając i opowiadając wszystkim, którym chciało się słuchać, jak bardzo mu przykro. Zjawili się ratownicy medyczni. Głęboka skrucha ocaliła go przed dwudziestodniowym zawieszeniem w prawach ucznia. Władze szkoły wiedziały, że jeśli ktoś wygrywa bójkę, ale okazuje taką łagodność, to tak naprawdę wychodzi na przegranego. Nieunikniona pogarda otoczenia stanowiła wystarczającą karę. Ich założenia potwierdził filmik wrzucony na YouTube'a zatytułowany „WIELKI GOŚCIU POWAŁA NAPASTNIKA I RYCZY JAK OSTATNIA CIPA, LOL”.

Jednak ojciec Trávisa nie widział tego nagrania (dyrekcja kazała usunąć je jeszcze tego samego dnia, grożąc autorowi wyrzuceniem ze szkoły). Nie widział, jak Travis błaga Alexa o wybaczenie, podczas gdy ten zwija się na podłodze, oczy uciekają mu w głąb czaszki, a białe linoleum zalewa kałuża krwi. Nie widział, jak Travis tuż po powrocie z minimalnej karnej odsiadki w domu wziął pudełko z bananowym puddingiem mamy – swoim ulubionym przysmakiem – i podszedł do Alexa siedzącego samotnie w stołówce z nogą w gipsie leżącą na krześle, ofiarując mu pudding. Ten nie odezwał się ani słowem, nawet na niego nie spojrział. A kiedy Travis podsunął mu pudełko, gwałtownie je odepchnął.

Ojciec Trávisa wiedział tylko, że jego syn skopał tyłek jakiemuś Meksykaninowi, a rodzice chłopaka, którzy nie mówili po angielsku, najwyraźniej bali się pójść na skargę do glin czy choćby poprosić go o pokrycie kosztów leczenia. Czuł dumę z syna – a zdarzało się to niezmiernie rzadko.

– Tak w temacie robienia pożytku ze sporych rozmiarów, któregoś dnia wpadłem w Walmart na twojego trenera – dodał ojciec. – Powiedział, że nie szkodzi, że nie grałeś wcześniej w futbol, i tak przyjmie cię do drużyny.

– Dobrze wiedzieć.

– Powiedziałem, że nie biegasz zbyt szybko i za dobrze nie łapiesz, ale jesteś wielką górą mięcha i mógłby postawić cię na linii obrony. – Ojciec upił piwa i znów beknął.

– To prawda. Jestem wielką górą mięcha.

– Spróbujesz? Dałbyś tacie powód do dumy. Może wreszcie zobaczymy cię z jakąś inną dziewczyną niż tą lesbą od Denny’ego Blankenshipa?

– Zastanowię się.

Ojciec pogardliwe prychnął.

– Zastanowię się. – Pochylił się do przodu i rzucił talerz z resztkami skrzydełek na stolik kawowy. – A co potem? Jak skończysz szkołę? Wstąpisz do marines jak Matt?

Kolejne ukłucie, mocniejsze. *Bo dla Matta świetnie się to skończyło.*

– Nie myślałem o tym. Chyba dalej będę pracował w składzie drzewnym.

– Mógłbyś zastanowić się nad wojskiem. Zrobiliby z ciebie mężczyznę. A na twoje miejsce szybko byśmy kogoś znaleźli.

– Pomyślę. – Zapadła cisza. Ojciec wrócił do oglądania meczu. Travis nie ruszał się z miejsca, wciąż patrzył na ojca i jego oczy, w których odbijał się telewizor. Miał nadzieję, że może dostanie od niego kilka słów otuchy czy mądrości na rozpoczęcie roku szkolnego. Słów, które będą świadczyć o tym, że ojciec w niego wierzy. Takich, jakie zawsze słyszał od Matta.

Ale dostał tylko jeszcze jedno stłumione beknienie. Ruszył do pokoju.

– Coś ci opowiem – rzucił ojciec, nie odrywając wzroku od telewizora. Serce Trávisa podskoczyło, pełne nadziei.

Ojciec upił piwa.

– Raz zawiozłem pod kościół ładunek kantówek. Przed kościołem było takie oczko wodne, biegały tam małe kaczuski i wielki tłusty indyk, wszyscy razem i szczęśliwi jak jedna zakichana rodzinka.

Travis zaśmiał się z przymusem. Wiedział, że lepiej reagować pozytywnie, kiedy ojciec znajdzie się w nastroju do snucia opowieści.

– Ta-a, całkiem zabawnie to wyglądało. – Nie były to słowa zachęty, na które liczył, ale i tak lepsze niż nic. Może.

Ojciec utkwiał w nim szklane spojrzenie. I zaraz znowu przeniósł je na telewizor.

– W każdym razie właśnie ten obraz mi się przypomina, kiedy widzę cię w towarzystwie tej małej lesby i syna Pedoklechy. Wielki tłusty indor, któremu wydaje się, że jest kaczuszką.

Travis stał w miejscu jak wmurowany, a kolec zagłębiał się w jego wnętrzu. Czuł się tak, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Czekał, aż ojciec doda: *zartowałem*, albo wyjaśni, że uważa indyki za wspaniałe istoty. Albo przynajmniej życzy powodzenia w szkole. Nic. Tylko odbicie telewizora w jego oczach. Tyle w temacie słów otuchy. Oto minął kolejny piękny dzień.

Travis wrócił do pokoju, zamknął drzwi i oparł o nie kij. Usiadł przy tanim, kupionym w Walmarcie biurku z utwardzanego drewna i włączył laptop, odziedziczony po Matcie i liczący już dziewięć lat. Zawył wiatrak. Travis wszedł na forum Bloodfall. Wpisał imię użytkownika, *Southern_Northbrook*, i włączył się do gorącej debaty na temat *Nawałnicy śmierci*, szóstej i ostatniej części z serii Bloodfall, która miała się ukazać w marcu przyszłego roku.

Odchylił się na oparcie krzesła i śledził legion cyfrowych przyjaciół – wymyślone imiona, zdjęcia profilowe postaci z kreskówek i naburmuszonych kotów. Cieszył się, że ich ma. Kiedy tak przeglądał fora, klikając na kolejne wątki, w górze ekranu wyskoczyło niewielkie okienko. Wiadomość prywatna. Jego serce zaczęło bić jak oszalałe. Otworzył ją. Liczył właśnie na wiadomość od tej osoby: *jesiennakraina*. Nie wiedział zbyt wiele na jej temat, jedynie tyle, że jest mniej więcej w jego wieku i mieszka niedaleko Birmingham w Alabamie. Zaczęli pisać do siebie tydzień wcześniej, po tym, jak Travis stanął w jej obronie podczas gorącej kłótni, czy Przekłęci to nieumarli czy istoty zupełnie innego rodzaju.

***jesiennakraina*: Hej, co tam?**

Southern_Northbrook: Nic specjalnego. A u ciebie?

***jesiennakraina*: Też nic. Podoba mi się twoja teoria, że Norrell Bayne jest prawdziwym synem Torrena Winterenda.**

Travis aż podskoczył na krześle.

Southern_Northbrook: Też chciałbym być synem Torrena Winterenda, na pewno jest znacznie fajniejszy od mojego taty, LOL.

***jesiennakraina*: Wiem, co masz na myśli. Mój tata zachowuje się czasem jak totalny palant. Ciągle zawraca mi głowę o jakieś pierdoły.**

Southern_Northbrook: Jutro zaczyna się szkoła. Mój właśnie bredził, że mam się zapisać do drużyny futbolowej. Nienawidzę futbolu. Porównywał mnie z bratem. Nie cierpię tego.

***jesiennakraina*: Rodzice zawsze porównują mnie z moją**

idealną młodszą siostrą. Koszmar. Jeszcze nie zacząłeś szkoły??? **Niesprawiedliwość. Moja zaczęła się w zeszłym tygodniu!!!**

Southern_Northbrook: Może powinnaś się tu przeprowadzić, LOL.

Travis nacisnął „wyślij” i od razu się zarumienił.

***jesiennakraina*: Spoko, tylko obiecaj, że będziesz siedział ze mną podczas długiej przerwy.**

Travisowi zrobiło się gorąco. Zaczął układać odpowiedź, ale przerwało mu pukanie do drzwi. Modlił się, żeby to nie był ojciec. Chociaż on raczej nie miał zwyczaju pukać do żadnego z pomieszczeń w tym domu.

– Proszę – zawołał Travis.

Do pokoju weszła mama, w ręku trzymała torbę z szarego papieru. Zamknęła drzwi.

– Hej, kochanie. Byłam dzisiaj w sklepie i kupiłam ci coś z okazji rozpoczęcia szkoły. – Podała mu torbę. – Taki drobiazg.

Otworzył. W środku znajdowała się książka w tanim wydaniu zatytułowana *Zbuntowany rycerz*. Na okładce widniał mężczyzna o groźnej rzeźbionej twarzy, długich czarnych włosach i szorstkim zarostcie, ubrany w tunikę, w której wycięciu wзираła opalona, umięśniona kłata. W jednej dłoni trzymał miecz, a w drugiej tarczę. Travis dobrze wiedział, jakiego rodzaju to książka.

– Och, mamó, dzięki! – powiedział tak przekonująco, jak tylko potrafił. – Wygląda niesamowicie!

Mama Trávisa miała zadowoloną minę.

– Wiem, jak lubisz książki o rycerzach i tego rodzaju historiach. Pomyślałam, że tej może nie czytałeś.

– Nie – odparł łagodnie, przerzucając kartki. – Tej nie czytałem.

– Twój tata chce dobrze – powiedziała.

Travis wbił wzrok w książkę.

– Szkoda, że mu to nie wychodzi lepiej.

– Też czasem żałuję. No, zostawiam cię z twoimi sprawami. – Pochyliła się, uściskała go i pocałowała w policzek. – Pomyślności na pierwszy dzień szkoły. Kocham cię.

– Ja też cię kocham, mamó.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Travis pokręcił głową i rzucił książkę na

łóżko. To nie był pierwszy raz. Travis trzymał pod łóżkiem całkiem sporą kolekcję powieści erotycznych, których akcja działa się w średniowieczu. Ale nie miał serca wyprowadzać mamy z błędu.

Pokazała się kolejna wiadomość od **jesiennejkrainy: OK, rozumiem, że nie będziesz siedział ze mną na długiej przerwie. Buuu.**

Southern_Northbrook: Nie no, jasne, że będę, LOL. Sorry, przyszła mama, rozmawiałem z nią.

jesiennakraina: Hurra! Bo zwykle jem sama. Nie mam zbyt wielu przyjaciół w tej beznadziejnej szkole. Nikt nie lubi Bloodfall.

Southern_Northbrook: Dobrze wiem o czym mówisz. Ja mam dwoje świetnych przyjaciół, ale nawet oni nie czają Bloodfall.

jesiennakraina: Jeśli mamy razem spędzać przerwy, to może od razu zdradzimy sobie nasze prawdziwe imiona. Ja mam na imię Amelia.

Southern_Northbrook: Podoba mi się. Jestem Travis.

jesiennakraina: Miło cię poznać, Travis.

Southern_Northbrook: Ciebie również, Amelio.

Jego serce wybijało sylaby. A-me-lia. Czekał na odpowiedź, Travis wstał, szybko chwycił kij, stanął przed lustrem i zakręcił nim nad głową, najzgrabniej jak tylko się dało w ciasnej przestrzeni pokoju.

5

Dill

Dill nienawidził wracać do domu po spotkaniach z Lydią. Jakby budził się w środku ekscytującego snu. W domu było cicho i duszno. Położył CD na stole kuchennym i rozważył możliwości w kwestii obiadu. Nie wyglądały obiecująco. Zaimprovizował danie, na które złożyło się kilka wgniecionych puszek z zielonym groszkiem, kilka wgniecionych puszek z pieczarkową zupą krem i kawałek sera z przekroczoną datą ważności – wszystko darmowe, z Floyd’s Foods, gdzie pakował zakupy i uzupełniał towary na półkach.

Wsadził smętną mieszankę do piekarnika, poszedł włączyć klimatyzację i wziął gitarę do ręki. Pracował nad nową piosenką, której nikt nigdy nie miał usłyszeć. O zakończeniach i rozstaniach. O ludziach, którzy zostawiają cię i idą dalej.

Za kwadrans dziewiąta na podjazd wjechał chevrolet cavalier rocznik 1992, a po chwili w drzwiach pojawiła się matka Dilla. Wyglądała na wykończoną.

– Jak w pracy?

– Jestem zmęczona. Musiałam walczyć chyba z dwudziestką dzieciaków w twoim wieku, które próbowały kupić piwo.

Z jękiem opadła na zniszczony fotel i potarła twarz.

– Wzięłaś tabletki na kręgosłup?

– Skończyły się. Kupię dopiero po wypłacie.

Dill wrócił do kuchni i zajrzał do garnka.

– Obiad gotowy – zawołał.

Matka podniosła się z westchnieniem. Przycisnęła rękę do pleców i próbowała się wyprostować, pojękując z bólu. Weszła do kuchni i siadła przy stole. Wzięła płytę do ręki.

– Joy Division i New Order? Co to?

Kurwa. Dill posiadał prawdziwy talent, wyćwiczony przez lata znajomości z Lydią, który pozwalał w ciągu sekundy zmienić każdą grupę w zespół wykonujący muzykę chrześcijańską. Arcade Fire? Odnosi się do ogni piekielnych, które pochłoną wszystkich, którzy odrzucają Jezusa na rzecz gier video. Fleet Foxes? Odnosi się do historii biblijnej, w której Samson schwycił lisy, przywiązał im do ogonów pochodnie i puścił, by spaliły pola Filistynów. Radiohead? Każdy człowiek powinien być żywym kanałem Ducha Świętego na podobieństwo anteny radiowej.

– E-e... New Order... odnosi się do nowego porządku, który stworzy Chrystus po swym powrocie na Ziemię... Joy Division... do rozłamu między zbawionymi, którzy doświadczają radości, i niezabawionymi, którzy jej nie znają. To zespoły chrześcijańskie.

Albo jego wyjaśnienie usatysfakcjonowało matkę, albo była zbyt zmęczona, by dyskutować. Prawdopodobnie to pierwsze, bo nigdy nie czuła się aż tak zmęczona, by się z nim nie pokłócić.

Dill wyjął rondel z piekarnika. Danie pachniało całkiem w porządku, było gorące i serowe. W domu Earlych się nie wybrzydzało. Zdjął leżącą na lodówce ćwiartkę czerstwego białego chleba, którym można było dokładnie wygarnąć danie z naczynia. Chwycił dwa talerze i łyżki z suszarki obok zlewu, nakrył do stołu i nałożył jedzenie.

Jedli w milczeniu.

– Jak było w Nashville? – spytała wreszcie matka.

– W porządku. Lydia pomogła mi kupić tanio trochę ubrań.

Matka otarła usta serwetką.

– Wolałabym, żebyś przyjaźnił się z rówieśnikami z kościoła.

– Travis jest z kościoła.

– Ciekawe. Zawsze ubrany na czarno i jeszcze ten naszyjnik z demonem.

– Ze smokiem.

– Co za różnica. Przeczytaj jeszcze raz księgę Apokalipsy.

Dill wstał, by nalać wody do szklanek.

– A Lydia nie należy do kościoła – zauważyła matka.

– No nie, ale mówiłem ci, że należy do kościoła episkopalnego czy do prezbiterian. W każdym razie jest chrześcijanką.

Matka Dilla prychnęła.

– Chciałabym zobaczyć, jak ktoś z tych ludzi poskramia węże albo mówi

językami. Prawdziwej wierze towarzyszą znaki.

– Nie mogę wybierać przyjaciół na podstawie tego, czy są gotowi wziąć w ręce jadowitego węża.

– Oczywiście, że możesz. Tylko nie chcesz.

– Trochę trudna sprawa, skoro jedyny pastor od poskramiania węży w tej okolicy siedzi w więzieniu.

Matka rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Nie lekceważ tego.

– Skąd, zapewniam. Odwiedziłem go w Nashville.

Matka rzuciła mu kolejne spojrzenie, ostre w inny sposób.

– Mogłeś wcześniej powiedzieć. Jak się miewa?

Dill wepchnął jedzenie do ust i powoli przeżuwał, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Chyba dobrze, nie wiem. W porządku, jak na więzieniu. Chyba poznał nowych przyjaciół, bo ma tatuaże na knykciach.

Matka zmarszczyła czoło.

– Naprawdę? Tatuaże? Co przedstawiają?

– Marek szesnaście osiemnaście. Na obu dłoniach.

Matka wbiła wzrok w talerz.

– Zawsze umiał słuchać głosu Boga. Nie rozumiem wszystkiego, co robił twój ojciec, ale wierzę, że Bóg tego pragnął. – Piętką suchego chleba zgarnęła resztki jedzenia z talerza.

Nie jestem taki pewien, czy Bóg chciał tego wszystkiego, czego dokonał tata w swoim życiu. Raczej w to wątpię. Dill zebrał talerze i namoczył je w zlewie. Otworzył szufladę – ostrożnie, by nie wypadła z szyn (bywała kapryśna) – i wyjął plastikową folię, którą po użyciu myli i wykorzystywali ponownie. Owinął rondel i wsadził go do lodówki.

– Lepiej się wyśpij, jeśli jutro rano zaczniesz szkołę – powiedziała mama.

– Dlaczego „jeśli”?

– Ponieważ ja nie zamierzam cię zmuszać. Sam wiesz.

– Chyba uznałem, że nie mówiłaś poważnie.

– Mówiłam. Najlepiej, gdybyś jak najszybciej zatrudnił się we Floyd's na pełen etat. Lubią cię tam. Zrobią z ciebie kierownika i zanim się obejrzyysz, będziesz zarabiał trzydzieści pięć tysięcy rocznie. To porządne pieniądze.

– A edukacja? – *Nie mogę uwierzyć, że bronię szkoły przed mamą.*

– Potrafisz czytać. Pisać. Dodawać. Odejmować. Masz perspektywy na

dobrą pracę. Na co ci świstek papieru? Dla mnie liczy się, byś znał Pismo Święte, to wszystko.

Dill zaczął skrobać talerze.

– Lydia zamierza aplikować na wszystkie najlepsze uczelnie w Ameryce, a moja mama mówi mi, żebym nie kończył szkoły średniej.

– Tata Lydii jest dentystą, jej mama też pracuje i nie mają naszych długów. Nie ma sensu się z nią porównywać.

– Jasne.

– Twój tata nie skończył szkoły średniej. A ja przerwałam naukę, by zostać jego żoną.

Dill odstawił talerz, odwrócił się i rzucił matce niedowierzające spojrzenie.

– Chyba nie sądzisz, że to mnie przekona.

– Kiedyś zrozumiesz, że nie jesteś lepszy od własnego nazwiska.

Kiedyś?

– Hm, cóż, może nauczę się tego w szkole. Wszystkim chyba bardzo zależy, by wbić mi to do głowy. Dobranoc.

Dill odstawił talerz na popękana suszarkę z białego plastiku i poszedł do swojego pokoju. Chwycił klamkę, podnosząc drzwi wiszące na złamanym zawiasie, i zatrzasnął je. Usiadł na podwójnym łóżku. Oprócz niego w pomieszczeniu znajdowała się jedynie komoda ze sklepu charytatywnego. Nierówny materac zajęczał pod jego ciężarem. Włożył płytę do przenośnego odtwarzacza od Lydii. Wcisnął słuchawki do uszu i ułożył się z rękami za głową.

Czasami muzyka pomagała na samotność. Czasami jednak – kiedy czuł się tak, jakby siedział na dnie suchej studni, patrząc na niebo w górze – w ogóle nie działała. Dzisiejszy dzień wyznaczał dla niego początek końca, dla Lydii zaś początek początku. Westchnął.

Żadna piosenka nie mogła tego naprawić.

6

Lydia

Mama i tata siedzieli na kanapie i oglądali telewizję. Mama trzymała w ręku lampkę wina, a stopy wetknęła pod nogi taty. Na drewnianym stoliku kawowym leżało pudełko pizzy. Tata Lydii uwielbiał stare meble. Wypełnił nimi cały starannie odrestaurowany dom w stylu wiktoriańskim. Katalog z narzędziami do konserwacji był jego pismem pornograficznym.

– Hej, mała – rzucił. – Dobrze bawiłaś się w Nashville?

Lydia podniosła wyżej torby z zakupami.

– Oto odpowiedź. Jak potraktował cię Al Gore?

– Prawdziwy Al Gore, który mieszka w Nashville? Nie spotkaliśmy go.

– Al Gore, twój samochód. Spisał się jak należy? – Lydia odziedziczyła Al Gore’a, pierwszą toyotę prius w całym Forrestville, po tacie.

– W porządku. – Zrzuciła buty, klapnęła na kanapę obok taty i wsadziła stopy pod jego nogi.

– Jesteś głodna? Zostało trochę pizzy z Pizza Garden – powiedziała mama.

– W tym mieście potrzebna jest pizzeria z prawdziwego zdarzenia – stwierdziła Lydia.

– Jeszcze rok, a znajdziesz się we wspaniałym wielkim mieście, gdzie będzie tyle pizzerii, że nawet nie zdążysz wszystkich przetestować.

– Ta-a. Ale rok to strasznie długo, kiedy jest się skazanym na kiepską pizzę.

– Ależ z ciebie snobka – stwierdził tata. – Pizza Garden jest w porządku. Czy pizza w ogóle może być słaba?

– „Snobka” to synonim osoby posiadającej wyrafinowany gust. Ale dobrze, uznaję, że Pizza Garden mniej więcej się nadaje, o ile unika się szynki i ananasa.

– To stwierdzenie odnosi się do każdej pizzerii – odparł tata. – No dalej. Weź kawałek.

– Nie powinnam.

– Powinnaś.

– Nie chce mi się wstać.

Tata pochylił się, chwycił pudełko i podał Lydii.

– Mam cię również nakarmić, o pani?

– Zamknij się – powiedziała i wzięła kawałek.

Mama prychnęła.

– Daj spokój, Lydio.

Lydia zdjęła okulary i wytarła szkło.

– Chciałabym tak siedzieć z wami, jeść i się wygłupiać, ale mam sporo do zrobienia na blogu. Moi czytelnicy czekają na post o pierwszym dniu w szkole.

– Jak sobie życzysz – powiedział tata. – Ale może najpierw sprawdź, co stoi na blacie w kuchni. Wróżka roznosząca dary z okazji powrotu do szkoły zostawiła to, kiedy cię nie było. Próbowaliśmy jej tłumaczyć, że jesteś niegrzeczna, bo mówisz do taty „zamknij się”, ale nie chciała słuchać.

Lydia wywróciła oczami i poszła do kuchni. Na blacie stał owinięty czerwoną wstążką nowusienki laptop Maca. Lydia przycisnęła dłonie do ust i wydała z siebie pisk. Resztki nieprzyjemnego wspomnienia kłótni z Dilem znikły w mgnieniu oka. Wróciła biegiem do salonu i wyściskała rodziców, o mało nie wytrącając mamie kieliszka z winem.

– Jeszcze tego by brakowało, żeby komputer ci padł, kiedy akurat będziesz wysyłać podanie do szkoły czy pisać esej – powiedział tata.

– Kocham was. Mimo waszych skłonności do kiepskiej pizzy.

Lydia pokonała schody kilkoma wielkimi susami. Tata zawsze cierpko żartował, że Lydia zagarnęła całe piętro dla siebie. Rodzice zajmowali jedną sypialnię. Ona drugą. Dwie pozostałe służyły jej za garderobę, wypełnioną wieszakami na kółkach, oraz pokój do projektowania i szycia.

Usiadła przy pustym nowoczesnym biurku zakupionym podczas specjalnej wyprawy do Ikea w Atlancie. Czekając, aż nowy laptop się uruchomi, przeglądała zdjęcia na telefonie i najlepsze od razu umieszczała na Instagramie i Twitterze.

Telefon zapikał. Esemes od Dahlii. Ue, pierwszy dzień szkoły?

Dahlia była jej najlepszą przyjaciółką internetową. Bardzo zbliżyły się do

siebie tego lata, kiedy Lydia spędziła dwa tygodnie w letnim nadmorskim domu Dahlii w Nantucket. Powrót do Forrestville nie należał do łatwych. Potwierdziło to jedynie, co Lydia przypuszczała: że będzie im się doskonale razem mieszkano podczas studiów na Uniwersytecie Nowojorskim, który w przypadku ich obu znajdował się na szczycie wymarzonych uczelni. Lydia trzymała kciuki, żeby właśnie tam się dostać. To, że Dahlia się dostanie, wydawało się pewne. Jej matka, Vivian Winter, była sławetną, zimną jak lód, redaktorką naczelną „Chic Magazine”. Dahlia mogłaby z palcem w nosie dostać się na każdą wybraną przez siebie uczelnię, ale chciała być blisko serca przemysłu modowego, a ponadto żywiła upodobanie do mieszania się kultur. Stąd przyjaźń z „ubogą” dziewczyną z Tennessee.

„Ue” jest trafne. Nie wyobrażasz sobie, jak okropnie jest w mojej szkole, napisała Lydia.

Współczuję. U nas też jest sporo ćwoków.

Założę się, że Philips Exeter jednak różni się od Forrestville High. Kiedy zaczynasz?

Pewnie tak. We wrześniu.

Nienawidzę cię. (Ale z miłości).

LOL, muszę lecieć. Spróbuj przetrwać w Liceum imienia Czerwonego Karku.

Lydia odłożyła telefon i zaczęła pisać post o wyprawie do Nashville, zakupach w Strychu i przemyśleniach na temat pierwszego dnia szkoły. W pewnym momencie zabrakło jej weny i zaczęła szukać czynności zastępczych.

Zgrała zdjęcia z Nashville na nowy laptop i zaczęła je przeglądać, jednocześnie je sortując. Travis, wsparty na swoim kiju, z całych sił starający się wyglądać możliwie ponuro. Otworzyła nową stronę i dołączyła zdjęcia do mejla do Dahlii.

Nie uwierzysz. Wpadłam w Nashville na Rainera Northbrooke’a (tak?). Kazał cię pozdrowić.

A potem zaczęła przeglądać zdjęcia Dilla. Wyglądał na nich na nieobecnego. Zagubionego. Udręczonego.

Lydia poczuła znajome ukłucie winy i smutku, że nie może wykorzystać tych zdjęć na blogu. Podczas Tygodnia Mody w Nowym Jorku odbyło się spotkanie nastoletnich blogerek modowych. Grupa dziewcząt między trzynastym a siedemnastym rokiem życia dyskutowała o treści i ochronie marki.

„To naprawdę beznadziejne, kiedy twoi znajomi mają kiepski styl i nie możesz o nich opowiadać ani pokazywać ich zdjęć na blogu. Jak się z tego wykręcić? No bo co? Powiesz: Hej, sorki, ale masz beznadziejny styl, nie

mogę napisać, że się przyjaźnimy. Ale taka jest prawda”, stwierdziła trzynastolatka z Johannesburga z miną doświadczonej życiem kobiety, a pozostałe dziewczyny ze zrozumieniem pokiwały głowami.

Lydia tylko słuchała w milczeniu. *Mogłabym wam niejedno powiedzieć na temat przyjaźni z niestylowymi osobami.*

Travis był niestylowy i w ogóle się tym nie przejmował.

Dill? To zupełnie inna historia. Był wysoki, miał ciemne, ponure oczy i wysokie, ostro zarysowane kości policzkowe, gęste kudłate włosy (które mu obcinała), ostre kanciaste rysy twarzy i pełne ekspresyjne wargi – wszystkie te cechy stanowczo stawiały go poza kategorią konwencjonalnych standardów męskiej urody obowiązujących w Forrestville, ale za to mogłyby uczynić z niego idealnego modela u Prady bądź Ricka Owensa.

Robiła, co w jej mocy. I mimo że ubierała go jak osobę, którą w rzeczywistości był – muzyka z wiejskiego Południa – to wcale nie ze względu na wygląd Dill nie nadawał się do pokazywania na blogu. Przeciwnie, zapewne mógłby stać się wielkim hitem wśród jej czytelniczek, chociaż ona akurat wcale nie miała ochoty marnować czasu na osoby zauroczone Dillem (wcale nie była zazdrosna, po prostu bardzo zajęta).

Problem stanowiło jego nazwisko. Jej czytelnicy doskonale potrafili korzystać z wyszukiwarek internetowych. Zobaczą zdjęcia Dilla, zainteresują się, znajdą nazwisko (mieli swoje sposoby, jeszcze jakie) i wrzucą w Google. A zgadnijcie, co wyświetli się po wpisaniu w wyszukiwarkę „Dillard Early”? Informacje bardzo niekorzystnie dla marki *Dollywould*.

Ludzie, w tym Dahlia, już i tak traktowali Lydię ze swego rodzaju łaskawą protekcjonalnością. („Jesteś taka inteligentna i otwarta jak na osobę z Południa! Żyjesz w takim miejscu, a masz taki wyrafinowany styl!”). Wyobrażali sobie, że mieszka w domu... hm, takim jak dom Dilla. *Mój dom pewnie wygląda lepiej niż wasze*, mruzczała do siebie, czytając pisane w dobrej wierze komentarze. *Moi rodzice poznali się w Rhodes College. Na naszym podjeździe stoją dwie toyoty prius i lexus SUV z napędem hybrydowym. W nowiutkim laptopie Maca mam setki gigabajtów muzyki, Netflix i superszybki Internet. Ludzie, moje życie nie polega na ściganiu boso szopów praczy po kempingu.*

Szybko przejrzała zdjęcia przedstawiające Travisa, Dilla i całą ich trójkę razem, po czym wybrała najlepsze z tych, na których widniała sama, plus kilka z April (która była jak najbardziej stylowa) i przeciągnęła na pulpit. Nadal nie

miała zbytnio ochoty pracować nad postem na bloga, więc napisała esemes do Dahlii. *Hej. Co porabiasz? Możesz gadać?*

Sorry, skarbie, nie w tej chwili. Siedzę na obiedzie z Peterem Diamondem. Napisz później.

Peter Diamond był niedawno odkrytą sensacją literacką z Brooklynu, prawdziwym cudownym dzieckiem. Napisał dwie z czterotomowego cyklu powieści w stylu Prousta, po części autobiograficznego dzieła opowiadającego dzień po dniu (a czasem godzina po godzinie, a nawet minuta po minucie) o blaskach i cieniach życia dwudziestoparoletniego twórcy z Brooklynu. Fascynująca rzecz, bez dwóch zdań.

Zapowiedź tego, co mnie czeka w Nowym Jorku, pomyślała Lydia. Ale uwielbiała Dahlię tak czy inaczej.

Może kosmos mówi mi w ten sposób, że mam się zabrać do roboty. Po kilku falstartach wreszcie zaczęła wpis o pierwszym dniu szkoły:

Oto, co sobie pomyślałam, jadąc dzisiaj do Nashville, ostatniego dnia lata przed rozpoczęciem szkoły: nic nie wywołuje w tobie wrażenia, jakbyś próbował schwycić i utrzymać w dłoni garść piasku równie skutecznie jak pierwsze dni roku szkolnego. A mówiąc „piasek” mam na myśli czas.

Pierwszy dzień ostatniej klasy liceum uświadamia, że lato zapewne już nigdy nie będzie tym, czym było.

Jeszcze zanim wejdiesz do klasy, dowiadujesz się, że życie składa się z ograniczonej liczby wakacji, które mijają jak mgliste otumanienie pełne lodów, świetlików, wybielonych chlorem włosów i skóry pachnącej kokosowym mleczkiem do opalania. Żyjemy w serii chwil, pór roku i wspomnień naszych zmysłów, rozciągniętych od jednego krańca do drugiego i tworzących coś w rodzaju opowieści. Może każdy kolejny pierwszy dzień szkoły stanowi linię demarkacyjną, która pozwala nadać sens wspomnieniom z dzieciństwa, cyklowi życia wypełnionego przyjaciółmi i...

I kiedy tak pisała, nagle zalała ją fala ekscytacji na myśl o nadchodzącym nowym życiu.

7

Dill

Dill z ponurą rezygnacją wodził wzrokiem po parkingu, przyglądając się wchodzącym do szkoły uczniom. *A w tym roku nawet nie mogę sobie życzyć, żeby minął jak najszybciej, ponieważ jego koniec będzie oznaczał, że nie zobaczę już więcej Lydii.* Al Gore stał w tylnej części parkingu, w ulubionym miejscu Lydii na szybkie wypadki po szkole. Miała nawet na takie okazje na iPodzie szybki kawałek grany na banjo. Jakimś sposobem dotarli na czas, a nawet z wyprzedzeniem. Tylne drzwi samochodu były otwarte, a Lydia i Dill siedzieli na zderzaku.

Minęła ich pani Alexander, trenerka cheerleaderek.

– Jakoś nigdy nie uważałam, że jest taka seksowna, jak twierdzą wszyscy.

– Ja też nie – powiedział Dill.

Lydia miała zadowoloną minę, jakby Dill zdał egzamin.

– Założę się, że kiedyś ją aresztują za seks z trzynastoletnim uczniem.

Lydia zamachała nogami. Miała na sobie rajstopy w bardzo skomplikowany wzór, z rozdarciami. Na kimś innym wyglądałyby tragicznie. Łydka uderzyła o znaczek na zderzaku z napisem „Zdrowy uśmiech to szczęśliwy uśmiech”. Tata proponował, że go usunie. *Czemu się nie zgodziłaś?*, spytał raz Dill. *Ponieważ znaczek jest wciąż aktualny*, odparła Lydia. *A poza tym okropny i strasznie śmieszny.*

– Jaki upust byś jej przyznał?

Po namyśle Dill odparł:

– Siedemdziesiąt pięć procent.

– O rany, jak w dyskoncie.

– Ludziom w tej szkole seksowność myli się z opalenizną i idealnym uzębieniem.

– Ale tobie nie.

– Mnie nie.

Lydia znów posłała mu uśmiech pod tytułem „zdałeś egzamin”. Jej zęby były równie chaotyczne i nieidealne jak rajstopy. I podobnie jak w przypadku rajstop, zdaniem Dilla nosiła je w wielkim stylu. Odmówiła, kiedy ojciec chciał je wyprostować, podobnie jak odmówiła zerwania znaczka ze zderzaka. Wyjaśniła mu, że twórcy perskich dywanów celowo zostawiają jakąś skazę dla przypomnienia, że tylko Bóg jest doskonały.

Zabawiali się tego rodzaju komentarzami jeszcze przez chwilę, aż nieuchronnie zaczęła się zbliżać godzina rozpoczęcia zajęć.

Dill już miał spytać Lydię, gdzie ma pierwszą lekcję, gdy z lewej dobiegł czyjś śmiech. To byli Tyson Reed i jego dziewczyna, Madison Lucas. Zmierzali w ich stronę. Dilla ogarnął lęk. *Zaraz się zacznij.*

– Co tam, Dildo? Ostatni rok w szkole! – rzucił Tyson z udawanym podekscytowaniem, unosząc rękę do piątki. – No dalej, stary, przywitaj się.

Dill przybrał pozę obronną. Odwrócił się, ignorując Tysona. Powtarzał w głębi serca: *Módlcie się za tych, którzy was prześladują. Módlcie się za tych, którzy was prześladują.* A jednocześnie przyszła mu do głowy inna myśl: *Bóg karze mnie za to, że sprzeciwiłem się matce i poszedłem do szkoły. Nawet na chwilę nie chce zostawić mnie w spokoju.*

Lydia zaśmiała się głośno i sarkastycznie.

– Czekaj, czekaj... Myślisz, że nie zauważyłam? Powiedziałeś „dildo”? Niby jego imię i dodałeś „do” na końcu! Ależ to śmieszne i wesołe. – Lydia zaklaskała.

– Cieszę się, że doceniłaś moje poczucie humoru, Lydio Chlamydio – odparł Tyson. Madison zachichotała za jego plecami.

Szczęka Lydii lekko opadła.

– Co ta... Lydio Chl... *Znów to zrobiłeś!* Znów powiedziałeś coś niebywale śmiesznego, rymując moje imię z przezabawną chorobą przenoszoną drogą płciową! Wielkie!

– Sama jesteś wielka – powiedział Tyson. Madison znów zachichotała. Tym razem głośniej i bardziej zdecydowanie, jakby wreszcie wszedł dokładnie na to terytorium, na które liczyła.

Dill poczuł coś dziwnego. Nie do końca przypływ odwagi. Raczej świadomość, że nie ma nic do stracenia, nawet jeśli wywalą go ze szkoły. Może właśnie tego chciał Bóg. Wiedział, że mógłby uderzyć Tysona, nim ten

zdążyłby zareagować. Nie spodziewał się niczego ze strony Dilla. Nawet Chrystus przegonił kupców ze świątyni, a przyjaźń z Lydią była dla Dilla jak świątynia.

Podniósł się. Poczł na ramieniu ciepłą dłoń Lydii. Usiadł, bo w głowie kręciło mu się od nadmiaru adrenaliny, i próbował ukryć drżenie.

– No, Dildo. Dalej, do dzieła – powiedział Tyson.

Lydia założyła nogę na nogę, objęła kolano i zakołysała nim od niechcenia.

– Wielka, hm? Niech będzie, powiedzmy, że mogłabym stracić jakieś dwadzieścia funtów⁴. Potrafiłabym dokonać tego bez trudu, wystarczyłoby nie jeść ciasta czy bekonu i innych rzeczy, dla których warto żyć. Ty za to – wymierzyła w Tysona teatralnym gestem – jesteś głupi. I nie ma takiej rzeczy, któreś mógłbyś *nie jeść*, żeby to zmienić. Umrzesz w stanie matolectwa.

– A ty umrzesz od przejedzenia frytkami, tłusta dupo Lydio Chlamydio.

– Naprawdę tego chcesz? – pomachała palcem wskazującym. – Bitwę na teksty? Trudno nawet czerpać przyjemność z niszczenia cię, bo jesteś zbyt tępy, żeby zrozumieć, że zostałeś zniszczony.

Madison rzuciła się do przodu. Jej twarz przypominała wysmarowaną samoopalaczem zaciśniętą pięść.

– Jesteś wstrętną osobą. Na zewnątrz i w środku. Myślisz, że jesteś lepsza od innych, bo zrobili z tobą wywiad w „New York Timesie” i jesteś sławna w sieci.

Lydia spojrzała na Madison jak na zatkaną toaletę.

– Ponieważ wiem, że dla ciebie „mądrzejszy” nie jest synonimem „lepszy”, powiem, że nie jest to prawdą.

– Właśnie dlatego wszyscy cię nie znoszą – rzuciła Madison.

– Wspaniale. Gorzej, gdyby nie znosili mnie z powodu nieświeżego oddechu czy czegoś w tym rodzaju.

– A przy okazji, fajne rajstopy – dodała Madison głosem ociekającym pogardą. – Wyciągnęłaś je ze śmietnika?

– Nie, to prezent od sióstr Rodarte. Zeszły sezon, ale miałam nadzieję, że w Forrestville High nikt się nie zorientuje.

– Ci twoi zarąbisci znajomi – prychnął Tyson. – Zamierzasz opisać nas na blogu?

Lydia rzuciła mu wyniosły uśmiezek i zmarszczyła brwi.

– O-o, biedactwo. Sądzisz, że jesteś na tyle ważny, żeby znaleźć się na moim blogu. *Aha, bardzo jesteś ważny, gnojku.*

W tym momencie zjawił się Travis. Wyglądał na wykończonego.

– Hej.

– Tyson, może dla Trávisa też wymyślisz zabawną wersję imienia – powiedziała Lydia ze złośliwym uśmiechem.

Bójka z Alexem wprawdzie nie podniosła społecznego statusu Trávisa, lecz przynajmniej miała taki skutek, że ludzie zaczęli się go bać. Travis miał nad Tysonem przewagę co najmniej ośmiu cali wzrostu i prawie stu funtów wagi⁵.

Tyson chwycił Madison za rękę.

– Walcie się. Dostyc czasu straciliśmy w waszym pedalskim towarzystwie.
– I poszli sobie.

Madison pokazała Lydii faka przez ramię. W odpowiedzi Lydia, Dill i Travis pokazali faka ich plecom. Serce Dilla wciąż waliło jak młotem, ale już oddychał. Może Bóg miał jednak wobec niego inne zamiary.

– Wciąż nie mogą otrząsnąć się po tym wywiadzie, co? – stwierdziła Lydia.

– Nazwałaś Forrestville High modową pustynią – odparł Travis.

– Zaludnioną klonami w ciuchach z outletu, pachnącymi jak ocaleńcy z wypadku, w którym szkolny autobus zderzył się z cysterną pełną dezodorantu Axe – dorzucił Dill.

– Ou, czytaliście!

– Czemu nie napuścisz wszystkich swoich fanów na ludzi, którzy cię dręczą? – spytał Travis.

– Cóż, po pierwsze, ludzie, którzy lubią mój blog, nie są mistrzami cybermobbingu, z czego bardzo się cieszę. Wcale nie byłabym zachwycona, gdyby lubili mnie ludzie, którzy są w tym dobrzy.

Wstali i ruszyli w stronę szkoły, ogromnego nijakiego budynku z lat siedemdziesiątych, który posiadał urok państwowego psychiatryka.

– Ja w tę stronę – powiedział Travis.

– Hej, a czemu wyglądasz, jakbyś spał dzisiaj góra kwadrans? Wszystko w porządku? – spytała Lydia.

– Pisałem do późna ze znajomymi na forum Bloodfall. Nic mi nie jest. Spotkamy się, jak skończę pracę?

– Aha – odparł Dill.

Lydia nic nie powiedziała. Miała minę boksera po wygranej walce: triumfującą, lecz obolałą. Tak przynajmniej odbierał ją Dill.

– Nie jesteś gruba ani brzydka – rzucił.

Zaśmiała się.

– Jesteś kochany, ale naprawdę nic mi nie jest. Lubię siebie i nic, co powie Tyson, tego nie zmieni. Jeszcze jeden rok w towarzystwie dwunożnych gnojków. A potem nigdy więcej się nie zobaczymy. No, chyba że któryś za dziesięć lat poda mi frytki w knajpie. Podobno je uwielbiam.

Dill sądził, że zdołał to ukryć, ale najwyraźniej jednak było po nim widać, że też jest obolały.

– A ty nie jesteś żadnym „dildem” – powiedziała Lydia. – Oczywiście, nie byli w stanie nawet wymyślić bardziej wyrafinowanej gry słów. Ale cóż, to wymaga większego ich zasobu.

– Nie przejąłem się tym, co oni powiedzieli.

– Oni? To znaczy, że ja coś powiedziałam?

Zatrzymali się przed wejściem, czekając, aż reszta wejdzie do środka.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. – Ruszył za pozostałymi, ale Lydia go zatrzymała.

– E-e, zaczekaj. Co jest?

– Kiedy mówisz o ludziach, którzy za dziesięć lat nadal będą tu tkwić...

– O rany. Czy możemy ustalić, że nie mam na myśli ciebie, kiedy wygłaszam tego rodzaju teksty?

– Po prostu... A jeśli to ja będę podawał ci frytki za dziesięć lat? Czy to znaczy, że jestem tępą jak Tyson?

– Dill, poważnie?

– Sama zapytałaś.

– Dobra, masz rację. Zapytałam. Nie, nie uważam się za lepszą od ciebie. Nie, nie uważam, że za dziesięć lat będziesz podawał mi frytki. Jezu, mógłbyś nie dramatyzować? W końcu stanęłam w twojej obronie.

– A co, jeśli? Co, jeśli skończę tak samo marnie jak Tyson?

– Nie pozwolę na to, rozumiesz? Zatrudnię cię na stanowisku kamerdynera.

– To nie jest śmieszne.

– Nie jest, byłbyś fatalnym kamerdynerem. Założę się, że ciągle leżałbyś na kanapie i grał na gitarze, a ludzie czekali by bez końca pod drzwiami. A kiedy wreszcie byś otworzył, na powitanie zaserwowałbyś im tekst w rodzaju: „Hej, czy to nie dziwne, że Ziemia przez cały czas wiruje w przestrzeni kosmicznej, a my nie potrafimy latać?” – powiedziała Lydia, naśladując głos Dilla – i wpadałbyś w totalnego doła za każdym razem, gdyby któryś z gości choćby lekko zranił twoje uczucia.

– A to, co powiedziałaś Tysonowi, że nie jest wystarczająco ważny, by

wspominać o nim na blogu? O mnie też nigdy nie wspominasz.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Czy naprawdę muszę sterczeć w drzwiach wejściowych do szkoły i tłumaczyć ci, jaki jesteś dla mnie ważny? O co tak naprawdę chodzi, Dill? Coś cię dręczy.

Rozległ się dzwonek – do rozpoczęcia lekcji zostało pięć minut.

Dill uciekł wzrokiem i odwrócił się.

Lydia chwyciła go za ramię.

– No co?

Popatrzył na boki i powiedział:

– Wczoraj wieczorem mama próbowała mnie namówić, żebym rzucił szkołę i zatrudnił się na pełen etat.

Szczęka Lydii opadła, tak jak wcześniej przy Tysonie i Madison, ale tym razem zdumienie i gniew były autentyczne.

– Że co? To straszne. Kto zdecydowałby się na coś takiego?

– Moja mama.

Na korytarzu pojawił się wicedyrektor Blackburn.

– Panie Early, panno Blankenship, dzwonił dzwonek. Może i jesteście w ostatniej klasie, ale to nie znaczy, że macie prawo się spóźniać. Ruchy.

– Tak jest – odparł Dill. Odczekawszy, aż dyrektor zniknie za rogiem, dodał: – Powiedziała coś jeszcze.

– Co?

– Powiedziała: „kiedyś zrozumiesz, że nie jesteś lepszy od swojego nazwiska”.

– Myli się. Przy najbliższej okazji jeszcze pogadamy, o tym i o innych sprawach.

Rozstali się. Biegąc do klasy, Dill poczuł intensywną woń środka czyszczącego.

Nagle znów ma dwanaście lat i pomaga ojcu sprzątać kościół w niedzielny poranek, by lśnił czystością na wieczorne nabożeństwo. Przed chwilą nakarmił węże zamknięte w drewnianych skrzyniach, teraz szoruje ławkę, a ojciec uśmiecha się do niego i mówi, że Bóg raduje się jego widokiem i „w pocie oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie”. A serce Dilla śpiewa, bo wypełnia je poczucie, że zdołał zadowolić ojca i Boga.

Wszystko jest prostsze, kiedy nie budzisz nienawiści swoim nazwiskiem, kiedy nawet nie przychodzi ci do głowy, że mógłbyś się go wstydzić.

8

Travis

Dni pracy dobiegały końca. Jako lord Northhome'u Raynar Northbrook nie musiał brudzić sobie rąk. Robił to, ponieważ kochał słodki, korzenny zapach ciętego drewna i bogaty aromat wilgotnej ziemi. Praca pomagała utrzymać siłę pleców i ramion, zawsze przygotowanych na wojnę. A wiedział, że w nadchodzących dniach siła będzie mu bardzo potrzebna...

– Travis! – zawołał ojciec, przekrzykując piłę. Travis uniósł głowę. Ojciec postukał w zegarek i zrobił kółko wysoko uniesionym palcem. – Kończymy!

Travis dokończył i wyłączył piłę. Pracował zaledwie od kilku godzin. Był na zwolnieniu ze szkoły, więc dzień pracy dobiegł końca szybciej niż zwykle. Sprawdził telefon. Dwie wiadomości od Amelii. Poczłł podekscytowanie.

Jak tam pierwszy dzień w szkole?

Ups, zapomniałam, że pracujesz.

Travis szybko odpisał.

Tak, pracuję. Pierwszy dzień nie najgorszy. Byłem trochę śpiący przez nasze nocne rozmowy, LOL. A co u ciebie?

Hehe, też śpiąca. Każdy dzień w szkole to tragedia. Wolałabym spędzić miesiąc w obłożonym Królewskim Porcie niż jeden dzień w tej durnej szkole.

Ale pamiętaj, że jedli szczury i gotowaną skórę do czasu, aż brat króla Targhaera przerwał oblężenie. Uwielbiam jeść, odpisał Travis.

Hehe, ja też. Może nawet za bardzo, za co m.in. dostaje mi się w szkole.

Nie słuchaj ich. Założę się, że super wyglądasz. Travis zarumienił się, pisząc te słowa. Mało brakowało, a nie wcisnęłyby „wyślij”. Ale jednak to zrobił.

Długo czekał na odpowiedź. Z każdą minutą ogarniał go coraz większy strach, że żadnej nie dostanie. Wiedział, że niepotrzebnie wysłał ostatnią

wiadomość. Wsadził telefon do kieszeni i ruszył w stronę biura. Nagle rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Szybko wyciągnął telefon z kieszeni, o mało go przy tym nie upuszczając. Amelia przysłała swoje zdjęcie, zrobione pod ostrym kątem i przy użyciu filtra. Miała farbowane jaskraworude włosy, ogromne szare oczy podkreślone dramatycznym makijażem i krągłą twarz o smutnawym wyrazie. Trzymała kartkę z napisem „Cześć, Travis”.

No i miałem rację, napisał. Serce waliło mu jak młotem. Zaczął przeglądać swoje zdjęcia i znalazł to najlepsze, z kijem, które zrobiła Lydia. Przesłał je Amelii z komentarzem: To ja. Sorry, nie miałem kartki.

Ale świetne. Fajny kij! Jeśli kiedyś się spotkamy, koniecznie go zabierz.

LOL, moi znajomi nie cierpią, kiedy go ze sobą noszę. Ok! Muszę lecieć, tata czeka.

Widzimy się wieczorem na forum?

Aha.

Pa, pa!

Pa.

Travis wykonał zaciśniętą pięścią gest zwycięstwa, otarł pot z czoła i wszedł do biura, gdzie w chłodnym, klimatyzowanym powietrzu siedzieli ojciec i Lamar, zajęci pogawędką, żuciem tytoniu i poplucaniem do pustych puszek po coli light.

Lamar rzucił Travisowi zmrożoną colę.

– Umówiłeś się na gorącą randkę, chłopcze?

– Nie, proszę pana. Wieczorem wychodzę z przyjaciółmi, a poza tym mam trochę lekcji do odrobienia – odparł Travis, rozkoszując się poczuciem, że może jednak troszkę kłamać. Albo przynajmniej nie mówi całej prawdy.

– Lamar, zdajesz sobie sprawę, że powiedziałaś „Travis” i „randka” w jednym zdaniu? Co ty, nie znasz go? – rzucił ojciec.

Tak jak ty byś mnie znał.

– Wysoki młodzieniec, pracuje fizycznie. Musi być jakaś dziewczyna, albo i dwie – powiedział Lamar.

– Może i jest – odparł Travis, otwierając puszkę.

– Nawet jak tak, to jemu jest to obojętne – zawyrokował ojciec, jakby Travis nie siedział obok. – Jest za bardzo zajęty swoimi znajomymi. Ej, zgadnij, z kim on się zadaje.

Lamar potrząsnął głową.

– Z wnukiem Króla Węży.

Lamar powiódł wzrokiem od Trávisa do ojca Trávisa i z powrotem.

– Hm, coś takiego. Z wnukiem Dillarda Early’ego?

– Nie – wtrącił Travis. – Masz na myśli tatę Dilla, nie dziadka. Tata Dilla też się nazywa Dillard Early. I poskramia węże.

Ojciec ze zdumieniem popatrzył na Trávisa.

– Nie. Nie mam na myśli Pedoklechy. Mówię o dziadku Dilla. Chcesz powiedzieć, że Dill nie wspominał o swoim dziadku, Królu Węży?

Travis pokręcił głową, również zdziwiony.

– Nie. Nawet nie wiedziałem, że Dill nosi to samo imię, co dziadek. Raczej nie lubi rozmawiać o rodzinie.

Ojciec Trávisa prychnął.

– Uwierzyłbyś? – Klepnął Lamara w ramię. – Opowiedz Travisowi historię Króla Węży, staruszku. Pamiętasz ją lepiej niż ja. Powinien ją usłyszeć.

Lamar stęknął i odchylił się na oparcie krzesła, splatając ramiona na piwnym brzuchu.

– O mój Boże. Od dawna nie myślałem o Królu Węży. Od dawna. – Potarł siwą brodę i poprawił czapkę z daszkiem. – Cóż, przede wszystkim trzeba wyjaśnić, że jest trzech Dillardów Earlych. Dillard Król Węży. Dillard Kaznodzieja, syn Króla Węży. No i wreszcie ten, z którym się przyjaźnisz, syn Kaznodziei. Normalnie byłby Dillardem Trzecim, ale po śmierci dziadka jego ojciec stał się Dillardem Seniozem, a on Juniorem. Wiem, jak to działa, ponieważ jestem trzecim Lamarem Burnsem. Ale po śmierci dziadka stałem się Lamarem Juniorem.

Travis przysunął sobie rozkładane metalowe krzeselko i usiadł.

– Rozumiem.

– A więc Dillard Król Węży miał dom przy Cove Road. Ziemi posiadali niewiele, Dillard pracował w mieście jako mechanik samochodowy. Dillard Król Węży miał dwoje dzieci. Dillarda Kaznodzieję i córeczkę imieniem... zapomniałem. Ruth. Rebecca. Coś w tym rodzaju.

– Ruth – wtrącił ojciec Trávisa. – Zdaje mi się, że Ruth Early.

Lamar splunął do puszeki.

– W każdym razie Dillard Król Węży bardzo kochał tę dziewczynkę. Co sobota zjawiali się w mieście, ona w ładnej białej sukience, i szli na lody. I tak wieść niesie, że któregoś dnia Dillard Król Węży siedzi na ganku, zajęty struganiem drewna czy czymś tam, i nagle słyszy krzyk. *Tato, tato, szybko.* Biegnie w stronę głosu. Ruth leży na ziemi. Wielki mokasyn ugryzł ją prosto

w szyję.

Lamar ułożył palce w kształt V i dźgnął.

– Dillard Senior krzyczy do Dillarda Kaznodziei, żeby dzwonił po karetkę, a sam zostaje przy Ruth. Dillard Kaznodzieja wzywa pomoc, ale jest już za późno. Trucizna trafia do mózgu i ffffffff. Śmierć. – Lamar przeciągnął palcem po szyi.

Travis marzył w przepoconej koszulce, w chłodnym powietrzu z klimatyzatora. Kręciło mu się w głowie z podekscytowania, że Amelia przysłała mu zdjęcie, oraz od kofeiny, dlatego cieszył się, że siedzi.

Lamar podjął:

– Dillard Król Węży chowa córkę w grobie na swojej ziemi i trochę dziwaczeje. Ludzie mogą się tylko domyślać, jak to było, w każdym razie z zemsty zaczyna zabijać węże. Pewnie uznał, że najlepiej załatwi je wszystkie, skoro nie wiadomo, który z nich zabił jego córkę. Jeszcze przez jakiś czas pokazuje się w pracy, ale wkrótce zaczyna przychodzić cały w skórach węży przypinanych do ubrania i naszyjniku z głów węży nanizanych na sznurek. No, dziwnie to wygląda, ale nikt mu nic nie powie, bo facet stracił dziecko. Robi się coraz gorzej. Dillard nosi coraz więcej skór i zabija coraz więcej węży. Przestaje się myć, golić i obcinać włosy, cuchnie jak padlina. Straszliwie chudnie. Po jakimś czasie sam zaczyna wyglądać jak wąż. W końcu traci pracę, bo płoszy klientów. Ma takie dziwne spojrzenie. Pamiętam, widziałem go, jak zrobiło się naprawdę źle. Człapał wzdłuż drogi, a skóry węży zwisały z jego ubrania. Te długie włosy w strąkach, broda...

Lamar odwrócił wzrok i potrząsnął głową.

– Powiem tak – dodał cichszym głosem. – Jak mu się spojrzało w oczy, widziało się chodzącego trupa. Mam ciarki na plecach, jak o tym myślę. Byłem w Wietnamie. Różne rzeczy w życiu widziałem. Ale nigdy człowieka tak do reszty przeżartego bólem. Wtedy ludzie zaczęli nazywać go Królem Węży. Wcale nie próbowali się z niego wyśmiewać. Po prostu chcieli jakoś nadać temu sens, tak myślę. Ludzie zawsze tak robią, kiedy się czegoś boją. „O, idzie Król Węży”, powiadali. Ludzie boją się rozpaczy. Uważają, że jest zaraźliwa, jak choroba.

Travis zaczekał, aż Lamar dokończy historię, i zapytał:

– Co się z nim stało?

Lamar nieswojo przesunął się na krześle.

– Wiem tylko to, co słyszałem. Pewnego dnia Król Węży poszedł na grób

dziewczynki, położył się na nim z butelką po coli napełnioną trucizną na szczury, wypił jej zawartość i umarł. Podobno znalazł go Dillard Kaznodzieja. Wyobrażacie sobie? Wcale się nie dziwię, że też pomieszało mu się w głowie. No, żadne to usprawiedliwienie. Ale jednak.

Nikt się nie odzywał. Lamar zapatrzył się za okno, a na jego twarzy malował się wyraz z troskania.

– Nie lubię opowiadać tej części historii. Zresztą żadnej jej części, mówiąc szczerze. Ale skoro twój tata prosił, a podpisuje moje czeki...

– Nie bądź cipą, Lamar. – Ojciec Trávisa donośnie splunął do puszeki. – A więc wszyscy Dillardowie Early są ździebko walnięci. Wcześniej czy później musi ich to dopaść. Jak tylko zaczynają coś kombinować z węzami.

Travis czuł się tak, jakby sam miał w brzuchu węzów dwa. Wzdrygnął się. Z trudem przyjmował do wiadomości, że Dill ma w swojej krwi tyle mroku. Tak, wiedział wcześniej o jego tacie. Ale ta historia wnosila coś nowego.

– Straszna szkoda. Pomyślcie tylko – powiedział Lamar, unosząc palec – jeden wąż zdołał zniszczyć całą rodzinę.

– Nie płacz, Lamar – odparł ojciec Trávisa. – Nie znasz historii o Adamie i Ewie? Jeden wąż załatwił nas wszystkich. Całą pieprzoną rodzinę ludzką.

– Wygląda na to, że dwaj starsi Dillardowie Early próbowali, każdy na swój sposób, zostać Królem Węzów. Pierwszy zabijając je. A drugi poskramiając. – Lamar splunął do puszeki.

Ojciec Trávisa poszedł za jego przykładem, po czym wstał i walnął Trávisa w plecy.

– Lubisz królów, księżniczki i takie tam pierdoły, nie? Ale coś mi się zdaje, że nie zechcesz być w pobliżu, kiedy twój koleżka zeświruje i obejmie tron po tacie i dziadku. Nosi pechowe nazwisko. To jedno wiadomo na pewno.

9

Dill

Dill stanowczo wolał uczyć się w bibliotece niż w kawiarni Dobra Nowina. Po pierwsze, nie lubił czuć presji, że powinien coś kupić. Po drugie, Dobra Nowina, kawiarnia chrześcijańska, za bardzo przypominała mu o świecie, o którym nie lubił myśleć, szczególnie w towarzystwie Lydii. Ale ona się uparła.

– Wezmę Latte Łukasza w rozmiarze grande. Nie, czekaj... Mokkę Mateusza... nie, jednak Latte Łukasza. Dill? Ja stawiam.

– Nie mam na nic ochoty.

– Daj spokój.

– Dobra. Zwykła w rozmiarze venti.

Dziewczyna stojąca za kontuarem z uśmiechem podała im kubki i życzyła błogosławionego wieczoru. Dill i Lydia zajęli miejsca.

– Jak to możliwe, że w tym mieście wciąż nie ma Starbucksa? – powiedziała Lydia. – Widziałam nawet Starbucksa z mini Starbucksem w łazience. Poza tym, jak kawiarnia może być chrześcijańska?

– Tym samym sugeruje, że zwykłe kawiarnie są satanistyczne.

– Zgadza się. Chcesz kawę, musisz klęknąć przed Lucyferem i obiecać mu duszę.

– Proszę, oto pani latte. Karta, gotówka czy krew dziewicy?

Zaśmiali się, zadowoleni, że dzięki rozmowie mogą odwlec odrabianie lekcji.

– Powiedziano nam w kościele, że logo Starbucksa to symbol satanistyczny – powiedział Dill.

– Ależ oczywiście, że wam tak powiedziano. I oczywiście jest to prawdą. A jak brzmi uzasadnienie? – Wokół ostatniego słowa zrobiła znak cudzysłowu.

– Demon w postaci syreny.

– A, no tak. Ale twój nowy kościół nie jest aż tak świrnięty, co? Żadnych węży?

– Żadnych.

– A więc, skoro już siedzimy w świątyni chrześcijańskiej kawy, czy nadal pamiętasz werset o wężu?

Dill nienawidził o tym rozmawiać, ale wolał ustąpić.

– Marek rozdział szesnasty, wers osiemnasty. *Węże brać będą do rąk, i jeśli by co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić. Na chorych ręce kłaść będą, i ci odzyskają zdrowie.*

– Brawo.

– Nie wiesz, czy nic nie pomyliłem.

– E-e, brzmiało odpowiednio. Bardzo biblijnie. Twoje towarzystwo sprawia, że jestem w tym miejscu mile widziana.

– Nie jestem aż tak wierzący. Zgłosiłem się do zespołu, bo bałem się węży.

Lydia upiła latte.

– Hm, zakładam, że potrafiłeś też całkiem nieźle grać i śpiewać, chociaż nigdy nie słyszałam, jak wykonujesz te dwie czynności jednocześnie.

Dill wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

Lydia zrobiła zamyśloną minę.

– Wracając do węży. Myślisz, że Jezus dosłownie miał coś takiego na myśli? Może raczej było tak. Jezus rzuca: *Hm, teoretycznie, pewnie moglibyście brać węże do rąk*, a Marek siedzi obok i notuje, i mówi: *Powinniście brać węże do rąk. Dobra, Jezusie, rozumiem!* A Jezus na to: *Nie no, spokojnie z tymi węzami. Bez kitu, po prostu bądźcie uczciwymi ludźmi. Węże to tylko taka metafora.* A Marek pisze: *Absolutnie i dosłownie macie brać do rąk prawdziwe węże i pić prawdziwą truciznę jak sfermentowany sok z winogron i inne biblijne napoje.*

– Kto wie, co dokładnie miał na myśli? – Dill próbował ukryć zniecierpliwienie w głosie. Naprawdę cieszył się, że Lydia okazuje zainteresowanie jego życiem.

– Przepraszam, nie chcesz o tym rozmawiać?

– Nie, w porządku. – *Pozwól tylko, że zmienię świątynię chrześcijańskiej kawy w czarną studnię kłamstw.*

– Pójdę do piekła za takie żarty?

– Nie, znajdziemy dla ciebie kilka węży, okiełznasz je i po sprawie. A przy okazji, wlałem też trochę arszeniku do twojej latte, kiedy nie patrzyłaś. – Zaśmiali się.

Dill westchnął tak jak wtedy, kiedy zdawał sobie sprawę, że już wystarczająco długo próbuje odwlec wykonanie jakiegoś zadania. Sięgnął do torby po podręczniki.

– Praca domowa pierwszego dnia szkoły – mruknął cicho pod nosem.

– Hej, Dill? Zaczekaj chwilkę – powiedziała cicho Lydia. Sarkazm bez śladu znikł z jej głosu. – Chciałabym z tobą o czymś pomówić.

Serce Dilla gwałtownie przyspieszyło. Od kilku lat, jeśli ktoś robił wstęp w postaci słów „chciałbym/chciałabym z tobą o czymś pomówić”, zawsze okazywało się, że jest to coś, o czym on z kolei absolutnie nie chciałby rozmawiać.

Chciałabym z tobą o czymś pomówić. Twój ojciec ma kłopoty.

Chciałabym z tobą o czymś pomówić. Musisz zeznawać.

Chciałabym z tobą o czymś pomówić. Twoja matka, wracając z wizyty u ojca, miała bardzo poważny wypadek, nie wiadomo, czy przeżyje.

Chciałabym z tobą o czymś pomówić. Podliczając koszty związane z domem, kościołem, procesem twojego ojca i moim wypadkiem, mamy około dwustu siedemdziesięciu tysięcy dolarów długu.

Chciałabym z tobą o czymś pomówić. Zostawiam cię i ruszam dalej, gdzie czeka na mnie znacznie ciekawsze życie, już nigdy więcej o tobie nie pomyślę ani się do ciebie nie odezwę. Prawdopodobnie.

– Okej – powiedział Dill.

– Chciałabym poszukać z tobą szkoły.

Dill popatrzył na nią pytająco, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi.

– Wyższa uczelnia. Chciałabym, żebyś studiował.

– Dlaczego? – Serce Dilla wciąż waliło jak opętane. Słowa Lydie nie okazały się tak straszne, jak się obawiał, ale ich też nie chciał słyszeć.

– *Dlaczego?* – Lydia wyglądała na wytrąconą z równowagi, dziwny stan w jej przypadku. Jakby w ogóle nie przyszło jej do głowy, że powinna uzasadnić swoje słowa. – Dlatego. Przede wszystkim studia to świetna sprawa. Uczysz się funkcjonować w większym świecie, poza Forrestville, zdobywasz lepsze przygotowanie do życia. Absolwenci uczelni zarabiają więcej pieniędzy. Miliony w skali całego życia.

– A ja zostanę w Forrestville i też będzie dobrze. I nie potrzebuję milionów

dolarów. Byłe starczyło na życie. – Dill unikał jej wzroku.

– Dill, kogo ty chcesz oszukać? Tutaj jesteś nieszczęśliwy. Te wszystkie szeptaki, spojrzenia. Daj spokój. Poza tym chciałabym, żebyś znalazł jakiś cel i nie wściekał się na mnie co pięć minut za to, że zmierzam w określonym kierunku.

Dill splótł ramiona na piersi.

– Tak się zastanawiałem, kiedy się okaże, że chodzi o ciebie.

Lydia głośno wciągnęła powietrze nosem.

– *Ergh*. Tu wcale nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie, o to, żebyś zmienił swoje życie na lepsze, a ja przy okazji też coś z tego będę miała – mianowicie tyle, że przestaniesz reagować tak agresywnie, kiedy odmawiam utknięcia na zawsze w tej dziurze. Próbuję cię za sobą pociągnąć.

Do kawiarni weszła rozpromieniona grupka chrześcijańskiej młodzieży kilka roczników młodszej od Dilla i Lydii. Zamówili smoothie i babeczki. *Kiedyś też taki byłem*. Dill zaczekał, aż miną ich stolik, i dopiero wtedy, zniżając głos, odpowiedział:

– Robisz ze mnie projekt. Wybieranie dla mnie ciuchów już nie wystarczy. Teraz chcesz wytyczyć mi drogę.

– Żartujesz? Sądzisz, że traktuję cię jak projekt?

– Przynajmniej tak się czuję. Jak projekt artystyczny. Seria fotografii na twój blog. A nie, nie na blog, bo wszystko wskazuje na to, że ja nigdy się tam nie znajdę.

– Ta-a, okej, dobra. Mój projekt to uczynić twoje życie lepszym. – Głos Lydii przybrał na sile. Zwykle nie miała wyraźnego południowego akcentu, pojawiał się dopiero wtedy, kiedy się porządnie zdenerwowała. – Tak mi przykro, że dbam o ciebie i chciałabym, żebyś miał lepsze życie.

– Na pewno? A może po prostu boisz się, że moje smutne życie zrobi plamę na twoim? Że trzeba mnie podszlifować, bo dopiero wtedy będę czegoś wart.

– Nie, kolego. Mylisz się, i to poważnie. Na myśl o wyjeździe stąd ogarnia cię przerażenie i przenosisz ten strach na mnie. Uważasz, że jeśli przekonasz samego siebie, że kierują mną nieczyste motywy, to nie będziesz musiał stawiać czoła faktowi, że po prostu się boisz.

Gapiło się na nich dwóch osobników z grupki chrześcijańskich młodzieńców. Lydia rzuciła im surowe spojrzenie pod tytułem „pilnujcie własnego nosa”. Zrobili naburmuszone miny. Jeden powiedział coś do drugiego, jakby potwierdzając wcześniejsze słowa Lydii na temat szeptów

i spojrzeń. Dill rozpoznał słowa „pastor” i „więzienie”. Poważnie podejrzewał, że Lydia ich wynajęła. Wcale by się nie zdziwił.

– Posłuchaj – powiedział bardzo cicho – ja też chętnie poszedłbym na studia. Ale nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Stopnie.

– Są w porządku. Może nie wybitne, ale wiele uczelni przyjmuje za sam fakt, że się oddycha. A co ważniejsze, jesteś niesamowicie inteligentny. Nie przyjaźniłabym się z tobą, gdyby było inaczej. Następny argument.

– Nie stać mnie. Nawet gdyby moje stopnie wystarczyły, żeby mnie przyjęli, to nie dostanę stypendium.

– Pomoc finansowa i praca na część etatu. Następny.

– I tak nie byłoby mnie stać, ponieważ muszę zacząć pracę na pełen etat, żeby pomóc rodzinie wygrzebać się z długów. A nawet na więcej niż pełen etat.

– Bardziej pomógłbyś rodzinie w dalszej perspektywie z dyplomem uczelni. Następny punkt.

– Nigdy nie miałem zamiaru studiować. Nikt w rodzinie Earlych nie studiuje. I nikt nigdy nie studiował.

Lydia zakołysała się na krześle z zadowoloną miną.

– Wreszcie prawdziwy powód, najgłupszy ze wszystkich.

– Dzięki, ale to wszystko są prawdziwe powody. Szczególnie ten o pomocy mamie. Jestem wszystkim, co ma. Moi dziadkowie zmarli. Nie mamy w pobliżu żadnych bliskich, którzy mogliby nas wesprzeć.

– Nie próbuję cię namówić, żebyś poszedł na Sorbonę czy Harvard, Dill. Idź na którąś z uczelni stanowych. Będziesz blisko domu.

Młodzi chrześcijanie siedzieli w kręgu, trzymając się za ręce i modląc się nad smoothie i babeczkami. Dill odczekał, aż skończą.

– Czemu Travisowi nie wierzysz dziury w dupie w tym temacie?

– Po pierwsze, nie zakładaj, że nie potrafię wiercić kilku dziur w dupie jednocześnie. Owszem, potrafię. – Pobożni sąsiedzi ze stolika obok zaczęli rzucać w stronę Lydii niechętnie spojrzenia. Zniżyła głos do schrypniętego szeptu: – Potrafię wiercić kilka dziur w dupie jednocześnie. Nawet bardzo wiele. Moje możliwości w tej dziedzinie potrafiłyby zrobić dziury w kontinuum czasoprzestrzeni. Stephen Hawking musiał stworzyć teorię wszechświata równoległego, by wyjaśnić moją wszechobecność w pobliżu

cudzych tyłków.

– A więc Travisowi też wierzysz?

– Nie.

Dill ukrył twarz w dłoniach.

– Posłuchaj – podjęła Lydia. – Nie dręczę Trávisa, ponieważ jemu jest tu dobrze. Ponieważ tak naprawdę Travis nie mieszka w Forrestville w stanie Tennessee. On mieszka w krainie Bloodfall. Będzie szczęśliwy, w dzień przerzucając bale i deski, a wieczorem czytając książki, aż do śmierci. Taki już jest. Ale ty? Wiem, że nie chcesz takiego życia. Całym sobą wołasz, że pragniesz czegoś innego. A ja pokazuję ci, jak to osiągnąć.

– A gdybym przeniósł się do innego miasta i zatrudnił na pełen etat?

– Nie rób niczego połowicznie. Albo idź do college’u, ucz się i zmień swoje życie, albo zostań tu, pogrążony w rozpacz. Nie przeprowadzaj się tylko po to, by pogrążyć się w rozpacz w nowym miejscu. Szkoda czasu.

– Tobie łatwo powiedzieć. Masz kochających rodziców, którzy cię wspierają i chcą, byś odnosiła sukcesy. Stać cię na studiowanie.

– Co z tego, że łatwo mi powiedzieć? W związku z tym nie mam prawa mówić ważnych rzeczy? To chyba trochę sprzeczne z intuicją.

– Nie mogę. Po prostu nie mogę. A przez ciebie czuję się jeszcze gorzej. Jakbyś mówiła komuś na wózkach: *Chodzenie to świetna sprawa. Powinieneś wstać i spróbować.* To nie takie łatwe.

– Mówię komuś na wózkach, żeby zaczął chodzić, ponieważ jego mama i tata też siedzieli na wózkach, i w związku z tym on uważa, że nie zasłużył na to, by chodzić, albo nie chce chodzić, żeby nie zranić ich uczuć.

– Skąd niby masz taki dostęp do moich najskrytszych myśli i uczuć? Nigdy nie mówiłem, że chcę wyjechać z Forrestville.

Lydia znów podniosła głos.

– Och, przestań. Zapytaj któregośkolwiek geja, w którymkolwiek miejscu na świecie – tu kolejna porcja pełnych potępienia spojrzeń z sąsiedniego stolika – czy to, że nie mówi na głos o swoich pragnieniach sprawia, że są one mniej realne. Skąd wiem, że chcesz wyjechać? Ponieważ śmiałeś się na każdym filmie Wesa Andersona, który razem oglądaliśmy. Podobały ci się wszystkie składanki, które ci nagrałam. Przeczytałeś wszystkie książki, które ci poleciłam. I ponieważ jestem twoją najlepszą przyjaciółką i *ja chcę stąd wyjechać.* Jesteś ciekawy świata, głodny doświadczeń, nie zdołasz tego ukryć.
– Jej oczy błyszczały.

– Muszę odrobić lekcje.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Twarz Lydii złagodniała.

– Proszę, zastanów się.

Dill upił kawy.

– To był najgorszy początek roku w dziejach. A to naprawdę sporo mówi.

Powrócił dręczący lęk, który towarzyszył mu podczas wyprawy do Nashville. Teraz nie tylko straci Lydię pod koniec tego roku szkolnego, lecz również ją rozczaruje. A wokół tego lęku krążyło jeszcze inne, równie okropne uczucie: nigdy nie czujesz się równie nagi jak w chwili, gdy ktoś trafnie określa pragnienie, o którego istnieniu nawet nie miałeś pojęcia.

Lydia

Dziewiąta klasa. Dillard Early siedzi na angielskim w odległości jednego rzędu i kilku ławek od niej. Rzadko się odzywa. Często opuszcza lekcje. Jej tata wspominał, że ojciec Dillarda wpakował się w kłopoty – na jego komputerze znaleziono naprawdę paskudne porno, a może to jeszcze nie wszystko. Połączenie perwersyjnej seksualności i dziwacznej religii to w małym miasteczku bardzo podniecający temat rozmów. Zresztą wszędzie. Mówiono o tej sprawie w wiadomościach nadawanych na cały kraj. To temat numer jeden dla komików-amatorów występujących w nocnych programach, którzy nie mogą oprzeć się pokusie i serwują niewybredne żarciki na temat brania węży do rąk. Chodzą słuchy, że materiały pornograficzne należały do młodszego Dillarda, co nie byłoby aż tak odrażające, skoro sam jest niepełnoletni. Ale ludzie omijają go szerokim łukiem – nawet tych kilku nielicznych przyjaciół z kościoła.

Nie żeby ona sama biła rekordy popularności. Właściwie zawsze wolała książki od towarzystwa rówieśników. Jedyna bliska przyjaciółka Heidi rok wcześniej przeniosła się do Memphis.

Czytają *Władcę much*. Nauczycielka pyta ich, jak rozumieją tę książkę. Zwykle nauczyciele nie wzywają Dillarda do odpowiedzi, ponieważ albo uważają, że nie będzie potrafił jej udzielić, albo nie chcą stawiać go w centrum zainteresowania. Jednakże pani Lambert, naiwna istota, widać nie ma takich oporów.

– Dillardzie, jak sądzisz, co ta książka pragnie nam przekazać?

Dillard unosi głowę. Często zasypia podczas lekcji. Wbija w nauczycielkę swoje intensywne wytrącające z równowagi oczy zielonoświątkowca, tak często ostatnio podkreślone ciemnymi obwódkami. Odczekuje chwilę. Nie

wygląda na to, że zbiera myśli, raczej rozważa, czy nauczycielka jest przygotowana, by usłyszeć jego przemyślenia.

– Moim zdaniem mówi, że każdy z nas, rodząc się, ma w sobie nasiona. Jeśli pozwolimy im ujrzeć światło dnia i powietrze, wykiełkują, przebiją się na zewnątrz i nas zniszczą. Jak drzewo rozpychające płyty chodnikowe.

Rozlega się nerwowy chichot, ale dominuje niezręczna cisza.

Pani Lambert mówi:

– Tak, Dillardzie. Ta książka właśnie o tym opowiada.

Logan Walker podnosi rękę i, nie czekając, rzuca:

– Mama mi mówiła, że jak się zje pestki arbuza, to arbuzy wyrosną nam w żołądku.

Klasa się śmieje. Dillard znów kładzie głowę na biurku.

– Wystarczy – ucina pani Lambert.

Ale Lydia nie zwraca uwagi na tę wymianę słów, ponieważ właśnie obdarzyła Dillarda gwałtownym uczuciem. Nie, nie tego rodzaju. W prywatnej lydiowej taksonomii zauroczeń istnieje wiele podkategorii, w większości pozbawionych elementów romantycznych. Raz wymieniła całą listę w poście na nowym blogu. Dziewczyna w stylu hippie z Zachodniego Wybrzeża z opaską na głowie. Tajemnicza brytyjska wokalistka w stylu gotyckim, w poszarpanych sukienkach i boso. Zgryźliwy młody komik pochodzenia żydowskiego, który jest przystojny tylko pod pewnym kątem, i z którym chętnie zjadłaby obiad, ale nic poza tym. I tak dalej, i tym podobne.

I kto by przypuszczał, że znajdzie się miejsce również dla dziwnego, trzymającego się z boku chłopaka ze wsi, syna kaznodziei od węży, który wygłosił w klasie apokaliptyczno-egzystencjalną przemowę. A jednak. Lydia podejrzewa, że przyjdzie jej tego żałować, a Dillard wcale nie jest – jak ona sobie wyobraża – pełen pięknego smutku, samotności i błyskotliwości, tylko jest totalnym jesuso/porno-freakiem i dziwadłem. Ale jeśli nawet, zawsze będzie mogła go rzucić bez szczególnych konsekwencji towarzyskich.

Później odnajduje go na stołówce, gdzie Dillard zwykle jada w samotności, a czasem w towarzystwie Tralisa Bohannona, kolejnego dziwadła, również obciążonego smutną historią. Dzisiaj Dillard jest sam, pisze coś w notatniku. Lydia pyta, czy może usiąść przy jego stoliku. Przygląda jej się podejrzliwie, jakby się zastanawiał, w jaki sposób Lydia zamierza go zranić.

– Siadaj – mówi.

Lydia siada i stawia na stole pojemnik z minimarchewkami, piłą

i hummusem, kupionymi na niedawnej wyprawie do Trader Joe's w Nashville. Lexus SUV matki jęczał pod ciężarem zapasów. Kupili osobną lodówkę na zakupy z Trader Joe's i wstawili ją do garażu, specjalnie z myślą o tych wyprawach.

– Co piszesz? – pyta.

– Nic.

Przejdź do konkretów.

– Nie zamierzam się z ciebie nabijać, tak gwoli wyjaśnienia. Może nie zauważyłeś, ale ludzie, którzy się z ciebie śmieją, do mnie też nie żywią zbyt ciepłych uczuć. Podobało mi się to, co powiedziałaś o książce.

Dill nadal bacznie jej się przygląda.

– Piosenki. W mojej głowie pojawiają się różne pomysły, zapisuję je. Słowa, melodie.

– Jesteś muzykiem?

– Nauczyłem się grać na gitarze i śpiewać w bardzo młodym wieku, żeby grać w kościele taty.

– A więc piszesz chrześcijańskie piosenki?

– Nie.

– Lubisz filmy?

– Tak. To znaczy, zbyt wielu dotąd nie widziałem.

– Co piątek urządzamy u mnie w domu wieczór filmowy. Może chciałbyś przyjść?

– Moja mama jest dosyć surowa.

Lydia wzrusza ramionami.

– Rozumiem. Może innym razem.

Dillard mówi z wahaniem:

– Ale w piątek wieczorem pracuje. Bardzo dużo pracuje, przez całe dni i wieczorami też. Więc jeśli wrócę do domu przed dziesiątą...

– Ja nic nie powiem. Śmierć kapusiom.

I po raz pierwszy odkąd Lydia pamięta, widzi uśmiech na twarzy Dillarda Early'ego.

Lydię z zamyślenia wyrwało przybycie Trávisa, wciąż z mokrymi włosami po prysznicu.

– Sorry, zatrzymali mnie w pracy. Opowieści z przeszłości.

Usiadł obok Dilla i wyciągnął zniszczony egzemplarz Bloodfall.

Lydia oderwała wzrok od pustego ekranu.

– Czytałeś tę książkę co najmniej siedem razy, założę się.

– Osiem.

– To dla...

– Ponieważ w marcu wyjdzie *Nawałnica śmierci*, ostatnia część serii. Czytam całą serię od początku, żeby nie umknęły mi żadne szczegóły, kiedy będę rozmawiał na forum. Są dość brutalni. Nie chcę wyjść na nooba. Czytam z jedną osobą z forum. To świetne książki. Też powinniście przeczytać.

Lydia wywróciła oczami.

– O nie, nie przeczytałabym pięciu tysięcy stron, nawet gdybym mogła znaleźć tam dokładne instrukcje, jak stracić dwadzieścia funtów metodą nałogowego jedzenia ciastek i licznych orgazmów. Macie coś zadane?

– Jezu, Lydio, długo zamierzasz robić dzisiaj za mamę? – spytał Dill. Travis ze zdumieniem unióśł brwi.

Lydia gestem kapitulacji uniosła ręce, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Nie, nie, już skończyłam. Róbcie, co wam się podoba. Oto moja nagroda za to, że próbuję pomóc. – *Oto moja nagroda za to, że próbuję cię powstrzymać od zmarnowania życia i zwiędnięcia w tej cholernej dziurze.*

Telefon zamruczał.

Właśnie byłam na Vivienne Westwood pre-Fall. Wymiata, napisała Dahlia.

ZAZDROSZCZĘ.

Super sprawa, wywracanie trad. pojęć kobiecości etc.

PATRZ WYŻEJ.

Już niedługo. BTW gadałam rano z Chloe. Wyraziła zainteresowanie wspólnym mieszkaniem w NY.

Chloe Savignon była młodą aktorką i projektantką mody. Lydia nigdy nie spotkała jej osobiście, ale korespondowała z nią w sieci i widziała jej filmy. Chloe była fanką *Dollywould*.

Mam doła, napisała.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało jej życie za rok. Ta zmiana będzie zasługą jej własnej siły woli i ambicji. Z zera w dziurze zabitej dechami na skraju Wyżyny Cumberland do wspólnego mieszkania z aktorkami i dziedziczkami przemysłu modowego w najmodniejszym mieście świata oraz do studiowania na jednym z najlepszych uniwersytetów. Nieskończone możliwości. Jej nowi znajomi będą ubierać się i mówić inaczej. Będą

pochodzić z wielkich miast i elitarnych szkół. Będą spędzać weekendy w domach nad morzem. Będą prowadzić nocne rozmowy o Chomskim, Sartrze i Kraftwerku, o Kurosawie i wiosennej kolekcji Givenchy. Będą wprowadzać ją w nowe rzeczy, chociaż do tej pory zawsze ona musiała grać tę rolę. Tak będzie. Nie, żeby to tutaj jej się nie podobało. Nie twierdziła, że Dill i Travis nie są dobrymi przyjaciółmi. Nie twierdziła, że nie będzie za nimi tęsknić. I czuć wyrzutów sumienia, że ich zostawia. Ale...

Za rok o tej porze nie będzie siedziała w chrześcijańskiej kafejce obok przyjaciół, którzy potępiają jej ambicje – to na pewno.

To był dobry punkt wyjścia, by zacząć szkic eseju, który należało dołączyć do papierów wysyłanych na uczelnie. Zaczęła pisać.

Urodziłam się i dorastałam w Forrestville w stanie Tennessee – liczba ludności 4237 według ostatnich statystyk. Trudno się dziwić, że firmy technologiczne i komputerowe, koncerty medialne i tak dalej raczej niechętnie zakładają oddziały w mieście nazwanym na cześć Nathana Bedforda Forresta, generała konfederatów i założyciela Ku Klux Klanu. W Forrestville okazji i możliwości nie pukają do drzwi. Trzeba je stworzyć samemu.

Okna kawiarni wychodziły na główny plac. Ludzie z jej klasy zbierali się w stojącej pośrodku altanie i traktowali plac jak punkt, w którym się zawracało, jadąc główną ulicą, by docelowo wylądować na parkingu przed Walmart. Widziała, że już zaczynają się gromadzić.

Kolejny esemes od Dahlii. *Za godzinę spotykam się z mamą na obiedzie. Życz mi szczęścia.*

Przy okazji, czy twoja mama mogłaby napisać mi list polecający? Potrzebuję kilku.

Co ja wyprawiam, pomyślała. Właśnie jak gdyby nigdy nic poprosiłam o list polecający jedną z najpotężniejszych kobiet w mediach. Lydia spotkała Vivian Winter jeden jedyny raz, podczas Tygodnia Mody (w Nantucket za ich nianię robił ojciec Dahlii, makler). Na szczęście Dahlia uwielbiała okazje, dzięki którym mogła pokazać, jaka jest wpływowa.

Mama cię uwielbia. Nie ma problemu.

Odniosłszy to niewielkie zwycięstwo, Lydia wróciła do pracy nad esejem.

Kiedy miałam trzynaście lat, uznałam, że nie ma powodu, by wyłącznie

dorośli mieszkający w wielkich miastach mieli prawo wypowiadać się na forum międzynarodowym w takich kwestiach jak moda, kultura popularna i sztuki plastyczne – trzy rzeczy, które kocham najbardziej na świecie. Dlatego zaczęłam prowadzić blog zatytułowany *Dollywould*. Zaczepnęłam inspirację z cytatu jednej z moich idolek, również pochodzącej z Tennessee, bardzo silnej kobiety – Dolly Parton. Powiedziała ona: „Jeśli nie podoba ci się droga, którą idziesz, wyznacz sobie inną”. I tak właśnie zrobiłam. Utorowałam sobie inną. Pisałam z serca o rzeczach, które kocham, a z czasem ludzie zaczęli zwracać uwagę na moje słowa.

Co miesiąc mój blog odwiedzają dziesiątki, niekiedy setki unikalnych użytkowników. Mam ponad sto tysięcy followersów na Twitterze i Instagramie. O *Dollywould* wspomniano w „Teen Chic”, „Cosmopolitan”, „Elle”, „Seventeen” oraz „Garden & Gun”. Od dwóch lat dostaję zaproszenia na Tydzień Mody w Nowym Jorku. Przeprowadzono ze mną wywiad dla „New York Times”. Gościłam jako sędzia w konkursie *Project Design* organizowanym przez Bravo Network. Co tydzień dostaję paczki od projektantów, którzy przysyłają swoje rzeczy, bym wspomniała o nich na blogu.

Tworząc *Dollywould*, pragnęłam stworzyć przestrzeń, która doda sił młodym ludziom – szczególnie młodym kobietom – których gust wykracza poza mainstream, którzy czują się samotni, ponieważ nikt ich nie rozumie. Wiem, co oni czują. W liceum mam dokładnie dwóch przyjaciół. Jeden to syn zawieszonoego w czynnościach pastora, który praktykuje kielźnianie węży, odsiadującego obecnie karę więzienia. Drugi pracuje w składzie drewna, by zarobić na książki.

Trochę południowego fetyszyzmu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Dill i Travis być może nie pasowali stylem do bloga, za to doskonale wpisywali się w narrację eseju.

Dill

Dill odbił kartę, zdjął zielony fartuch, złożył go i wsadził do plecaka. Był w dobrym nastroju. Od czasu, kiedy poznał Lydię, doktor Blankenship co roku pierwszego piątku po rozpoczęciu nowego roku szkolnego, przed cotygodniowym wieczorem filmowym, urządzał dla nich uroczysty obiad. Zawsze robił to w wielkim stylu, podawał wędzoną łopatkę wieprzową, chleb z mąki kukurydzianej, kapustę, zapiekany makaron z serem, słodką herbatę na zimno, a na deser ciasto upieczone przez panią Blankenship. Był to najsmaczniejszy posiłek, jaki Dill zjadał w ciągu całego roku. Aby nacieszyć się nim w pełni, pozwolił sobie nawet na taki luksus, by zapomnieć, że to już nigdy więcej się nie zdarzy.

Po drodze z pracy do domu Lydii nucił pod nosem nową piosenkę, nad którą ostatnio pracował. Wciągnął w nozdrza zapach podpałki i płonących węgli napływający z jednego z domów.

Minął punkt naprawczy, który właśnie zamykano. Drzwi się otworzyły, a na progu pokazała się kobieta w prostej, chyba szytej w domu sukience, z dwójką dzieci, dziewczynką i chłopcem.

Dill przystanął.

– Siostra McKinnon? – Nieczęsto spotykał członków dawnego kościoła. Większość mieszkała poza Forrestville i rzadko zaglądała do miasta.

Kobieta podskoczyła na dźwięk swojego nazwiska. Popatrzyła na Dilla, rozpoznała go dopiero po chwili.

– Brat Early? A niech mnie, prawie cię nie poznałam. Urosłeś chyba co najmniej o stopę od naszego poprzedniego spotkania. Kiedy to było?

– Pewnie zaraz po tym, jak mój tata... Jakies trzy lata temu, jak sądzę.

– A jak tata się miewa?

- Chyba w porządku. Widziałem się z nim tydzień temu.
- Taki pobożny człowiek. Każdego dnia modłę się o opiekę i zdrowie dla niego.
- Ja też – skłamał Dill.
- Zawsze wierzyłam, ale kiedy ujrzałam, jak objawiają się w nim znaki... Jeśli kiedykolwiek miałam wątpliwości, on sprawił, że znikły bez śladu.
- Mamo, chodźmy – powiedział chłopiec, ciągnąc kobietę za ramię.
- Jacobie, uspokój się. Tata płaci panu, który naprawił pralkę, a potem jeszcze trzeba ją wnieść do samochodu.
- Dill ukląkł, by przybić z chłopcem piątkę.
- To jest Jacob? Kiedy ostatnio go widziałem, był o połowę mniejszy.
- Rosną stanowczo za szybko. Chodźcie gdzieś z mamą na nabożeństwa?
- Oboje dużo pracujemy, ale jeśli uda nam się znaleźć wolną chwilę, chodzimy do Kościoła Bożego.
- Siostra McKinnon uprzejmie pokiwała głową.
- Och, rozumiem. Oni też praktykują świadczenie znaków?
- Nie do końca. Tylko uzdrawianie i mówienie językami.
- Znów pokiwała głową.
- Och, no cóż. Słowo boże jest słowem bożym, niezależnie od tego, gdzie je słyszymy.
- Mamooo. – Jacob znów pociągnął matkę za rękaw.
- Wejdz do środka, porozmawiaj z tatą. No już. Zabierz siostrę. – Dzieci wbiegły do środka. Siostra McKinnon odwróciła się w stronę Dilla. – My chodzimy do kościoła znaków we Flat Rock, w Alabamie.
- To chyba zabiera...
- Dwie godziny w każdą stronę. Około stu mil. – Wskazała na zniszczony biały van na piętnastu pasażerów. – Kupiliśmy go i podwozimy Harwellów i Breedingów. Dokładają się do paliwa. Nadal kolegujesz się z Joshua Harwellem?
- Nie. Już... chyba przestaliśmy się dogadywać. – Gęsta cisza. – Wciąż prowadzi pani grupę młodzieżową, jak w naszym kościele? – spytał Dill. – Była pani moją ulubioną liderką.
- Uśmiechnęła się ze smutkiem.
- Nie. Nie powołują nas, bo za daleko mieszkamy. A ty? Grasz w nowym kościele?
- Nie.

– Szkoda. Miałeś w sobie wielkiego ducha do muzyki.

W tym momencie drzwi zakładu otworzyły się przy wtórze dzwoneczka i wytoczył się z nich brat McKinnon wraz z dziećmi i pralką na wózku transportowym. Dill podbiegł, by przytrzymać drzwi. Brat McKinnon podziękował, nie zaszczycając go spojrzeniem. Z trudem pchając wózek, podszedł do vana od strony bagażnika, przystanął, dysząc i ocierając czoło bandaną. Spojrzał na Dilla i zrobił skwaszoną minę.

– Hej, bracie McKinnon – rzucił Dill i wyciągnął rękę, w nadziei, że przełamie lody. Szczerze mówiąc, takiej właśnie reakcji spodziewał się ze strony byłych współwyznawców.

Brat McKinnon miał jednak inne zamiary.

– Nie sądziłem, że się spotkamy. Myślałem, że jesteś zbyt zajęty wydawaniem swoich trzydziestu srebrników.

Dill poczerwieniał, próbował znaleźć jakąś odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Siostra McKinnon dotknęła ramienia męża.

– Dan, proszę...

Uniósł rękę.

– Nie, nie. Mam ochotę powiedzieć Juniorowi, co o tym myślę. Od dawna miałem na to ochotę.

O rany. Zapowiada się niezła zabawa. Dill postanowił odejść.

– Siostrzo McKinnon, miło było panią spotkać.

W tym momencie brat McKinnon chwycił Dilla za ramię i mocno ścisnął. Podniesionym głosem wyrzucił mu prosto w twarz, opryskując go śliną:

– Nie nazywaj jej siostrą. Dobrze wiesz, co narobiłeś. A skoro nie chcesz o tym słuchać, cóż, widać sumienie się odzywa. Przez ciebie moja rodzina ma kłopoty. Całą niedzielę siedzę za kółkiem. Setki dolarów wydaję na paliwo. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Dill wyrwał ramię i wbił wzrok w ziemię.

– Nie jestem. Przykro mi. – Jakiś przechodzień po drugiej stronie ulicy zatrzymał się, by popatrzeć na przemoc wśród pobożnych chrześcijan kiełznających węże.

Brat McKinnon zaśmiał się sarkastycznie.

– Och, przykro ci. Za twoje przykro i czterysta na miesiąc mogę kupować paliwo, żeby wychować dzieciaki w prawdziwej wierze. Przykro mu. – Splunął Dillovi pod nogi.

Dill spojrzał prosto w pełne jadu oczy brata McKinnona, a jego zawstydzenie ustąpiło wściekłości.

– Tak. Przykro mi, że nie układa się panu tak, jak by pan chciał. Ale nie ponoszę winy za to, co zrobił mój ojciec. Sam wpakował się w kłopoty.

Brat McKinnon dźgnął Dilla palcem wskazującym w pierś i powiedział groźnym szeptem, akcentując każde słowo:

– Tak sobie wmawiasz, Judaszu. Ale wmawiaj to sobie gdzie indziej, bo na widok twojej gęby mam ochotę zrobić coś, czego będę żałował.

Dill nic nie odpowiedział, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Adrenalina krążyła mu w żyłach, nogi miał jak z gumy, mdliło go. Czuł się jak umykający karaluch, którego ktoś wygonił z kryjówki. Postanowił, że jednak nie dotrzyma danej sobie obietnicy, jednak będzie pamiętał, że dzisiejszy obiad jest ostatnim tego rodzaju w jego życiu. *Oto, co ci pozostanie, kiedy ona wyjedzie. Sprzeczeki na ulicy z byłymi członkami kościoła taty, którzy uważają, że sprzedałeś go Rzymianom.* Trzymał nisko opuszczoną głowę i od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia na boki, ale o tej porze ulice skąpane w rdzawym świetle były niemal puste.

Obiad był wyśmienity, jak zwykle. Dobre jedzenie i towarzystwo przyjaciół zmyły wspomnienie o spotkaniu z McKinnonami. Ale chociaż przykre uczucie znikło, zastąpiło je za to dojmujące wrażenie opuszczenia i smutku. Oczywiście Dill zawsze przeżywał swego rodzaju męczarnie, spędzając czas z rodziną Lydii, w ich domu, przez kontrast z własną rodziną i domem. Jasne, przestronne pomieszczenia pełne pięknych przedmiotów i nowoczesnych sprzętów, zawsze pachnące białymi kwiatami i cytrusami... a z drugiej strony jego ciasny, ciemny dom wypełniony upadkiem, wonią stęchlizny, starych dywanów i kleju, który trzymał wszystko do kupy. Kochająca rodzina, pogrążona w ciepłej rozmowie – Lydia, jedynaczka z wyboru... a po jego stronie rodzina rozbita, matka traktująca go jak dziecko, chociaż tylko osiemnaście lat starsza od niego – Dill był jedynakiem dlatego, że Bóg nie chciał dać jego rodzicom więcej dzieci (ich słowa).

Tym razem czuł się tak, jakby siedział na plaży, ciesząc się słońcem, podczas gdy wokół jego kostek już wznosiła się zimna fala. *Za rok już tego nie będzie.*

Albo jakby siedział przy łóżku szpitalnym kogoś, kto miał za sobą wspaniały dzień, ale wiedział, że umiera. Dill znał to uczucie.

12

Travis

Tego roku ziemia Raynara Northbrooka przyniosła obfity plon, często więc świętowano przy ciężkim dębowym stole stojącym w największej hali. Kazał przynosić chleb i mięswo, aż poczuł się syty i rzucił resztki psom śpiącym koło paleniska, na którym trzaskał ogień. Raynar był w podniosłym nastroju.

– Zapomniałem powiedzieć, że bardzo podoba mi się wasz stół. – Travis przerwał sprzątanie i przesunął dłonią po drewnianej powierzchni.

– Dziękuję, Travisie. Masz wyśmienity gust – odparł doktor Blankenship.

Travis rozpromienił się. Nieczęsto dostawał komplementy tego rodzaju – jedno z niebezpieczeństw nieodłącznie towarzyszących noszeniu naszyjnika ze smokiem.

Nagle zamruczał telefon.

Nudzę się. Siedzę sama i bawię się z psem. A ty co porabiasz?, napisała Amelia.

Travis włożył talerz do zmywarki. Właśnie jadłem obiad u koleżanki. Pomagam sprzątać. Jak ma na imię twój pies?

Brzmi dobrze! Wabi się Pikiel.

Niemożliwe! Mój najlepszy przyjaciel ma na imię Dill!

LOL, co? Kiedyś powinniśmy ich ze sobą poznać.

Zdecydowanie.

– Ostatnio mam jazdę na Wenera Herzoga – oznajmiła Lydia. – A dzisiaj moja kolej. Tak więc na dzisiejszy seans wybrałam *Jaskinię zapomnianych snów*.

Rodzice Lydie przenieśli się na ganek, z fotelami bujanymi, winem i książkami, a Travis ruszył za Lydią i Dillem do salonu.

Podczas gdy oglądali dokument o liczących trzydzieści dwa tysiące lat

malowidłach we francuskiej jaskini Chauvet, ozdobiony egzystencjalnymi przemyśleniami w wykonaniu mówiącego z silnym akcentem Herzoga, Travis mimowolnie zastanawiał się, co powiedziałby jego ojciec, gdyby tu teraz był. *O czym ten pedał bredzi? Nie rozumiem ani słowa.* Travisowi film bardzo się podobał, jak wszystko, co niosło ze sobą otoczkę czegoś starego, tajemniczego i rozświetlonego blaskiem ognia.

– Ostatnio zastanawiałam się nad tym, czym jest trwanie, jak przeżywamy swoje życie, a świat nawet nie dostrzega, kiedy się na nim zjawiamy i kiedy odchodzimy – powiedziała Lydia, kiedy przewinęły się napisy końcowe.

– Wielu chrześcijan wierzy, że świat liczy zaledwie sześć tysięcy lat – zauważył Dill. – Pomyślcie tylko. Te malunki istnieją niemal pięć razy dłużej.

– Skłania do refleksji, co my zostawimy po sobie – powiedział Travis. – Ja chciałbym coś zostawić, by ludzie mnie zapamiętali. Tak jak królowie. Albo ci, którzy namalowali te freski w jaskini. – Dowiedział się tego o sobie dokładnie w momencie, gdy słowa wyszły z jego ust.

Przez chwilę siedzieli pogrążeni w rozmyślaniach.

– Też powinniśmy coś po sobie zostawić – stwierdził Travis. – By zapisać się w ludzkiej pamięci. Naszą wersję malowideł naskalnych.

Lydia wyjątkowo nie zareagowała żartem, co znaczyło, że pomysł jej się spodobał.

– Ale nie w jaskini. Nie mam ochoty pełzać po żadnych jaskiniach.

– Kolumna – zaproponował Travis po namyśle. – Nikt z nas nie potrafi rysować, ale moglibyśmy napisać na niej coś, co jest dla nas ważne.

– Dobrze. Wyczuwam świetny materiał na post – odparła Lydia. – Ale po kolei. Czy każdy z nas wie, co chciałby napisać? Dill?

– Fragment jednej z moich piosenek.

– Trav?

– Nauczyłem się na pamięć słów, które Raynar Northbrook wyrył na kamieniu leżącym na grobie jego najlepszego przyjaciela. To mój ulubiony cytat.

– Dobra. A więc tylko ja muszę coś wymyślić. Pójdę się przebrać i przy okazji się zastanowię. – Pobiegła na górę i wróciła kilka minut później w stroju bardziej odpowiednim do łażenia po lesie.

– Okej – powiedziała. – Markery permanentne. Grube.

– Walmart – odparł Travis. Rzadko grał rolę katalizatora wspólnych wyczynów i czuł się bardzo dumny.

– Walmart w piątkowy wieczór? Spotkamy wszystkich znajomych ze szkoły!
– zauważył Dill.

– O tak! – powiedziała Lydia. – W końcu stęskniliśmy się za porządną zabawą, oglądając dokument Herzoga. Odbudujmy naszą pozycję towarzyską.

Blask gwiazd sączył się przez zielony baldachim wysokich dębów i magnolii na ulicy, przy której mieszkała Lydia. Ledwo wyszli w parną noc, strużka potu pociekła Travisowi po szyi. Ale wcale się nie przejął. Lepszego piątkowego wieczoru nie mógł sobie wymarzyć.

Kiedy zajechali na parking przed Walmart, na szafirowe niebo wyszedł jasny srebrzysty księżyc. Od strony grupy samochodów stojących w rogu parkingu dochodziły pokrzykiwania, śmiechy i muzyka. Travis zostawił kij w samochodzie.

– Dillllllldoooooooooooo. Chlamydiaaaaaaaaaa – zawołał ktoś.

Lydia potrząsnęła głową.

– Oto moje życie. Wysłuchiwanie w piątkowy wieczór na parkingu przed Walmartem wyzwick autorstwa osoby, która jest równie zabawna jak komedie z koszarowym poczuciem humoru i granicą wieku od lat trzynastu.

– Właśnie oglądaliśmy bardzo mądry dokument, więc to nie jest tak naprawdę twoje życie – stwierdził Travis.

– Zaczynam podejrzewać, że niewiele straciliśmy, nie biorąc udziału w szalonych zabawach na parkingu przed Walmartem – rzucił Dill.

– Hej, harcerko, pobawimy się w podchody? – zawołał ktoś inny.

Lydia starannie dobierała strój na każdą okazję. Teraz miała na sobie vintage'owy T-shirt z obozu letniego, szorty turystyczne i wysokie buty z lat siedemdziesiątych.

– Chyba mi się należało – stwierdziła.

Czy ćwoki w twojej szkole też spędzają piątkowe wieczory na parkingu przed Walmartem?, napisał Travis do Amelii.

A jakże, odpisała. Jakbyśmy mieszkali w tym samym mieście.

Chciałbym. Uwielbiam moich przyjaciół, ale byłoby super pogadać z tobą o Bloodfall.

Kupili markery i pojechali bezimienną zwirową drogą kończącą się kępą drzew nad brzegiem rzeki Steerkiller przecinającej Forrestville. Powietrze pachniało kudzu, błotem, zimnym zwirowym i martwymi rybami.

Ten zapach. Travis ma czternaście lat. Przyjechał z matką na wieczorne

sobotnie nabożeństwo w Kościele Bożym w Forrestville. Do ich niewielkiej kongregacji dołączyła nowa rodzina. Crystal i Dillard Early Junior, żona i syn Dillarda Early'ego Seniora, kielżnającego węże kaznodziei zbrojeńca. Nieliczna grupa zgromadzona wokół postaci Early'ego rozpadła się po jego aresztowaniu, a Kościół Boży to w całym Forrestville najlepsza opcja, jaka może ją zastąpić. Tu też dostaną mówienie językami w Duchu Świętym i nakładanie rąk w celu leczenia chorych. Natomiast kielżnianie węży i picie trucizny będą musieli uprawiać w domu, jeśli najdzie ich taka ochota.

Siedzą z tyłu, obok Trávisa i jego mamy. Wyglądają, jakby nie spali od wielu miesięcy, i pewnie tak właśnie jest. Dillard na nikogo nie patrzy. Nic nie wskazuje na to, by czerpał pocieszenie z wizyty w domu bożym. Sprawia wrażenie opuszczonego i samotnego. Travis wie, jak to smakuje. Sam zbiera podejrzliwe spojrzenia z powodu ubrań i upodobania do niechrześcijańskich książek.

Wie też coś na temat straty i bezsennych nocy. Rok wcześniej jego starszy brat Matt zginął w wybuchu bomby w Afganistanie. Ojciec nigdy nie należał do najmilszych osób na świecie, ale kiedy pił, robił się naprawdę straszny. Po śmierci Matta zaczął pić więcej. Znacznie więcej. Travis też się zmienił. Kiedyś uwielbiał książki i gry video o współczesnych żołnierzach, ale teraz tylko przypominają mu one o bracie. Przypominają o tym, jak Matt przesyłał mu zdjęcia przedstawiające jego i kolegów siedzących na humvee z bronią w rękach. Co znaczy, że stare książki i gry przypominają mu o smutku i stracie oraz o tym, że nie dochował wierności dziedzictwu po Matcie. Swoją porcję walk i bohaterstwa czerpie teraz z książek fantasy. W nich znajduje ucieczkę ze świata, w którym starsi bracia giną w dalekich krajach. Kiedy matka dowiaduje się, skąd Travis czerpie pociechę, przywozi mu z zakupów w Nashville pierwszy tom z serii Bloodfall, którą polecił jej pracownik księgarni.

Travis chwyta spojrzenie Dillarda, uśmiecha się i macha. Dillard, z kamienną twarzą, też macha. Coś mówi Travisowi, że powinien zagadać. Zawsze go uczono, że Duch Święty przemawia poprzez pragnienie czynienia dobra, i kiedy słyszy się to wołanie, należy na nie odpowiedzieć. Poza tym sam czuje się samotny. Jedną z konsekwencji ucieczki w świat fantasy było to, że zostawił za sobą skromną grupę przyjaciół – większość z nich znał właśnie z kościoła.

Przysuwa się do Dillarda i podaje mu rękę. Ten ją ścisła.

Następnym razem, kiedy spotykają się na zebraniu grupy młodzieży, Travis pyta Dillarda, czy chciałby zobaczyć pewne świetne miejsce, które pokazał mu brat przed wyjazdem na obóz dla rekrutów. Można tam posiedzieć w samotności ze swoimi myślami. Travis tego nie mówi, ale jest to również dobre miejsce, by uciec, kiedy ojciec pije i ogląda futbol w telewizji, i wspomina, jakim świetnym graczem był twój brat, i pyta, czy podobałaby ci się praca trenera afroamerykańskich (choć używa innego słowa) milionerów i nie odpuszcza, aż ty – by go ugłaskać, ponieważ jego pas nieraz był w akcji – kłamiesz i mówisz, że chyba nie chciałbyś takiej pracy. A potem nienawidzisz samego siebie za to, że jesteś tchórzem i nigdy nie mówisz tego, co naprawdę myślisz. Nienawidzisz siebie za to, że nie jesteś dobry w sportach, tak jak twój zmarły brat. Nienawidzisz siebie za to, że nie jesteś tak odważny jak ludzie, o których kochasz czytać w książkach. I marzysz, by znaleźć się w miejscu, gdzie nikt nie będzie wywoływał w tobie takiego poczucia.

– Travis, tym razem możesz zabrać kij – powiedziała Lydia, wrywając go z zamyślenia. – W nocy to miejsce zawsze trochę mnie przeraża.

– A jeśli zobaczy cię w moim towarzystwie opos czy szop pracz? Przeżyjesz taką hańbę?

– Przynieś kij, zanim zmienię zdanie.

13

Dill

Mam też paralizator i gaz pieprzowy – powiedziała Lydia. – Mama zadbała o moje uzbrojenie.

– O co ci chodzi? – zapytał Dill. – Planujesz spotkanie z grupą morderców?

– Jestem kobietą publicznie wypowiadającą opinie na różne tematy. Muszę zachowywać ostrożność.

– Może powinniśmy z Travem zacząć nosić garnitury i okulary przeciwsłoneczne, kiedy z tobą wychodzimy.

– Skończyłeś?

– Aha.

Przedzierali się przez krzaki u podnóża wiaduktu. Nad rzeką chór żab dołączył do brzęczenia owadów. Dill szedł na czele, świecąc latarką z samochodu Lydii.

Lydia oświetlała sobie drogę ledową latarką w telefonie.

– Boję się węży.

– W razie problemów z węzami Dill załatwi sprawę – stwierdził Travis. – Słyszałeś?

Dill pacnął komara i odparł:

– Ta-a. Słyszałem.

Grunt robił się coraz bardziej podmokły. Lydia próbowała robić zdjęcia.

– Fajne – stwierdziła. – Takie w stylu Ryana McGinleya. Może któryś z was ma ochotę się rozebrać i pobiegać w ciemności, a ja cyknę parę fotek?

Dill stanął za Lydią i spojrzął na fotografię.

– Nieszczęśliwie.

– Przeze mnie sprzęt by popękał – odparł Travis.

– Daj spokój, Travis. Masz piękne ciało. Dill, powiedz Travisowi, że ma piękne ciało.

Ten cytat z serialu *Luzaki i kujony*, jednej z obsesji Lydii, powtarzał się w ich gronie, odkąd Lydia w ciągu jednego dnia zmusiła ich do obejrzenia wszystkich odcinków. I za każdym razem niezmiennie ich śmieszył.

Dotarli do wielkiego, wspierającego konstrukcję wiaduktu, betonowego słupa, który wyrastał z ziemi tuż nad brzegiem rzeki. Pokonując błoto zasysające się wokół butów, podeszli do wąskiej metalowej drabinki pomalowanej odłazącą zieloną farbą. Aby dotrzeć do Kolumny – umieszczonej na środku rzeki – musieli wspiąć się po drabince, przejść kładką pod mostem i zejść po kolejnej drabince.

– Zastanawiam się, czy powinnam odwołać się do przywileju pod tytułem „kobiety przodem”, by uniknąć wspinania się po ohydnych, zabłoconych przez was szczelach, czy też wolę, żeby któryś z was poszedł pierwszy i sprawdził, czy przypadkiem jakiś wielki pająk nie uwił tam sobie gniazdka.

– Wielki pająk, jak Sha’alar, Królowa Pająków – mruknął Travis, wystarczająco głośno, by wszyscy zainteresowani mogli spytać, kim jest Sha’alar. Ale nikt nie spytał.

– Proszę. – Dill chwycił drabinę, uniósł nogę, wytarł podeszwę o kolumnę, potem drugą, i dopiero wtedy postawił stopę na najniższym szczelb. – Nie musisz wybierać. Nie zabrudzisz sobie rączek tym, co po sobie zostawię, kiedy zamorduje mnie Shalimar czy jak jej tam.

Wspięli się po drabince i przecisnęli przez wąski otwór. Travis musiał mocno wciągać brzuch.

– Następnym razem musimy pamiętać, żeby zabrać masło i nasmarować Travisa – powiedział Dill.

Travis zaśmiał się i jeszcze mocniej wciągnął brzuch.

– Ej, daj mi rękę.

– Najpierw chociaż postaw mi obiad – odparła Lydia swoim najlepszym seksownym głosem w stylu gwiazdy z lat czterdziestych, strząsając popiół z nieistniejącego papierosa.

– Gdybyś tylko tak łatwo wyłaził z dziur, jak w nie włazisz – rzucił Dill.

Kiedy wreszcie udało im się wyciągnąć Travisa, poszli dalej, wąską kładką prowadzącą do Kolumny. Travis musiał się schylać, by nie uderzyć głową o sklepienie. Dotarli do kolejnej drabinki i zeszli po niej.

– Jeśli chodzi o dziury, to znacznie bardziej lubię z nich wychodzić, niż

w nie wchodzić.

– Nie śmiem tego skomentować – powiedziała Lydia, wciąż swoim retro głosem.

– Dosłownie gwałcimy ten biedny wiadukt – stwierdził Dill.

– Nie to miałem na myśli. Jesteście okropni.

Wreszcie dotarli do Kolumny, gdzie było trochę więcej przestrzeni. Dill dyskretnie posłał kopniakiem do wody opakowanie po kondomach.

– Za każdym razem, kiedy tu przychodzimy, zastanawiam się, do czego w ogóle służy ta drabinka – powiedział.

Lydia zaczęła szperać w torbie w poszukiwaniu książki i markerów.

– Prawda? Coś jak: „Hej, Butch, zszedłbyś no na dół i spojrzął, czy Kolumna wciąż tam stoi?”, „Tak jest, szefie”, „Hura! Stoi, a jakże!”.

– Muszą tu schodzić, żeby czyścić i malować metalowe części oraz sprawdzać nity i spoiny – wyjaśnił Travis, poklepując Kolumnę. Wydała głuchy metaliczny dźwięk.

Lydia wybrała szerokie, płaskie miejsce i starła z niego brud.

– Jak to możliwe, że za każdym razem, kiedy rozmawiamy o prawdziwym świecie, ty gadasz o świecie wyobraźni, a kiedy mówimy o świecie wyobraźni, ty wspominasz o prawdziwym świecie?

Travis wzruszył ramionami.

– Moja wyobraźnia jest bardziej interesująca od prawdziwego świata, a maszyny i narzędzia są bardziej interesujące niż wasza wyobraźnia.

Lydia zrobiła zdjęcie pustego miejsca.

– Jasne. Niech ci będzie. Podaj marker.

I zabrała się do dzieła, świecąc sobie telefonem. Dill i Travis przeszli na drugą stronę.

Najpierw zaskrzypiał marker Trávisa.

– Chłopcy, tylko uważajcie, żeby nie spaść. Najważniejsze bezpieczeństwo.

– Są pewnie gorsze rodzaje śmierci niż upadek do rzeki zaraz po mile spędzonym wieczorze z przyjaciółmi – stwierdził Dill.

– A jaki byłby według was idealny rodzaj? Gdybyście mogli wybrać? – spytał Travis.

– Jezu, Travis, co za mroczne myśli – powiedziała Lydia. – Ale hej, widzę tu pożywkę na kolejne posty na blogu. Dill? Odnoszę wrażenie, że wcześniej to przemyślałeś. Tę rozmowę, znaczy. Wytrącić nas z równowagi. Tylko oby nie dosłownie, bo spadniemy z Kolumny.

Dill zamyslił się i zapatrzył na rzekę, jej wiry i prądy, we wzory tworzące się na powierzchni, by zaraz zniknąć. Słuchał uporządkowanego chaosu wydawanych przez nią dźwięków. Księżyc wspinał się po niebie z Wenus u boku. Na horyzoncie, na tle nieba o barwie indygo, wyrastał maszt radiowy, leniwie migając czerwonymi światełkami. Ciepły wieczorny wiatr przynosił zapach lipy i wiciokrzewu. W oddali zagwizdał pociąg, wkrótce przetoczy się nad nimi z hukiem podobnym burzy z piorunami. Dill był jak kamerton, oddający dźwięk tego miejsca, tej chwili.

– Tutaj – powiedział. – Tu będzie dobrze. Lydio?

– Otoczona służącymi, którzy rwą na sobie szaty i wyją z rozpacz, błagając o pozwolenie, by dołączyć do mnie w życiu pośmiertnym i nadal mi służyć.

– Nawet nie wiem, czy w tym momencie żartujesz czy nie – odparł Dill.

– No dobra. – Po namyśle Lydia powiedziała: – Fascynuje mnie życie i śmierć Marthy Gellhorn. Była dziennikarką i moją bohaterką. Robiła niesamowite rzeczy. Powiedziała, że chce umrzeć, kiedy będzie za stara, by jasno myśleć i robić ciekawe rzeczy. Kiedy miała dziewięćdziesiąt lat czy coś koło tego, rozgryzła kapsułkę z cyjankiem. Gdyby istniał sposób, by umrzeć w eksplozji piękna i światła, jak petarda, to tak właśnie chciałabym odejść. Chciałabym, żeby ludzie o mnie mówili i pamiętali mnie po śmierci. Chciałabym wyryć swoje nazwisko na powierzchni świata.

W tym momencie usłyszeli zbliżający się pociąg.

– Powiem, jak przejedzie – krzyknął Travis.

Kiedy ucichł huk, Travis powiedział, zapatrzone na rzekę:

– Ja chciałbym odejść w chwale. Na zielonym polu bitewnym, jako stary wojownik otoczony przyjaciółmi. – Urwał, by pozbierać myśli. – Mógłbym wstąpić do marines, jak Matt, gdybym chciał po prostu zginąć na wojnie. Ale nie tego pragnę. Nie chcę zginąć w Afganistanie czy innym dalekim kraju. Chciałbym zginąć, walcząc za swój dom. Za ważną dla mnie sprawę. Dlatego to napisałem.

Dill podał mu latarkę.

– Pokaż.

Travis poświecił na Kolumnę.

Rycerzu, spoczywaj, dumny w zwycięstwie, dumny w śmierci. Niech twoje imię stanie się światłem dla tych, którzy cię miłowali. Niech białe kwiaty wyrosną w miejscu twego spoczynku. Życie twoje było spełnione, a teraz posilas się

w halach Starszych na wiecznej uczcie.

– Nie miałam pojęcia, że te książki aż tyle dla ciebie znaczą – mruknęła Lydia. – Teraz mi głupio, że nabijałam się z Bloodfall.

– To znaczy, że zamierzasz je przeczytać?

– Nie.

– Są wspaniałe. Kiedy je czytam, zapominam o wszystkim, w czym jestem słaby, i o wszystkim, czym nie mogę być. Dzięki nim czuję się odważny.

– I co, może nie wiemy, jak się bawić w piątkowy wieczór? – zapytała Lydia.

– Hej, Lydia, może jak się wyprowadzisz i przyjedziesz z wizytą, przyjdziemy tutaj i każdy z nas coś dopisze – powiedział Dill. – O ile nie stwierdzimy, że to zbyt nudne.

– Jasne. Mnie nie wydaje się to nudne. – Lydia zrobiła zdjęcie napisu, który wykonał Travis. – Dobra, Dill. Twoja kolej.

Przeszli na jego stronę Kolumny.

Dill skierował strumień światła na swoje dzieło.

– Mówiłem, że użyję fragmentu swojej piosenki, ale zmieniłem zdanie i spisałem niektóre z ulubionych rzeczy.

Blask księżyca. Spokój po burzy. Strachy na wróble. Zakurzone Bible. Porzucone domy. Świetliki. Światło słońca przesączone przez pyliste powietrze. Opadłe liście. Cementarz przy kościele. Szare jesienne niebo. Wał nadrzeczny. Droga żwirowa. Dzwonki wiatrowe. Dym ogniska. Gwizd pociągu w zimową noc. Kudzu obrastające słup telegraficzny. Rozpadający się zbiór hymnów. Białe krzyże przy autostradzie. Szum cykad. Cienie. Wróble. Rdza. Światła skrzyżowania we mgle. Świerszcze. Liście tańczące na wietrze. Stara stodółka. Pole po zbiorach. Chmury zastaniające księżyc. Cichy zmierzch. Błyskawice. Bicie serca.

Lydia zrobiła zdjęcie.

– Ja też uwielbiam wszystkie te rzeczy, ale uświadomiłam to sobie dopiero, kiedy zobaczyłam je na piśmie.

– Nie sądzę, by nasze napisy przetrwały trzydzieści dwa tysiące lat – powiedział Travis – ale może przynajmniej będą istnieć dłużej niż my, prawda?

Następnie Lydia pokazała im cytaty z Dolly Parton, które wypisała na Kolumnie.

Dowiedz się, kim jesteś i tym się stań.

Nie możemy kierować wiatrem, ale możemy ustawić żagle.

Jeśli nie podoba ci się droga, którą idziesz, wyznacz sobie inną.

– Przyszłe pokolenia potrzebują rad tej wielkiej prorokini – wyjaśniła.

Potem położyli się na plecach i patrzyli na gwiazdy migające między szynami, słuchając ciemnej rzeki. *Być może to już wszystko, pomyślał Dill. Być może już nic lepszego w życiu nie dostaniesz. Ta chwila. Właśnie teraz.*

– Czytałem, że wiele z gwiazd, które widzimy, już nie istnieje. Umarły, ale światło dociera do Ziemi dopiero po milionach lat – powiedział.

– Nie najgorsza śmierć – stwierdziła Lydia. – Świecić przez miliony lat, chociaż już cię nie ma.

Lydia

Kiedy wróciła do domu, mama już spała. Tata siedział w szlafro ku na kanapie z wielką miską popcornu i oglądał telewizję.

– Hej, księżniczko – powiedział, gdy umyła ręce w łazience przy holu i weszła do salonu. – Dobrze się bawiłaś?

– Jak to w piątkowy wieczór w Forrestville.

Zdjęła buty turystyczne, usiadła na kanapie i przytuliła się do taty, kładąc mu głowę na ramieniu.

A on oparł głowę na jej głowie.

– Pachniesz jak letni wieczór.

Przytknęła kosmyk włosów do nosa.

– Świece zapachowe, które niby mają pachnieć jak letni wieczór nigdy tak nie pachną. Zawsze śmierdzą jak dezodorant obleśnego faceta. – Sięgnęła do miski z popcornem i chwyciła garść.

– Lubię twoich przyjaciół. To fajni chłopcy. Dokonałaś mądrego wyboru.

– Prawda. Ale nie powinno cię tak dziwić, że dokonuję mądrych wyborów.

– Masz szczęście, że trafili ci się tacy przyjaciele. To nie takie oczywiste, mieć bliskie osoby w liceum.

– Ta-a, szczególnie tutaj.

– Wszędzie. To chyba nie jest takie złe miejsce na dzieciństwo i młodość, co?

Lydia posłała tacie surowe spojrzenie.

– Chyba nie mówisz tego poważnie.

– Co? Jasne, że tak. To miłe miejsce. Ciche i bezpieczne. Piękna okolica. Też tu dorastałem, a twoja matka w niedalekim hrabstwie. Przejmując praktykę po twoim dziadku, oszczędziłem rodzinie stresu, jakim byłoby

rozkrećanie wszystkiego od zera.

– Tu jest beznadziejnie. Same matoly, rasiści i homofoby. Od wyjazdu Heidi nie mam ani jednej przyjaciółki.

Tata wziął do ręki pilota i ściszył telewizor.

– Chwileczkę. Nie poznałabyś Dilla i Trávisa, gdybyś tu nie mieszkała. Pozwól, że zapytam: lubisz siebie taką, jaka jesteś?

– Tak.

– A nie uważasz, że to miejsce miało ogromny wpływ na to, jaka się stałaś? Myślisz, że kierowałby tobą taki sam zapał, by stworzyć *Dollywould*, gdybyś miała cały świat na wyciągnięcie ręki?

– Poważnie próbujesz powiedzieć, że mieszkanie w tym gównianym mieście to część strategii, by uczynić ze mnie przedsiębiorczą osobę?

– Zgadza się. Tak.

Lydia wyciągnęła rękę i klapnęła tatę w czoło, jakby chciała zabić komara.

Skrzywił się i odsunął.

– Naprawdę uważasz, że istnieje takie miejsce, miasto czy szkoła, gdzie ktoś tak bystry i utalentowany jak ty może robić swoje, a reszta nie będzie próbowała rozszarpać go na kawałki tylko dlatego, że czuje się gorsza?

– Nie wiem. – Znow oparła głowę na ramieniu taty.

– Sam przechodziłem w liceum przez to, co ty.

– O, błagam. Mama mówiła, że byłeś przewodniczącym klasy.

– To nie znaczy, że miałem wielu bliskich przyjaciół ani że w ogóle tam pasowałem. To znaczy, że byłem dla wszystkich miły, a oni mnie za to wynagradzali. Ale i tak czułem się samotny.

– To dlaczego wróciłeś, by wychowywać tu córkę? Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że nie bałeś się życia w większym mieście.

– Wydaje mi się, że kierował mną nie tyle strach, co bezwład, wygoda mieszkania w znanym miejscu, z którym czuliśmy się związani. Nigdzie nie jest idealnie.

– A ja przez cały czas myślałam, że Forrestville nie może być lepsze.

Tata chwycił garść szybko ubywającego popcornu.

– Hej, mnie się podoba. A w liceum nie miałem nawet dwójki przyjaciół tak bliskich i lojalnych jak Dill i Travis. Widzę to po ich twarzach. Stałoby między tobą a watahą lwów.

– *Stadem* lwów. – Lydia również chwyciła garść popcornu.

– Nieważne. W każdym razie nie pozwoliliby lwom cię pożreć. Nie

wyobrażaj sobie, że nie będziesz za nimi tęsknić, kiedy stąd wyjedziesz na podbój świata. Jakaś część ciebie będzie tęsknić za tym życiem.

– Będę zbyt zajęta.

– Nieprawda. Posłuchaj, kochanie, to są prawdziwi, autentyczni przyjaciele. Tych dwóch. Więcej niż ma większość ludzi, którzy mieszkają w dużych miastach i robią różne fascynujące rzeczy.

Lydia odparła słabym głosem, który zawsze się u niej pojawiał, kiedy wiedziała, że musi ustąpić, ale może świat jakimś sposobem tego nie usłyszy:

– Wiem.

– A więc przestań nienawidzić rodziców za to, że tak wybrali. Gdybyśmy wychowywali cię w wielkim mieście, mogłaby na przykład zabić cię kula w strzelaninie ulicznej.

Oderwała głowę od ramienia taty, upewniła się, że patrzy, i wywróciła oczami.

– Tak żałuję, że kazałam ci oglądać *Prawo ulicy*. Mogłam się domyślić, że totalnie ci odbije.

– Jakie plany mają Dill i Travis?

Westchnęła.

– Dill chyba zamierza zatrudnić się na pełen etat w sklepie, a Travis w składzie drewna. Przeżyją swoje życie, czasem będą chodzić na obiad do Waffle House, zestarzeją się i umrą.

– Hej – powiedział tata ostrzejszym tonem. – Nie mów tak.

Lydia rzuciła mu pełne wyrzutów, zranione spojrzenie i zmarszczyła brwi.

– Sorry. Jezu, nie bądź taki upierdliwy.

– Nie, skarbie. Nie jestem upierdliwy. Mówisz o ich przyszłości z wyższością i nieuprzejmie. Wiele osób wie o zwykłym życiu i nie ma w tym nic złego. I jest w tym godność, bez względu na to, co ty o tym sądzisz.

– Wolałabym, żeby chcieli czegoś więcej, ponieważ się o nich troszczę. Nie mogę znieść myśli, że tu utkną, że będą prowadzić takie żałosne życie. Wkurza mnie to. Szczególnie Dill, chciałabym, żeby poszedł na studia, coś ze sobą zrobił.

– Nie sądzę, by robili ci na przekór. Po prostu żyją w zupełnie innych warunkach niż my.

– Wiem.

– Czyżby? Potrafisz dochować tajemnicy?

Rzuciła mu spojrzenie pod tytułem „oczywiście-że-tak-jak-możesz-wątpić”.

– Naprawdę nikomu nie wolno tego powtórzyć, bo mogę mieć kłopoty, że zdradzam informacje o pacjencie. Ale uważam, że powinnaś wiedzieć. Parę lat temu wstawiłem Travisowi dwa przednie zęby. Powiedzieli, że w pracy zdarzył się wypadek, że Travis łądował drewno, wózek widłowy uderzył w stos i Travis dostał deską prosto w twarz. Ale jest jeden zabawny szczegół. Zadzwonili dopiero następnego dnia rano. Skład zamyka się o piątej, tak jak mój gabinet. Dlaczego więc wcześniej mnie nie wezwali? Czy wypadek zdarzył się o czwartej pięćdziesiąt dziewięć? Wątpię. Czy na ich miejscu nie skontaktowałaś się z dentystą od razu?

– O Boże – mruknęła Lydia. – To musiało zdarzyć się w nocy...

– W domu. Oczywiście nie mam żadnych dowodów, a Travis upierał się, że wypadek miał miejsce w pracy. Ale najpierw powiedział, że wyciągał belkę ze stosu i dostał, a potem, że to był wózek.

– Jego tata wygląda na zdolnego do takich rzeczy.

– O, zapewniam cię, że Clint Bohannon *jest* zdolny do takich rzeczy. W liceum był dwie klasy wyżej ode mnie. Najgorszy sukinsyn, jakiego widział świat. Ćwok zabawiający się dręczeniem słabszych. Łaził po szkole jak król. Gwiazda futbolu. Naprawdę nie wiedziałaś, jak wygląda sytuacja Trávisa w domu?

Lydia poczuła się urażona i zaskoczona – a nie lubiła żadnego z tych uczuć.

– Nie. On... on nie opowiada, co dzieje się u niego w domu. Wiedziałam, że jego tata jest palantem, ale nie wiedziałam, że aż takim. Jak to możliwe, że Travis jest taki kochany?

– Anne Marie, jego mama, była z mojego rocznika. Ładna i urocza. Cheerleaderka. Dla wszystkich miła. Wszyscy sądziliśmy, że po ślubie Clint się zmieni. Jak możesz się domyślać, próżne nadzieje.

Lydia trawiła wszystko w milczeniu.

Tata przytulił ją mocniej i powiedział:

– A o problemach Dilla chyba nie muszę ci mówić. Chodzi mi o to, że znajdujesz się w zupełnie innej sytuacji niż oni i ważne jest, byś okazała im zrozumienie.

– Okej – powiedziała cała roztrzęsiona. *Jak to się stało, że nie wiedziałam o Travisie? Jak mogłam być taka ślepa? Jestem beznadziejną przyjaciółką. Powinna być dostrzec prawdę. I sprawić, by Travis czuł, że może mi o wszystkim powiedzieć.*

– Jesteś przeznaczona do wielkich rzeczy, Lydio. Ale to ma swoją cenę.

Wszyscy chcą być blisko takich osób i skubnąć trochę dla siebie. Może przyjść taki dzień, kiedy naprawdę będziesz musiała się wysilić, by odróżnić tych, którzy kochają cię dla ciebie samej, i tych, którzy tylko chcą ogrzać się w blasku twojej sławy. Masz dwóch przyjaciół, którzy może nie są najbardziej trendy na świecie, ale szczerze cię kochają.

– Masz rację – mruknęła.

Tata udał zdumienie i zaczął szukać telefonu.

– Czekaaj, czekaaj! Możesz powtórzyć, żebym miał to na filmie?

– Co za pajac, szkoda gadać. Idę popracować nad blogiem – oznajmiła z uśmiechem, wstając z kanapy.

– Tylko nie siedź do późna.

– Kocham cię, tato. – Pocałowała go w policzek.

– A przy okazji, przyszło do ciebie kilka przesyłek. Leżą na blacie.

Lydia weszła do kuchni. Paczka z Owl, rosnącego w popularność sklepu internetowego z ubraniami. Letnia sukienka bez rękawów i koturny. Nieźle. Znajdą się na blogu. Niewielka paczuszka od Miu Miu. Podarunek z okazji rozpoczęcia szkoły – naszyjnik. Zdecydowanie wart posta.

I koperta. Lydia otworzyła. List na niesamowicie ekskluzywnym papierze, czegoś podobnego jeszcze nigdy nie miała w ręku. Pachniał tak, jakby specjaliści stworzyli w laboratorium specjalną kompozycję – wrażenie, jakby mijano się elegancką księgarnię w Paryżu czy Londynie. Kartkę pokrywało mocne zamaszyste kobiece pismo.

Blog bardzo mi się spodobał. Oczywiście dam ci list polecający. Napisz go sama, zostaw miejsce na podpis i wyślij do Dahlii, a ona przekaże mojej asystentce. Widzę, że twoja gramatyka i ortografia są bezbłędne. I nie szcędź sobie pochwał, niech to będzie warte mojego podpisu.

Pozdrawiam

Vivian Winter.

Pod wpływem ekscytacji częściowo rozwiął się smutek spowodowany rozmową o Dillu i Travisie.

Właśnie dostałam list od twojej mamy, napisze dla mnie list polecający!!! DZIEKUJĘ, napisała w esemesie do Dahlii.

Telefon zamruczał.

Mówiłam, odpisała Dahlia. W zamian napisz o mnie na Dollywould.

Jasne. Damy sylwetkę i wywiad. Naprawdę wielkie dzięki.

Nie ma za co. Chloe podjęła decyzję. Trzy sławne fashionistki w NY. Musimy znaleźć mieszkanie z miejscem na wielkie szafy.

Najpierw muszę się dostać na uniwersytet, odpisała Lydia.

Na pewno się dostaniesz, dzięki mojej mamie i własnej inteligencji.

Lydia zaczęła układać post, jednocześnie zerkając na zdjęcia wiadomości, które ona i jej dwaj przyjaciele pragnęli przekazać światu tysiące lat po swojej śmierci, i zastanawiała się, co mogłaby napisać, by oddać im sprawiedliwość.

15

Dill

Pan Burson, właściciel Riverbank Books, zawsze kojarzył się Dillowi z człekopodobnym flegmatycznym bobrem. Nosił na czubku nosa małe okulary w drucianych oprawkach i – za wyjątkiem najgorętszych miesięcy w roku – zapinane na guziki swetry pokryte kocią sierścią, ciasno opinające okrągły brzuch, a pod spodem zwykle T-shirt z koncertu Merle’a Haggarda czy Waylona Jenningsa. Dill lubił pana Bursona. Jako zatwardziały kawaler oraz wielbiciel książek oraz kotów sam stanowił obiekt plotek i potępienia, więc nie żywił uprzedzeń do Dilla.

Dill, Lydia i Travis weszli do księgarni jakieś pół godziny przed zamknięciem (prawdopodobnie – ponieważ pan Burson zamykał interes o różnych godzinach, w zależności od upodobania), płosząc trzy czy cztery koty. On sam siedział na krześle za kontuarem, czytając jakąś popularną powieść science fiction z lat sześćdziesiątych i z roztargnieniem głaszcząc kota. Uniósł głowę. Na ścianie za nim wisało kilka gitar. Wokół wznosił się las, którego pnie tworzyły stosy używanych książek. Powietrze wypełniał znajomy zapach korzenno-waniliowego tytoniu do fajki i starych książek w tanich wydaniach. Obwisała twarz pana Bursona rozpromieniła się na widok Trávisa, jednego z najwierniejszych klientów.

– Młody pan Bohannon! – zachrypiał astmatycznym głosem, poprawiając okulary. – Do jakich to tajemniczych i fantastycznych krain mogę cię dzisiaj zabrać?

Travis oparł się o szklany kontuar, pod którym mieściło się niewielkie muzeum pana Bursona – wczesne wydania Faulknera, O’Connora, Welty i McCarthy’ego.

– Przyszliśmy po prezent urodzinowy dla mamy Dilla, ale skoro już tu

jestem, czy mógłbym zamówić *Nawałnicę śmierci*?

Na zasoby Riverbank Books składały się głównie książki używane. Pan Burson jeździł po okolicy swoją wysłużoną i przerdzewiałą toyotą z lat osiemdziesiątych, pokrytą naklejkami o przeróżnej treści, jak: sucharowe żarciki („Mój drugi wóz to Sokół Millenium”), teksty zachęcające do czytania („Chyba poczytam”) i hasła polityczne („Coexist”), i wyszukiwał książki w sklepach z używanymi rzeczami oraz na wyprzedazach w domach prywatnych i bibliotekach. Ale sprzedawał też trochę nowych książek i przyjmował zamówienia od osób, które nie korzystały z Amazona lub pragnęły wspierać lokalną księgarnię.

– A, *Nawałnica śmierci*. Nowe dzieło pana G.M. Penningtona. Chyba powinieneś się cieszyć, że nie sprzedaję książek na wagę. – Zachichotał, wyjął spod kontuaru zniszczoną księgę i zanotował zamówienie. – A więc, Travisie, jak sądzisz, co się stanie z Domem Northbrooków w końcowej bitwie przeciwko ciemnym siłom Domu Allastairów i Przeklętych? Czy Królowa Jesiennej Krainy interweniuje wraz ze swymi Zastępami Kruków? Czy bękart Randa Allastaira pokrzyżuje Allastairom szyki, prowadząc Jeźdźców Wschodu, by objąć Złoty Tron?

Oczy Travisa załśniły. Nieczęsto miał okazję porozmawiać o Bloodfall z prawdziwym człowiekiem z krwi i kości. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Lydia się wtrąciła, robiąc znak „czas się kończy”.

– Hej ho, zaczekajcie, szlachetni rycerze. Nim w swym zapale całkiem od skromnej ziemskiej powłoki się oderwiecie, prosimy was, my nędzni słudzy, o pomoc w znalezieniu księgi odpowiedniej dla białogłowy, która w żadnego rodzaju księgach upodobania nie znajduje.

– Nie o to chodzi. Po prostu księgi muszą być chrześcijańskie. Bardzo chrześcijańskie – wyjaśnił Dill.

– Na przykład Biblia ledwo daje radę, bo o Chrystusie jest dopiero w drugim tomie – zauważyła Lydia.

Pan Burson pstryknął palcami i z mimowolnym stęknieniem podniósł się z krzesła. Kot zeskoczył na podłogę. Pan Burson wytoczył się zza kontuaru i machnięciem ręki dał im znać, że mają iść za nim.

– Tędy, młodzi przyjaciele. – Powiódł ich wzdłuż sięgających sufitu regałów i stosów niedbale ułożonych na podłodze.

Dotarli do działu oznaczonego CHRZEŚCIJAŃSTWO/INSPIRACJE. Z wysiłkiem przyklęknął na jednym kolanie, dysząc i postępując. Szwy jego

spodni niebezpiecznie zatrzeszczały niczym olinowanie statku. Wyciągnął z półki książkę zatytułowaną *Dewiza Templariuszy* – nowe wydanie, stojące pośród książek z drugiej ręki, zgodnie z jego zwykłą praktyką.

Poprawił okulary i podał książkę Dillowii.

– To chrześcijańska powieść przygodowa, była bardzo popularna kilka lat temu. Opowiada o archeologu, który odkrywa grób jednego z templariuszy. Na tarczy znajduje wypisaną część proroctwa na temat Antychrysta. Próbując odnaleźć i poskładać w całość wszystkie fragmenty proroctwa, trafia do świata międzynarodowych intryg. Ale – tu pan Burson przyłożył zwinięte dłonie do ust i wyszeptał: – uwaga, spoiler: Antychryst mieszka w każdym z nas, jeśli odrzucamy Jezusa.

Lydia wykonała ruch, jakby zamykała usta na zamek błyskawiczny, a na końcu dodatkowo przekręciła klucz.

– Nie jestem pewien, czy sama idea przygody w ogóle jest chrześcijańska – powiedział Dill, przerzucając kartki. – Człowiek prawdziwej wiary wie, że wszystko się ułoży, zostanie zbawiony i pójdzie do nieba, co sprawia, że przygoda wiele traci z natury przygody. Ale zaryzykuję.

Zostali jeszcze chwilę, by pobuszować w zasobach księgarni. Travis i pan Burson wymieniali się teoriami na temat *Nawałnicy śmierci*. Dill przyglądał się Lydii, która chodziła wzdłuż półek, delikatnie przesuwając dłonią po grzbietach książek, i dotykała wszystkich po kolei, jakby odczytywała tytuły palcami.

Znalazła używany egzemplarz *Poniedziałkowych dzieci* Patti Smith. To była jej ulubiona książka.

– Będę udawała, że dopiero teraz ją kupuję i przeczytam po raz pierwszy. Poza tym chcę wesprzeć Riverbank. To właściwie jedyne miejsce w miarę... – urwała. Travis i pan Burson właśnie rozpoczęli udawaną walkę na miecze. Westchnęła. – Nieważne. W każdym razie chcę wesprzeć Riverbank.

Po udanych zakupach wyszli prosto w późny sierpniowy zmierzch. Wrzesień czaił się tuż za rogiem, ale lato nadal dawało z siebie wszystko.

– Chodźmy popatrzeć na pociągi – zaproponował Dill.

Travis wzruszył ramionami.

– Jestem za.

– Lydia?

– Muszę wypełnić kilka podań na uczelnię i przygotować się do wywiadu z Laydee.

– Robisz wywiad z Laydee, tą piosenkarką? – zapytał Dill.

– Aha.

– Wow, niesamowite. Jest mniej więcej w naszym wieku, a wszystkie stacje puszczają jej kawałki.

– No. Ale co do pociągów. – Lydia sprawdziła godzinę na telefonie. – Na chwilę mogę skoczyć. Ale jeśli żaden szybko się nie pojawi, będę musiała spadać.

– Piątka.

– Czy udało nam się ostatnimi czasy przybić piątkę tak, żeby nie wyszło to całkowicie beznadziejnie?

W Forrestville było kilka miejsc idealnych do obserwowania pociągów, ale Dill najbardziej lubił Bertram Park. Leżał on niedaleko wiaduktu z Kolumną. Tory przecinały park, co było chyba nienajszczęśliwszym rozwiązaniem. Na szczęście zaniedbane miejsce za bardzo nie przyciągało dzieciaków. Były tam opuszczone boisko do baseballu i plac zabaw z podniszczonymi sprzętami. Z piachu sterczało kilka huśtawek ze zwierzątkami na sprężynach przypominającymi wyblakłe od słońca podróbki figurek Disneya.

Usiedli przy stole piknikowym, na tyle blisko torów, by usłyszeć nadjeżdżający pociąg.

Lydia sprawdziła telefon.

– Oglądanie pociągów. YouTube w wersji Dilla. Chyba zdajesz sobie sprawę, że to bardzo dziwna rozrywka, prawda?

– Powiedziała dziewczyna nosząca strój złożony z ciuchów pochodzących z pięciu różnych dekad.

– Trafiony.

– Może powinniśmy zapytać o opinię faceta noszącego naszyjnik ze smokiem? – zaproponował Dill.

– Nie uważam, że to coś dziwnego – odparł Travis. – Pociągi i wielkie maszyny są super.

– Dlaczego aż tak się nimi interesujesz? – spytała Lydia.

Po chwili zastanowienia Dill powiedział:

– Próbuje znaleźć najmniej dziwny sposób, w jaki dałoby się to ująć.

– E-o – skomentowała Lydia.

– Okej. No więc, kiedy patrzę na pociągi, to myślę o tym, ile na świecie jest ruchu. Każdy pociąg składa się z kilkudziesięciu wagonów, a każdy wagon

z setek części i wszystkie te części i wagony pracują dzień za dniem. A to nie koniec. Są różne rodzaje ruchu. Ludzie rodzą się i umierają. Zmieniają się pory roku. Rzeki płyną do morza. Ziemia okrąża Słońce, a Księżyc Ziemię. Wszystko kręci się i porusza w jakimś kierunku. A mnie przez chwilę dane jest być tego częścią, tak jak patrzę na pociąg przez minutę czy dwie, a potem on znika. – *Tak jak jestem częścią twojego życia, zanim znikniesz, a ja tu zostanę, patrząc na pociągi, które również mnie miną.*

Poczuł, że się czerwieni, i wbił wzrok w ziemię, szykując się na bystrą odpowiedź Lydii.

– Nieważne. Sorry. Tak, to dziwaczne. – Spojrzał na nią. Lydia wpatrywała się w tory.

– Nie – odparła, bez cienia sarkazmu. – Wcale nie dziwaczne. To znaczy, tak, wciąż ogólnie rzecz biorąc jesteś dziwaczny, nie przesadzajmy, ale to nie jest.

Jak na zawołanie w oddali zagwizdał pociąg.

Kiedy się zbliżył, wstali i podeszli bliżej torów, na tyle blisko, by poczuć podmuch przejeżdżającej maszyny. Dill poczuł znajomy przypływ ekscytacji i adrenaliny. Orgazmiczne uniesienie, rosnące wraz ze zbliżającym się hukiem i energią, grożące obezwładnieniem wszystkich zmysłów, aż wreszcie pociąg znalazł się tuż-tuż. Dill zamknął oczy i słuchał Kół skrzypiących na szynach. Stukotu jednego z wagonów. Wchłaniał gwałtowną siłę ogromnego stalowego węża. Ten pulsujący rytmiczny grzmot poruszał coś w jego wnętrzu.

Ma trzynaście lat, stoi w kościele ojca, na samym przedzie, wraz z resztą zespołu. Trzyma w rękach zbyt dużą jak dla niego elektryczną gitarę. Gra tak szybko i głośno jak tylko potrafi, a dźwięk bębnow i basu wstrząsa cienkimi ścianami i niskim sufitem z płyty wiórowej. Popełnia mnóstwo błędów, ale nikt nie zwraca na to uwagi, wszyscy są zanurzeni w Duchu Świętym, ściany wibrują od egzaltowanych okrzyków mówiących językami. Podłoga też się trzęsie pod walącymi w nią butami umazanymi błotem z parkingu. Kilku członków kongregacji, w tym matka Dilla, uderza w tamburyny.

Ojciec Dilla stoi naprzeciw zgromadzonych, unosi duży słoik do połowy wypełniony strychniną, w końcu bierze spory łyk, a jego oczy uciekają w głąb czaszki. Potrząsa głową, ociera usta i krzyczy: „Alleluja!”. Potem podaje słoik matce Dilla i ona też pije, jakby to była lemoniada, podaje dalej i wraca do walenia w tamburyn.

Ojciec Dilla zdejmuje białą koszulę, pod spodem ma podkoszulkę. Wyciąga w bok ramiona. Niektórzy wierni podchodzą do niego, kładą dłonie na żyłastych ramionach i kościstych barkach, szukając uzdrowienia z choroby, prawdziwej bądź urojonej.

Nagle rozlega się wołanie i dwaj bracia ruszają płasającym krokiem przez środkowe przejście, trzymając w każdej dłoni drewnianą skrzynkę z węzem. Przystają, kładą skrzynki na podłodze, a ojciec Dilla podchodzi, również tańcząc i klaszcząc w ręce. Otwierają druciane wieka umieszczone na zawiasach i sięgają do środka zakończonymi hakami kijami, po czym wyciągają dwa grzechotniki i dwa mokasyny. Bracia zaczynają rozdawać je zgromadzonym, zawieszają im je na szyi jak krawaty. Brat McKinnon trzyma węza dosłownie parę cali od twarzy, opluwa go, modląc się, prowokując węza, by go ukąsił i poddał jego wiarę próbie.

Dill gra szybciej, jego serce tłucze się jak szalone, cały się poci w zatykającym upale, wilgoci mnóstwa ruchomych ciał ściśniętych w jednym niewielkim miejscu. Ojciec patrzy w jego stronę, na szyi ma owiniętego mokasyna. Staje przed Dille, zdejmuje węza. Dill czuje w uszach ogłuszający huk serca. Przerywa granie. Basista i perkusista kontynuują bez niego, z jeszcze większą werwą. Zawsze bał się węzy. Nigdy dotąd ich nie dotykał, modli się do Boga, by ten oczyścił jego duszę i dał mu wiarę, jeśli ta chwila właśnie nadeszła. *Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą. Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą. Węze brać będą do rąk. Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą. Węze brać będą do rąk.* Oddech go opuszcza.

Ojciec podaje mu grubego skręconego mokasyna, Dill wyciąga ręce. Wyobraża sobie, jaki wąż będzie w dotyku. Zimny. Suchy. Gładki. Pulsujący złowrogą witalnością. Napotyka spojrzenie ojca, który posyła mu lekki, smutny uśmiech i odwraca się, trzymając węza nad głową, triumfujący, po czym podaje go jednej z sióstr. Dill znów oddycha. Próbuje odzyskać rytm, ale za mocno się trzęsie. Czuje ulgę, ale również rozczarowanie, że jego słaba wiara jest tak wyraźnie widoczna.

Tydzień później policjanci aresztują ojca.

16

Travis

Hej, Travis – zagaił Dill, kiedy wyszli z Bertram Park. – Jest szansa, żeby twoja mama pomogła mi upiec ciasto urodzinowe na jutro? Nie... nie mam w domu potrzebnych rzeczy.

- Jasne, nie ma problemu. Zwłaszcza że jesteś z kościoła.
- Mogę pomóc po pracy.
- Neeee. Czasem tata dziwnie reaguje, jak ktoś wpada. Sam wiesz.

Dill podał Travisowi lekko nadwerżoną paczkę gotowej mieszanki na ciasto, którą zapewne dostał za darmo w pracy.

- Dzięki. I przepraszam, że tak późno.

Mama Travisa z radością zgodziła się pomóc. Travis nie chciał jednak za bardzo obarczać jej pracą, więc się przyłączył. To był idealny wieczór, zostali sami, ojciec grał w karty u kumpla.

– Ta kuchnia to prawdziwy chlewik... – powiedział Travis z okropnym brytyjskim akcentem, naśladując gospodarza ulubionego programu kulinarnego mamy.

Zachichotała.

- O, Trav. Jesteś taki zabawny.

Śmiech mamy należał do jego ulubionych dźwięków. Nie słyszał go wystarczająco często, szczególnie od śmierci Matta. Wyglupiał się dalej. Obsypał sobie twarz mąką i włożył jeden z kwiecistych fartuszków mamy. Właśnie próbował zonglować drewnianymi łyżkami, gdy usłyszeli, że do domu wszedł ojciec Travisa.

Natychmiast umilkli, w nadziei, że pójdzie prosto do łóżka albo przynajmniej włączy telewizor i zaśnie na kanapie. Byle tylko nie wszedł do kuchni i nie zepsuł tego wieczoru. Nawet mieli spore szanse – ojciec Travisa

uważał kuchnię za terytorium należące wyłącznie do żony.

Ale niestety. Ojciec wtoczył się do środka, śmierział bourbonem. Na widok Trávisa z pokrytą mąką twarzą i w kwiecistym fartuszkú zaczął chichotać.

– O, jak ślicznie! – wyseplenił, machając bezwładnym nadgarstkiem. – Spójzcie tylko, jak moje dziewczynki świetnie się bawią! – Tu zrobił kilka drobnych kroczków.

Travis uśmiechnął się niepewnie, w nadziei, że ojciec tylko sili się na żart. Problem polegał jednak na tym, że ojciec, gdy był pijany, nigdy nie wiedział, kiedy żart przestaje być śmieszny (ani kiedy zaczyna być śmieszny, gwoli ścisłości).

Mama Trávisa zmiotła rozsypaną mąkę na dłoń i wyrzuciła do śmietnika.

– Dobrze się bawiłeś, kochanie?

– O, jesse jak! Ale pewnie lepiej bym się ubawił, piekąc ciastecko w fartusku! – Chwiejnym krokiem podszedł do Trávisa i rozwiązał fartuch, mocno szarpiąc tasiemki. Travis odwrócił się, uciekając wzrokiem. Zdjął fartuch i złożył go w milczeniu.

– Clint – powiedziała miękko mama. Zignorował ją i przysunął twarz do twarzy Trávisa.

– Gadałem dzisiaj z Kennym Parhamem. Wspominał o zjeździe absolwentów. Skoro pewnie nie grasz, to może przynajmniej zabrałbyś dziewczynę na tańce? – Z jego głosu znikł wszelki żartobliwy ton.

Travis wbił wzrok w podłogę.

– Nie wiem.

– Nie wiesz. Czego nie wiesz? Tego, czy pójdiesz na tańce, czy tego, czy lubisz dziewczyny? Może zaprosisz do tańca swojego chłopaka Dillarda Early'ego Księcia Węży?

– Nie. Podobają mi się dziewczyny. Ale nie lubię tańczyć.

– Jesteś pedziem?

Oczy łzawiły mu od oddechu ojca.

– Nie. – Naszła go chęć, by pokazać ojcu zdjęcie Amelii w telefonie. Ale wiedział, że przysłoby mu tego żałować. Ojciec na pewno skomentowałby jej twarz czy figurę. A Travis zrobiłby wtedy coś, czego by potem żałował.

– Kręci cię pudrowanie nosa, noszenie fartuchów i pieczenie ciasteczek z mamą, a nie lubisz tańczyć?

– Nie. – *Proszę, wyjdź. Proszę.*

Ojciec przysunął się jeszcze bliżej i groźnie powiedział:

– Jeśli jesteś pedałem, to wybiję ci to z głowy, przysięgam na Boga. Lepiej weź się w garść. – I pchnął Trávisa. Nieszczególnie mocno, ale z zaskoczenia. Travis poleciał bezwładnie do tyłu. Miał ochotę spojrzeć ojcu prosto w oczy, ale wiedział, że to zły pomysł. Wbił wzrok w podłogę. *Skurcz się, a on się znudzi i sobie pójdzie. Stań się jak najmniejszy. On tego właśnie chce – żebyś był jak najmniejszy.*

– Clint, kochanie – powiedziała matka Trávisa, łagodnie, jakby przemawiała do niebezpiecznego zwierzęcia bądź krnąbrnego dziecka (lub kombinacji tych dwóch). – Travis jest chrześcijaninem. Nie masz powodów do niepokoju. Podać ci coś do jedzenia?

Ojciec beknął i niespiesznie podszedł do miski z ciastem.

– Nie trzeba. – Zanurzył w cieście trzy paluchy i, patrząc matce Trávisa w oczy, oblizał je do czysta, po czym zrobił to jeszcze raz.

– Och, Clint. Nie powinieneś być. To ciasto nie jest dla nas.

Ojciec Trávisa podszedł do matki.

– Mam. To. W dupie – powiedział, dźgając ją w pierś przy każdym słowie. Odwróciła wzrok. Stał tak nad nią jeszcze przez chwilę. Strach przepełniający Trávisa zaczął ustępować wściekłości. Czuł to samo, co wtedy przy Aleksie Jimenezie. *Wyjdz. I nie waż się więcej tknąć mojej mamy.*

– Nie mogę się doczekać, kiedy spróbuję ciasta – powiedział ojciec z krzywym uśmiechem. Wymierzył w Trávisa palcem wskazującym. – Obyś nie był ciotą. – A potem wyszedł do salonu, klapnął na kanapę i włączył telewizor.

Travis znów zaczął oddychać. *Dzięki ci, Jezu. Dzięki.* Matka też odetchnęła z ulgą. Ich spojrzenia się spotkały. Travis otworzył usta, lecz matka przycisnęła palec do warg, jakby chciała powiedzieć „nic nie mów, bądź ostrożny”.

– Upiekę to ciasto i dam twojemu tacie. A dla Crystal zrobię drugie. Mam w spizarni podobny miks. A nawet lepszy niż ten, który dał ci Dillard.

– Pomóc ci?

Posłała mu słaby uśmiech.

– Nie, skarbie. Poradzę sobie – wyszeptła.

– Tata nie zawsze był taki – powiedział Travis, również szeptem.

– Wiem. – Wzięła wilgotną ścierkę i delikatnie wytarła mąkę z twarzy Trávisa. Z salonu doleciał rechot.

Mama przerzuciła ciasto z miski do formy, pochyliła się i wyjęła drugą formę. Wrzuciła brudną miskę do zlewu i zaczęła zmywać drżącymi rękami.

Travis podszedł do niej i otoczył ramionami jej szyję, po czym przytulił ją do siebie. Położyła dłonie na jego ramionach.

– Kocham cię, mamó – wyszeptał.

Tym razem udało mu się niezauważenie przemknąć obok ojca, zapatrzonego w powtórkę jakiegoś serialu komediowego. Kiedy znalazł się bezpiecznie w swoim pokoju, włączył laptop. Rozpadająca się maszyna zawyła. Czekaając, przeglądał w głowie potencjalne scenariusze, w których przeciwstawiał się ojcu. W których nie przemykał się chyłkiem i nie kurczył w sobie. W których nie czuł się mały i bezwartościowy. Odraza do ojca powróciła w postaci odrazy do samego siebie. *Dlaczego nie jesteś odważniejszy? Przynajmniej ze względu na mamę? Ani trochę nie przypominasz Raynara Northbrooka. On przeciwstawiłby się oprawcy. Oczywiście, gdybyś ty próbował, pewnie i tak wszystko byś spierdolił i czuł się potem jeszcze gorzej, tak jak wtedy z Alexem.*

Chciał napisać do Amelii. Ale jednocześnie nie chciał. Nie chciał wyjść przed nią na kogoś słabego. Jednak w tym momencie nie miał też ochoty być sam. Lydia raczej nie potrafiłaby zrozumieć, miała taką świetną rodzinę. Dill pewnie też nie, bo miał taką straszną rodzinę.

Travis przez chwilę bił się z myślami, w końcu po prostu napisał.

Hej.

Hej, no jak tam? Amelia odpisała niemal natychmiast. Co słyhać?

Słabo. Pokłóciłem się z tatą.

O rany. Wszystko ok?

Tak. Chyba potrzebuję, żeby ktoś podniósł mnie na duchu.

Gdybym była obok, mocno bym cię wyściskała i przypomniała, że niedługo wychodzi *Nawałnica śmierci*.

Działa!

Telefon znów zabuczał. Zdjęcie słońca bawiącego się piłką plażową.

Cha!

Śmieszny mem na temat Bloodfall. I jeszcze jeden. I jeszcze. Travis o mało nie roześmiał się w głos, ale zdołał się opanować.

Dziękuję!

Kiedy się spotkamy, wyściskam cię milion razy i powiem, że to nie twoja wina, że twój

tata jest palantem.

Płynął strumień kolejnych słów pociechy, a po domu rozszedł się słodko-maślany zapach ciasta.

Dill

Kiedy usłyszał samochód zajeżdżający przed dom, zapalił świece. Było ich tylko pięć.

– Dillard, jesteś? – zawołała, wchodząc do ciemnego wnętrza.

– Tutaj, mamó.

Dill stał w kuchni, blask świec rozjaśniał jego twarz.

– Wszystkiego najlepszego!

Mama potrząsnęła głową i postawiła torby na podłodze.

– Dillardzie Wayne Early, coś ty nawyprawiał?

Dill wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Upiekłem ci ciasto. Tak jakby. Załatwiłem, co potrzebne, ale upiekła je mama Trávisa. Na pewno smakuje znacznie lepiej, niż gdybym ja je zrobił, zapewniam.

Uśmiechnęła się.

– Ja nawet nie...

– No, na co czekasz? Zdmuchnij świeczki. Zjemy po kawałku.

Usiadła i posłusznie zdmuchnęła świeczki. Przez chwilę siedzieli w ciemnościach, w końcu Dill odnalazł po omacku włącznik światła.

– Pomyślałaś życzenie?

– Pewnie. Chciałam...

– Nie, nie możesz powiedzieć, bo się nie spełni. Zresztą chyba się domyślałam.

– Życzenia i tak się nie liczą. Liczy się modlitwa.

Dill wstał, chwycił nóż, dwa widelce i dwa talerze. Wyjął świeczki i ukroił dwa spore kawałki pokrytego waniliowym lukrem ciasta.

– W pracy jakoś uczcili twoje urodziny?

– Dziewczyny z ekipy sprzątajacej zrobiły zrzutkę i dały mi dwudziestodolarową kartę podarunkową do Walgreens. Kupię sobie jakiś drobiazg i zapytam, czy resztę wymienią na gotówkę. Potrzebne nam znaczki, żeby pisać do ojca.

– Uważam, że powinnaś wydać wszystko na siebie.

– Niczego nie potrzebuję.

– Kup sobie ulubione cukierki czy balsam do ciała, cokolwiek.

Po namyśle powiedziała:

– Może lody.

– Naprawdę chciałbym, żebyś wydała wszystko na siebie. To twój prezent.

– Zobaczymy.

Jedli ciasto w milczeniu. Dill skończył pierwszy. Smakowało wyśmienicie. Nagle coś mu przyszło do głowy. Moment był tak samo odpowiedni jak każdy inny.

– Skoro mowa o pieniądzach, co byś powiedziała, gdyby istniał sposób, żebym zarabiał znacznie więcej niż we Floyd's, nawet jako kierownik?

Zaśmiała się ze smutkiem.

– Byłoby wspaniale. O ile nie mówisz o rozprowadzaniu narkotyków.

– Nie. Ale to by znaczyło, że jeszcze przez kilka kolejnych lat zarabiałbym mniej niż na pełen etat we Floyd's.

Wzięła kolejny kęs ciasta.

– Nie rozumiem – powiedziała, lecz jej oczy mówiły: „Mam nadzieję, że nie rozumiem”.

– Mówię o studiach. Ludzie, którzy...

Potrząsnęła głową i uniosła rękę.

– Nie.

– Ale mam, posłuchaj. Nie pozwoliłaś mi dokończyć.

– Nie. Nie ma potrzeby. Wiem, co powiesz i jaka będzie moja odpowiedź.

– Mam, rozmawiałem z Lydią, powiedziała mi, że absolwenci wyższych uczelni zarabiają znacznie więcej i...

– Och, Lydia, no oczywiście. Łatwo jej mówić takie rzeczy?

– Ale ma rację. Jeśli poświęcimy się przez kilka lat, żebym mógł studiować, potem dostałbym lepszą pracę i mógłbym ci bardziej pomagać. To tak jak... – Dill szukał w pamięci odpowiedniej analogii z Biblii, by obrazowo przedstawić ideę krótkotrwałego wyrzeczenia w imię długotrwałych zysków – ...tak jak rezygnujemy, kiedy nadarza się okazja do grzechu, by zyskać życie

wieczne w niebie.

– Grzech nie jest żadną okazją. A kroczenie ścieżką Jezusa nie stanowi poświęcenia. To on się poświęcił.

– Chciałem znaleźć jakieś porównanie.

– Znajdź inne.

– Pomyśl tylko, ilu rzeczy mógłbym się nauczyć.

– Nauczyłbyś się, że jesteś za dobry na Boga. Że pochodzimy od małp. Tak, wielu rzeczy byś się nauczył.

– Dzięki studiom miałbym więcej możliwości życiowych.

– Nie potrzebujesz możliwości życiowych. Potrzebujesz Jezusa. Możliwości są w porządku, jeśli można sobie na nie pozwolić. Nas to nie dotyczy. Nie stać nas.

– Mogę dostać pomoc finansową.

– O, wspaniale, kolejny dług. Właśnie tego nam potrzeba. Przyda mi się następny wrzód na plecach.

– Zawsze mówisz „nasze długi”. To nie ja narobiłem długów. To wasza wina. Dlaczego mam przez to cierpieć?

– Ponieważ jesteśmy rodziną. A rodzina musi trzymać się razem w trudnych chwilach. Nie można zostawiać innych w potrzebie. Ja przerwałam naukę w liceum, by poślubić twojego ojca i urodzić ciebie. Kapałam cię i karmiłam. Haruję sześć dni w tygodniu, sprzątając pokoje w motelu przy autostradzie, i sześć nocy na stacji benzynowej, by dać ci możliwie najlepsze życie. Niewiele. Ale mamy siebie i mamy Jezusa.

– Ja chcę czegoś więcej.

– Przemawia przez ciebie chciwość i duma.

– Mam dosyć tego miasta. Wiesz w ogóle, jak to jest? Nosić jego nazwisko? Dźwigać ten kamień u szyi? Ciężar jego krwi? Znosić szept i spojrzenia?

Oczy matki zalśniły. Dźgnęła widelcem ostatni kawałek ciasta.

– Czy ja wiem, jak to jest? Oczywiście, że wiem. Myślisz, że o mnie nie gadają? O mnie przede wszystkim. Zastanawiają się, co zrobiłam nie tak. Jak to możliwe, że nie wiedziałam. Dlaczego okazałam się nie dość dobra. Co mogłam zrobić... Bóg wystawia nas na próby. W tym miejscu, tutaj, przyszło nam przez nie przechodzić. Myślisz, że pozwolę, by plotkarze wygonili nas z domu, że nie zdam bożego egzaminu? Zastanów się.

Dill poczuł wyrzuty sumienia. Czuł, że sam właśnie ponownie zawiódł w próbie wiary. Jakby znów przestraszył się węża. Nie zamierzał poruszać

tematu studiów. A już szczególnie w urodziny mamy. Właściwie nawet nie zdawał sobie sprawy, że o tym myśli.

– Mamo, ja...

Nie podnosząc na niego wzroku, powiedziała:

– Nie chcę o tym więcej słyszeć. Nic nie mówię, kiedy na okrągło biegasz z Lydią i Travisem. Ale to? Masz mnie szanować.

Dill zwiesił głowę.

– Okej, dobra. Przepraszam. – Chciał powiedzieć, jak bardzo będzie tęsknił za Lydią, że częściowo też z tego powodu chciał wyjechać. By jego życie nie skończyło się w miejscu, w którym życie Lydii dopiero się zaczyna. Ale jego matka z pewnością okazałaby jeszcze mniejsze zrozumienie.

Zapadła długa cisza, przerywana tylko klekotem starej lodówki i tykaniem zegara ściennego.

– Zepsułem ci urodziny?

– Nigdy nie przywiązywałam wielkiej wagi do urodzin – odparła mama, zbierając talerze. – Człowiek jest o rok starszy. To wszystko. – *Ale nie zaprzeczyła.*

Książka – może dzięki niej znajdzie ocalenie.

– Hej, o mało bym nie zapomniał. Zaczekaj. Mam coś dla ciebie. – Dill zerwał się z miejsca i pobiegł do swojego pokoju. Nie opakował książki. Nie mieli w domu papieru prezentowego, zresztą i tak był beznadziejny, jeśli chodzi o pakowanie.

Wrócił do kuchni, trzymając książkę za plecami.

– Dillard. Niepotrzebnie. – Oczywiście nie powiedziała tego w sensie „niepotrzebnie... tak długo kazałeś mi czekać”, jak przeważnie robi większość ludzi. Mówiła szczerze.

Wręczył jej książkę.

– Pan Burson z Riverbank Books twierdzi, że powinna ci się spodobać. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Zerknęła na Dillarda.

– Czy to...

– No jasne, że to chrześcijańska książka.

Zacząła przerzucać kartki. No jasne, Jezu. Pochyliła się i pocałowała Dilla w czoło.

– Dziękuję, Dillardzie. Jesteś kochany. To i dzisiejszy telefon od twojego ojca sprawiają, że czuję się, jakby spłynęła na mnie łaska boża.

– Posprzątam, mamó. Idź, poczytaj książkę albo weź kąpiel, co tam chcesz. Kąpiel dobrze zrobiłaby ci na plecach.

Dill podszedł do zlewu i zaczął zmywać. Po chwili zarówno wyrzuty sumienia z powodu poruszonego tematu studiów, jak i radość, że wręczył mamie prezent, a ona nie odrzuciła go od razu, zbladły i zanikły. W ich miejsce pojawił się tępy ból zmieszany z gniewem. Gniewem skierowanym głównie na Lydię. Wiedział, że to nie fair wylewać na nią swoje frustracje, nawet w myślach. To nie fair wyobrazić sobie, że grają w jakąś grę, w której jej sukcesy równają się jego porażkom. Ale nie próbował powstrzymać tego uczucia. Byłoby jeszcze bardziej nie fair gniewać się na matkę w dniu jej urodzin.

18

Lydia

A więc po kolei. Pragnę podziękować wszystkim, którzy przeczytali mój wywiad z Laydee, sherowali go i mówili o nim miłe rzeczy. Stał się on najczęściej czytany artykułem na tym blogu (dzięki wszystkim, którzy go retweetowali). Bardzo się denerwowałam, ale ona była strasznie tak niemożliwie miła i wspaniała – kupujcie jej muzykę, proszę, dziękuję.

Oto moje zdjęcie, na którym bardzo szczęśliwa myślę o całym wydarzeniu. Mam na sobie top Missoni włożony na sukienkę, którą dorwałam w Strychu w Nashville. Torba jest z Goodwill. Koturny z Owl, a naszyjnik to Miu Miu.

Mamy koniec września. I co z tego, spytacie. A więc: jeśli uznamy, że jesień jest sobotą całego roku – a należałoby, ponieważ jesień to najwspanialsza pora, tak jak sobota jest najwspanialszym dniem tygodnia – to wrzesień jest piątkiem roku. Czyli również jest wspaniały. Co z kolei oznacza, że szukam dobrych jesiennych filmów. Jesiennego porno, jeśli chcecie. Poproszę o sugestie w komentarzach. Uwielbiam nosić jesiennie kolory. Uwielbiam, kiedy robi się na tyle chłodno, by robić interesujące kombinacje i ubierać się warstwowo. Jestem uzależniona od kurtek (niespodzianka, Drogi Czytelniku). Jesień zmienia mnie w pięćdziesięcioletnią kobietę. Chodzę do Cracker Barrel i kupuję jesienną świeczkę Yankee Candle Autumn Harvest (jedyna jankeska rzecz, jaka ma prawo trafić za próg domu południowca). To tylko jeden ze składników mojego nienasyconego głodu jesiennego przytulności. Kolejny to przyprawa korzenna. Do wszystkiego. W środku września mogę zjeść choćby jajecznicę z przyprawą korzenną. Nawet stek z przyprawą korzenną. Zresztą zjadłabym nawet [tu wstaw jakąkolwiek potrawę, która smakowałaby obrzydliwie z dodatkiem przyprawy korzennej].

Uwielbiam ciemne, ponure, magiczne dni jesieni, kiedy pada od chwili, gdy się budzisz, aż do chwili, kiedy kładziesz się spać. Można słuchać Leonarda Cohena i otulić się w koc cudownej melancholii.

Trzeba to przyznać Tennessee: jesień wychodzi temu miejscu naprawdę dobrze. Bucha w wieńcach, łodygach kukurydzy, stogach siana, dymie z ogniska i strachach na wróble.

Liście wyglądają niesamowicie. Nie mogę uwierzyć, że to prawdopodobnie moja ostatnia jesień w Tennessee, przynajmniej na pewien czas. Będzie mi tego brakowało. Mam nadzieję, że w miejscu, do którego trafię, jesień okaże się przynajmniej w połowie tak piękna.

Jestem w jednym z tych okresów, kiedy każda cząstka mojej energii mentalnej zajmuje się czymś innym (sprawy związane z uczelniami i tak dalej), do tego stopnia, że nie czuję, bym miała do powiedzenia coś szczególnie mądrego. W takich przypadkach czasem odpowiadam na często zadawane przez was pytania, no bo HEJ, WOLNOŚĆ WYPOWIEDZI. A więc zaczynamy.

Pytanie: Dlaczego zawsze piszesz „Forestville” zamiast „Forrestville”?

Odpowiedź: Ponieważ miasto nazwano na cześć Nathana Bedforda Forresta, założyciela Ku Klux Klanu, co czyni jego nazwę mniej więcej równie uroczą jak Hitlerville. O! I bonus! Znajduje się w Białym Hrabstwie (nie nazywanym tak z powodu białych ludzi, z tego co mi wiadomo). A więc: koszmar. Dlatego zawsze piszę Forestville, ponieważ BĄDŹ ZMIANĄ, KTÓRĄ PRAGNIESZ UJRZEĆ W ŚWIECIE. „R”, które pomijam w nazwie swojego miasta, to „r” jak „rasizm”.

P: Do której chodzisz klasy i na którą uczelnię się wybierasz? Co chcesz studiować?

O: Do ostatniej i zobaczymy. Oto lista (na pierwszym miejscu jest najważniejsza uczelnia, dalej kolejność obojętna): Uniwersytet Nowojorski, Oberlin, Smith, Brown, Sarah Lawrence, Princeton, Harvard, Yale, Columbia, Cornell, Vanderbilt, Vassar, Wellesley. Chcę studiować dziennikarstwo.

P: Wymień swoje ikony stylu/wzorce do naśladowania.

O: Zarówno prawdziwe, jak i fikcyjne (bez oporów sprawdzajcie w Google): DOLLY PARTON (oczywiście), Margot Tenenbaum, Zadie Smith, Debbie Harry, Natasha Khan, Angela Chase, Veronica Mars, Jenny Lewis, Patti Smith, Dee Dee Penny, Katiejane Garside, Meg White, Donna Tartt, Florence Welch, PJ Harley, Beyoncé, Stevie Nicks, Joan Didion, Frida Kahlo, Martha Gellhorn, Anaïs Nin, Flannery O'Connor.

P: Jakie są twoje ulubione firmy/ulubieni projektanci?

O: Rodarte, Rick Owens, Vivienne Westwood, Prada, Billy Reid (w końcu jestem z Południa).

P: Jesteś lesbijką?

O: Odpowiedź zależy w dużym stopniu od tego, kto pyta. Jeśli jedna z wyżej wymienionych pań, odpowiedź to entuzjastyczne tak. Nick Cave z okresu Birthday Party? Nie. Młody Willem de Kooning? Nie. David Bowie z czasów, kiedy występował w Labiryncie? Nie. Luke Wilson z czasów, kiedy występował w Trzech facetach z Teksasu? Nie. Luke Wilson z czasów, kiedy występował w Genialnym klanie? Też nie.

Ale jeśli pyta kolejny przypadkowy troll, który wierzy, że w naszych czasach nazwanie kogoś gejem czy lesbijką jest obelgą – nawet jeśli podaną w formie pasywno-agresywnej – wtedy odpowiedź brzmi: wybierz tę wersję, która sprawi, że poczujesz się najbardziej nieswojo, zagrozi twemu poczuciu tożsamości i wprawi twój mały mózdzek w stan paniki. A więc odpowiedź prawdopodobnie brzmi „tak”, jestem zagorzałą lesbijką. To samo pytanie zadane przez inne osoby rozważam w zależności od przypadku.

Okej, na razie wystarczy. Ciąg dalszy nastąpi. Tymczasem nacieszcie oczy zdjęciami mojego sobotniego haulu w sklepie ze starociami niedaleko mojego domu. Przy okazji, oto kolejna dziedzina, w której Południe rządzi. Sklepy ze starociami.

Umieściła post na blogu, po czym spojrzała na siedzącego naprzeciw niej Trávisa. Pisał z zapalem esemes z nieobecny m wyrazem twarzy. Moze nie wygladał całkiem beztrosko, ale nigdy dotąd nie widziała, by był tak bliski osiągnięcia tego stanu. Przeczytał wiadomość i cicho zachichotał. Oparł czoło o stół, cały się trząsł od tłumionego śmiechu.

Przy okazji tak radosnego i zaraźliwego, że Lydia musiała mu zawtórować.

– No dobra, stary, gadaj. Do kogo piszesz?

Travis otarł oczy.

– Do nikogo. To nic takiego.

Lydia rzuciła mu dobrotliwo-podejrzliwe spojrzenie.

– Jesteś najgorszym kłamcą na świecie.

Dill

Dill skończył pakować zakupy do samochodu pani Relliford.

Drżącą ręką podała mu dolara.

– Proszę, młody człowieku. Bardzo dziękuję za pomoc. Z Bogiem.

Dill przyjął napiwek i wetknął banknot do kieszeni koszuli.

– Dziękuję pani. Miłego dnia.

Powolnym krokiem wracał z wózkiem do sklepu, rozkoszując się krótką chwilą na powietrzu, przed powrotem do klimatyzowanego chłodnego wnętrza, woni psującego się mięsa i warzyw.

Dill uwielbiał pakować zakupy w te wczesne wieczory pod koniec września. Słońce nadal mocno świeciło, ale nie z taką energią jak latem. Sprawiało wrażenie wyblakłego. Dill poczuł przynoszony wiatrem zapach skoszonej trawy. *Jak to możliwe, że jedno miejsce może budzić zarazem miłość i nienawiść?*

Podszedł do wejścia i zaczął siłować się z wózkiem. *Jak to jest, że każdy wózek sklepowy musi mieć przynajmniej jedno beznadziejne kółko?* Obok mała dziewczynka jeździła na podniszczonym plastikowym kucyku na monety.

Dill uśmiechnął się do niej.

Zachichotała.

– Jadę na kucyku!

– A jakże. Dobrze ci idzie, kowbojko!

Maszyna zatrzymała się, więc dziewczynka podniosła nogę, by zsiąść. W pośpiechu zaczęła sandałem o grzywę kuczka i padła twarzą na betonowy podjazd. Otarła sobie brodę. Popatrzyła na Dilla wielkimi niebieskimi oczami mokrymi od łez.

Eee-ooo.

I zaczęła wyc. Jak alarm lotniczy.

Dill podbiegł do niej, ukląkł i zaczął ją pocieszać, pocierając jej plecy:

– O, nie! Słoneczko! Hej, nie płacz. Nic się nie stało. Szszsz. Gdzie mama? Ale nie dała się uspokoić.

Dill delikatnie wziął ją na ręce, mruczając jej do ucha:

– Hej, chodź, poszukamy mamy, dobrze? Zaraz znajdziemy mamę.

Nagle z krańca parkingu dobiegł dziki wrzask:

– Ej! Ej! Co ty wyprawiasz?! Postaw ją natychmiast!

Dill uniósł wzrok i zobaczył biegnącą w jego stronę kobietę o oszalałym spojrzeniu. Postawił wciąż wyjąca dziewczynkę na ziemi.

– Czy to pani...

– Coś ty jej zrobił? Czemu płacze? – darła się kobieta. Uklękła i potrząsnęła córkę za ramię. – Daisy. Daisy, skarbie, co się stało?

Po chwili zaczął zbierać się tłumek gapiów.

– Przyrowadź kierownika – ktoś powiedział. – Allison, wszystko w porządku?

Twarz Dilla płonęła.

– Proszę pani, przechodziłem, a ona jeździła na koniku i spa...

Kobieta podniosła się i podeszła bardzo blisko do Dilla, emanując dziką furia.

– Trzymaj się od niej z daleka. Wiem, kim jesteś. Syn Dillarda Early'ego. Nie dotykaj mojego dziecka. Rozumiesz?

– Allison, Daisy chyba... – zawołał ktoś.

– Nic mnie to nie obchodzi! Ma jej nie dotykać, ma w ogóle nie zbliżać się do mojej córki.

Pan McGowan, kierownik sklepu, przepchał się przez tłum.

– Wszystko w porządku? Proszę pani?

Jej głos nadal był ostry jak brzytwa.

– Poszłam włożyć zakupy do samochodu. Zostawiłam Daisy na koniku. Tylko się odwróciłam, a ten... – Tu wskazała na Dilla, z odrazą wykrzywiając usta. – ...stoi tam, a Daisy płacze. – Daisy dalej wyła, jakby chciała zaprotestować przeciwko słowom matki.

– Upadła – wtrącił Dill. – Próbowałem...

Pan McGowan uniósł rękę, przerywając mu.

– Dill, może wrócisz do środka. Proszę pani, jest mi bardzo przykro. Jestem pewien, że Dill nie miał złych zamiarów.

Starczy. Dosyć tego. Głos Dilla wzniósł się wraz z temperaturą jego ciała.

– Zaraz. Nie zrobiłem nic złego. Ona po prostu czuje się winna, bo zostawiła dziecko bez opieki.

– Jak śmiesz? Nie masz prawa tak do mnie mówić. Nie masz prawa. Jestem dobrą matką.

– Dill? – powiedział ostro pan McGowan. – Ja się tym zajmę. Idź do środka, bardzo proszę.

Dill i kobieta wymienili nienawistne spojrzenia, po czym Dill odwrócił się i wszedł do sklepu. Poszedł prosto do ciemnego pokoiku dla personelu, gdzie na starym telewizorze leciała powtórka serialu komediowego. Ciężko usiadł i przeciągnął rękami po włosach.

Po kilku minutach wszedł pan McGowan. Dill chciał coś powiedzieć, ale ten mu przerwał:

– Na Boga, Dill! Synu, co w ciebie wstąpiło? Nie możesz odnosić się do klientów w ten sposób.

Miło, że wstawia się pan za swoimi pracownikami.

– Panie McGowan, ja nie zrobiłem nic złego. Chciałem pomóc tej dziewczynce. Co miałem zrobić? Zostawić ją samą, zapłakaną?

– Mogłeś przyjść po mnie...

– Pan wie, dlaczego ta kobieta tak zareagowała.

– Wiem – odparł miękko. – Wiem. Chip, mąż Allison, jest pastorem Kościoła Chrystusowego. Zapewne nie przepadała za twoim tatą nawet przedtem. Ludzie nie lubią, kiedy ktoś twierdzi, że powinni brać do ręki jadowite węże, by dać dowód sile swojej wiary.

– Ta-a. – Dill nie miał pojęcia, co powiedzieć. Popatrzył prosto przed siebie. – Hm, lepiej wróć do pracy.

– Zostało ci jakieś... piętnaście minut? Zmykaj do domu. Odbiję za ciebie kartę o normalnej porze. – Głos pana McGowana brzmiał przeprasząco.

– Okej. – Dill podniósł się, nie patrząc na pana McGowana, zdjął swój zielony fartuch i powolnym krokiem poszedł do biblioteki, gdzie był umówiony z Lydią i Travisem. Czuł się jak zbity pies.

Lydia i Travis siedzieli przy stoliku położonym jak najdalej od czujnego oka bibliotekarki, pani White, która nie znosiła, kiedy ktoś gada.

Lydia próbowała wyrwać Travisowi telefon z ręki. Travis, chichocząc, podniósł go wysoko, poza jej zasięg. Lydia wstała i pochyliła się nad stołem,

mało go nie przewracając, Travis zaś odchylił się do tyłu, wciąż trzymając telefon jak najdalej od niej. Lydia okrążyła stolik, usiadła obok Trávisa i zaczęła go łaskotać. Travis cały się skulił, chichocząc coraz mocniej, a Lydia postukała w ekran. Pani White rzuciła w ich stronę miazdzące spojrzenie oraz przenikliwe „psst”.

– Dill, pomóż mi – powiedziała Lydia głośnym szeptem, kiedy Dill podszedł do nich i położył plecak na stole.

– Nie, Dill, mnie pomóż – szepnął Travis. – Przyjaźnimy się dłużej.

– Tak, ale to dzięki mnie Dill nie wygląda jak kompletny pajac. No dalej, Dill. Podejrzewam, że Travis pisze esemesy z sekretną dziewczyną. Musimy poznać prawdę.

Dill próbował robić wesołą minę i włączyć się do gry, ale bez większego powodzenia. I patrząc na Lydię i Trávisa, bawiących się tak beztrosko, dokazujących, podczas gdy jego właśnie oskarżono o molestowanie dziecka, stwierdził, że tego nie zniesie.

– Nie, dzięki. Skorzystam z Internetu, póki jest okazja.

Podał kartę pani White i zajął miejsce przy komputerze. Tak naprawdę nie tyle odczuwał palącą potrzebę skorzystania z Internetu, co nie chciał przebywać w towarzystwie rozradowanych ludzi.

Powiedział sobie, że wcale nie szuka wymówki, by zepsuć Lydii humor. Że to byłby bardzo zły pomysł, czytać teraz jej blog. I dokładnie to właśnie zrobił. Czytał post po poście, coraz bardziej rozżalony.

Nie mogę się doczekać wyjazdu na studia. Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko zostawię. Nie mam tu żadnych przyjaciół, więc spędzam czas w samotności, pisząc fajne posty na blog, robiąc zakupy w sklepach vintage i cykając świetne zdjęcia. Serio, naprawdę nie mam ani jednego przyjaciela. W każdym razie nikogo, o kim warto by wspomnieć. O kim nie wstydziłabym się wspomnieć.

Kiedy się wylogował i wrócił do stolika, Lydia znów pracowała na komputerze, a Travis znów pisał esemesy.

– Dill! Udało mi się dorwać jego telefon. Pisze z dziewczyną imieniem Amelia. Travis ma dziewczynę, stary.

Travis zarumienił się i pół-skrzywił, pół-uśmiechnął.

– Nieprawda. To tylko znajoma z forum Bloodfall.

Lydia spojrzała na Dilla.

– Sir Travis chyba znalazł damę swego serca.

Travis zaczął protestować. Dill próbował się roześmiać, ale przeszkadzała mu narastająca czarna kopuła gniewu, rozsadzająca jego pierś i zatykająca płuca.

Lydia przez moment siedziała z otwartymi ustami, wyciągając ramiona przed siebie.

– Stary, no daj spokój. Mamy okazję podrażnić się z Travisem na temat dziewczyny, a ty wypuszczasz tę okazję z rąk.

I nagle czarna kopuła gniewu rozpadła się i wewnątrz Dilla wypełniła gorąca lawa.

– Pozwól, że zadam ci pytanie.

– Jasne.

– Tak z ciekawości. Jak to jest, że nigdy nie wspominasz na blogu o mnie ani o Travisie? Wstydzisz się nas?

Wesoły nastrój Lydii znikł w mgnieniu oka. Spojrzała na Dilla z kwaśną miną.

– Przepraszam, czy naprawdę muszę się tłumaczyć, co umieszczam na swoim blogu, a czego nie?

Dill próbował przybrać niedbały ton, ale z niewielkim powodzeniem.

– Nie. Po prostu uważam za smutne, że wstydzisz się swoich przyjaciół, to wszystko.

Travis, który usilnie udawał pochłoniętego pisaniem esemesów, niepewnie poruszył się na krześle.

– Dill, daj spokój. Mnie w to nie włączaj. Jest mi to całkowicie obojętne.

Dill rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Jasne, stary. Weź jej stronę, chociaż trzydzieści sekund temu z ciebie szydziła.

– Uważam po prostu, że jesteś niemiły. Ja...

Lydia weszła Travisowi w słowo:

– O co chodzi, Dill? Dlaczego akurat teraz postanowiłeś poruszyć ten temat? Przyjaźnimy się od tylu lat.

– Czyżby? Przyjaźnimy się? Sorry, czytałem twój blog, więc nie wiedziałem, że masz jakichś przyjaciół. Jak już mówiłem, po prostu byłem ciekawy.

– W mordę. – Tego Lydia już nie powiedziała szeptem.

– Dosyć tego, wy tam – zawołała pani White. – Ostrzegałam. Dokończycie

rozmowę na zewnątrz.

Lydia wywróciła oczami, zatrzasnęła laptop, wyrwała wtyczkę z kontaktu i zgarnęła rzeczy do torby.

– Dzięki, Dill.

– Bardzo proszę.

Wyszli z nisko zwieszonymi głowami, unikając kontaktu wzrokowego. Na parkingu ustawili się w kręgu za samochodem Lydii.

– Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie – powiedział Dill. – Jak to możliwe, że nigdy, ani razu, o nas nie wspomniałaś?

– Odpowiedziałam na twoje pytanie pytaniem. Co daje ci prawo, by sądzić, że powinnam o tobie wspominać?

– Chyba nie czuję, że mam takie prawo. Po prostu uważam, że mam prawo, byś traktowała mnie jak prawdziwego przyjaciela, którego się nie wstydzisz.

Lydia otworzyła bagażnik i włożyła torbę. Pokazała Dillowi, żeby wrzucił też swoją.

– Wsiadaj, mam ochotę jeszcze powiercić ci dziurę w dupie.

– Hej, zaparkowałem tu obok. Proszę, przestańcie się kłócić – powiedział Travis. – To nie jest tego warte.

Oboje rzucili mu mordercze spojrzenie.

Głos Trávisa przybrał gniewny ton, jakiego Dill nigdy dotąd u niego nie słyszał.

– Psujecie mi udany dzień. Mam dosyć ludzi, którzy psują moje nieliczne udane dni. Nie zamierzam znosić tego jeszcze z waszej strony. Przestańcie.

Lydia wyprostowała się na całą długość swoich pięciu stóp i dwóch cali naprzeciw sześciu stóp i sześciu cali Trávisa⁶.

– Posłuchaj, Travis, musimy to obgadać. Więc się odczep.

Travis wyrzucił ramiona w powietrze.

– Dobra, jak chcesz. – I odszedł.

Dill i Lydia wsiedli do samochodu. Przez chwilę siedzieli bez ruchu, nic nie mówiąc.

– O co ci w ogóle chodzi? – spytała w końcu Lydia. – Wiem, że nie interesujesz się za bardzo modą. Chcesz, żebym umieściła na blogu twoje zdjęcia czy jak?

– Nie.

Lydia obiema dłońmi szarpnęła swoje włosy.

– Errrrgh. No to czego chcesz?

– Chcę, żebyś zrozumiała, że mieszkamy w małym mieście i nie mamy wielu przyjaciół, i nie traktujemy ich jakby to był jakiś rodzaj akcesoriów modowych. Ty możesz je zakładać i zdejmować do woli. Ale dla mnie to jest normalna główniana rzeczywistość.

Lydia uniosła głos:

– Akcesoria modowe? O rany! No jasne. – Uruchomiła silnik, wrzuciła bieg i wyjechała z parkingu.

– Tak, czytam twój blog. Uwielbiasz robić z siebie nierozumianego przez nikogo wyrzutka, który nie ma przyjaciół i mieszka w zabitej dechami dziurze na Południu. Bardzo romantyczne. Ale ty możesz stąd wyjechać. Tak naprawdę wcale nie jesteś nieszczęśliwa. Za to twoi przyjaciele – których masz, chociaż nigdy o nich nie wspominasz – utkną tu na zawsze.

– O, no super, chyba właśnie zmieniliśmy temat. I bardzo dobrze. Wcale nie musisz tu utknąć. To twój wybór. Cały czas próbuję cię przekonać, że możesz wyjechać. Zbiłam wszystkie twoje argumenty. Ale ty wciąż się upierasz, że musisz zostać. Nieważne. To twoje życie, a ja obejdę się bez twojej beznadziejnej zazdrości, która wynika z tego, że nienawidzisz własnych wyborów.

Dill również podniósł głos:

– Własnych wyborów? Ja nie wybrałem ojca, który poszedł do więzienia i zostawił rodzinę z górą długów. Lubisz mówić o wyborach, co? Łatwo to robić, kiedy ma się wszystko podane na tacy.

– Przede wszystkim nie zachowuj się tak, jakbyś wiedział wszystko o moim życiu, które według ciebie jest usłane różami. Zastanów się, kto tu próbuje grać rolę ubogiego wyrzutka, nierozumianego przez płytką bogatą dziewczynkę.

– Nie chodzi mi o to, że twoja rodzina ma więcej pieniędzy od mojej. Próbuję ci wytłumaczyć, że ranisz moje uczucia, zachowując się tak, jakbym nie istniał, a w dodatku nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie się stąd wyrwiesz. Czuję się przez to gówno wart. Już inne osoby zapewniają mi to poczucie – nie potrzebuję go dodatkowo od ciebie.

– Co jest z tobą, że widzisz wszystko, co robię w tak niekorzystnym świetle? Jakbym specjalnie próbowała zranić twoje uczucia? Jakbym specjalnie po to prowadziła blog? Jakbym zamierzała wyjechać na studia tylko po to, by cię zranić?

– Wcale tak się nie zachowuję.

– Właśnie, że tak.

– Nie.

– Może zamiast zastanawiać się, czego dla ciebie nie robię, mógłbyś pomyśleć o tym, co robię. Gdyby nie ja, co wieczór siedziałbyś w domu na dupie, brzdąkając na gitarze.

Dill wykonał ironiczny ukłon, jakby oddawał Lydii cześć.

– O, dzięki ci, zbawicielko. Dzięki, że mnie ocaliłaś. Siedzenie na dupie i brzdąkanie na gitarze jest lepsze, niż spędzanie czasu z kimś, kto się mnie wstydzi i nie może się doczekać, żeby stąd wyjechać.

Zajechali przed dom Dilla.

– Z pewnością da się organizować takie wieczory znacznie częściej – powiedziała Lydia zimnym głosem.

Dill poczuł się nagle tak, jakby próbował połknąć wielką grudę lodu, która utknęła mu w gardle. Znał zapach nieuchronnie zbliżającej się straty, wiedział, jakie to uczucie, kiedy część życia nagle usuwa się spod stóp. Chwyliła go panika. Wrażenie, że powinien zapisać w pamięci obraz Lydii i tego, co ją otacza, jak fotografię, w razie gdyby więcej miał jej nie zobaczyć.

Jej poza, zbyt blisko kierownicy, ze wzrokiem utkwionym przed siebie i jednym ramieniem na opuszczonej szybie, z głową wspartą na rękę. Druga dłoń – zdarty niebieski lakier o barwie samochodu retro – na kierownicy. Linia szyi w miejscu, gdzie przechodzi w ramię. Kawałek odłóżonej czarnej taśmy zaklejający permanentnie palącą się kontrolkę z symbolem silnika. Pięć czy sześć zużytych odświeżaczy powietrza o zapachu wanilii wiszących przy lusterku na przedniej szybie. Ornamenty zdobiące jej palce i nadgarstki.

Boże, proszę. Porusz moim językiem. Proszę, nie pozwól, by zawładnęła mną duma. Spraw, bym powiedział dokładnie to, co powinienem powiedzieć, by nie stracić kolejnej cząstki siebie.

– Dobra – powiedział Dill. *Nie to miałem na myśli, Boże. Pewnie już się położyłeś do łóżka i zostawiłeś na dyżurze jednego z niższych aniołów. A potem przypomniał sobie o napisie widniejącym na kościele. Ostatnia szansa dla Boga, by do niego przemówił. Skierował wzrok w tamtą stronę. JEŚLI BÓG ZDAJE SIĘ DALEKI, ZGADNIJ, KTO SIĘ ODSUNĄŁ.*

Dobre, Boże. Ta wiadomość. Bardzo pomocna w tym momencie. Wysiadł z samochodu. Lydia nawet na niego nie spojrzała. Nie pożegnała się. Ledwo zamknął drzwi, a odjechała z piskiem opon.

Tyłne światła roztopiły się w ciemności i znikły.

Travis

Raynar Northbrook siedział przy stole, trzymając w niecierpliwych dłoniach ostatni list od lady Amelii z Ziemi Południowych. Uważnie studiował ozdobne pismo, którym utrwaliła wydarzenia ze swego życia. Jego serce śpiewało za każdym razem, kiedy dostawał od niej wieści.

Co dzisiaj porabiasz?, napisał Travis.

Zabieram Pikla i idę odwiedzić babcię i dziadka. Wybierasz się dokądś ze znajomymi?, odpisała Amelia.

Nie wiem. Lydia jest w Nowym Jorku, odwiedza uczelnię. Dill się nie odzywa. Ostatnio dziwnie się zachowują.

Ou.

Ta-a. Uwielbiam moich przyjaciół i nie chcę mówić na ich temat złych rzeczy, ale czasem czuję, że kompletnie mnie nie rozumieją.

Wiem, co masz na myśli.

Wiem. Dlatego cię lubię.

I tak jesteś szczęściarzem, że masz w szkole dwójkę przyjaciół. Ja w sumie nie mam nikogo.

No wiem, chciałbym...

W tym momencie telefon zadzwonił.

O wilku mowa.

– Hej, Dill, co słyhać?

– Hej, Travis, pracujesz dzisiaj?

– Nie, w niedziele zamknięte. Bo co?

– Potrzebna mi twoja pomoc. Samochód mojej mamy nie chce ruszyć, trzeba go naprawić do poniedziałku, bo nie będzie miała jak dojechać do pracy. Ale ja nie znam się na samochodach, a na mechanika nas nie stać. Mógłbyś wpaść?

– Jasne, żaden problem. Zjem tylko szybkie śniadanie, zmoczę włosy i zaraz będę.

– Hej, Travis? Sorry za tamto. Zachowałem się jak palant.

Travis zaśmiał się.

– Nie przejmuj się, stary. Zaraz będę.

Większość osób nie byłaby zachwycona takim telefonem w niedzielny poranek. Ale Travis lubił pomagać ludziom przy różnych naprawach i tym podobnych, uwielbiał przebywać w towarzystwie przyjaciół i jak najdalej od ojca, podobnie jak wyjmować uszkodzone części z samochodu, trzymać je w rękach i zastępować lśniącymi nowościami, po czym przywracać samochód do życia. A Dill właśnie złożył mu propozycję, która spełniała te cztery punkty jednocześnie. Poza tym, Travis miał ochotę pogadać z Dilem. Uznał, że najwyższy czas powiedzieć mu o Amelii. Dill nie potrafił żartować tak dobrze jak Lydia, więc przy nim Travis czuł się pewniej.

Wszedł do kuchni, gdzie mama przygotowała podgrzany chleb, sos, bekon i jajka. Uściskał ją i powiedział, że wychodzi, po czym wysłał wiadomość do Amelii. Połknął trochę jedzenia, chwycił pudełko z narzędziami – przypuszczał, że Dill ma w domu co najwyżej śrubokręt i cążki – a potem ruszył w drogę. W ramach bonusu nawet nie zobaczył ojca, który wybrał się z łukiem na polowanie.

Travis zaparkował swojego czerwonego forda pickupa za chevroletem mamy Dilla. Dill stał nad otwartą maską i przyglądał się wnętrzościom samochodu.

– Szukasz magicznego guziczka? – spytał Travis z uśmiechem.

Dill też się uśmiechnął, odsunął się na bok i przeciągnął ręką po włosach.

– Naprawdę liczę na to, że zdołasz coś zaradzić.

– Zaraz wszystko będzie wiadomo. – Travis wziął kluczyki, wsiadł i spróbował odpalić. – Światła działają, więc to nie akumulator – mruknął. Przekręcił kluczyk. Nic. Cisza, żadnego dźwięku. Jeszcze raz przekręcił kluczyk. Dalej nic.

Zamyślił się, przeglądając w głowie różne scenariusze. Gdyby chodziło o alternator, akumulator by nie działał i światła by się nie zapaliły. Gdyby winien był układ paliwowy, silnik by się zapalił, ale by się nie włączył, tylko chwilę powarczał i tyle.

Wysiadł z samochodu i zamknął maskę.

– Wydaje mi się, że to rozrusznik.

– Jesteś pewien?

Travis poprawił czapeczkę baseballową.

– Nie. Ale to najlepszy pomysł, jaki przyszedł mi do głowy.

– Czy trudno jest kupić rozrusznik?

– Nie.

– A ile kosztuje?

– Do tego wozu pewnie pięćdziesiąt-sześćdziesiąt dolarów.

Mina Dilla mówiła, że nawet taka cena jest dla niego wysoka, lecz nie mieli wyjścia.

Wsiadli do pickupa Trávisa i pojechali do sklepu z częściami. Był jeszcze jeden powód, z którego Travis cieszył się, że pomaga Dillowi. Coś nie dawało mu spokoju.

– Wiem, że Lydii w tym tygodniu prawie nie ma w domu, bo zwiedza z mamą uczelnie, ale może rozmawiałeś z nią od piątku?

Dill wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze nosem.

– Nie.

– W ogóle?

– W ogóle.

– Nie uważasz, że powinieneś się odezwać?

– Co niby miałbym powiedzieć?

Travis pogrzebał przy ogrzewaniu, popatrzył w lewo i skrzył.

– Nie wiem. Przeprosić?

– Nie czuję, że powinienem przeprosić.

– A powinieneś.

Dill prychnął.

– Skąd taki pomysł?

– Strasznie na nią napadłeś.

– No i co? Miałem kiepski dzień.

– Ja, nawet gdybym miał kiepski dzień, nie wyżywałbym się na Lydii czy na tobie.

– Nie sądzisz, że Lydia zachowuje się inaczej w tym roku? – spytał Dill. – Od chwili, kiedy dotarło do niej, że niedługo się stąd wyrwie? Nie uważasz, że wyłazi z niej snobka?

– Nie bardzo. Może to twoja wyobraźnia.

– Przysięgam, że nie. Naprawdę się zmieniła.

– Uważam, że jesteś dla niej zbyt surowy. To dobrze, że wyjedzie do

większego miasta, gdzie jest moda i tak dalej, nie? Powinieneś się cieszyć.

Dill zmarszczył brwi.

– A propos, czytasz czasem jej bloga?

– Zdarza się. Ale nie jakoś regularnie.

– I nie uderzyło cię, że chociaż robi nam tyle zdjęć i spędzamy razem tyle czasu, nigdy o żadnym z nas nie wspomniała? Umieściła nawet zdjęcia tej babki ze sklepu w Nashville, chociaż przyjaźniły się przez kwadrans. Nie wydaje ci się, że to świadczy o tym, że Lydia się nas wstydzi?

Travis wzruszył ramionami.

– Babka była bardzo ładna i miała na sobie ładne ubranie. My nie jesteśmy królami mody. Niby dlaczego mielibyśmy znaleźć się na jej blogu?

– Może masz rację. Ale i tak nie daje mi to spokoju. Mam wrażenie, że Lydia uważa nas za gorszych od siebie czy coś w tym stylu.

Zajechali przed sklep z częściami i wysiedli. Za kontuarem stało dwóch pograżonych w rozmowie mężczyzn, starszy i młodszy, obaj w zielonych kamizelkach i czapczkach bejsbolowych.

– Czym można służyć? – zapytał młodszy.

– Potrzebny mi rozrusznik do chevrolleta cavalier, rocznik dziewięćdziesiąty drugi. Czterocylindrowy – powiedział Travis.

– Zajrzę do komputera. – Mrużąc oczy, sprzedawca spojrział na ekran. – Jest jeden na stanie. Zaczekajcie sekundkę, zaraz przyniosę. – Sprzedawca zanotował coś na kartce i znikł na zapleczu.

Starszy mężczyzna kiwnął głową w stronę Dilla.

– Przepraszam, że pytam, młody człowieku, ale czy ty przypadkiem nie jesteś wnukiem Dillarda Early'ego?

Po twarzy Dilla przemknął cień niepokoju.

– Owszem, zgadza się – odparł cicho. Miał nadzieję, że mężczyzna czegoś nie chlapnie. Travis nigdy nie wspominał, że słyszał o Królu Węży. I Dill wolał, by tak zostało.

– Mój Boże. Kiedyś pracowałem z twoim dziadkiem. Na stacji benzynowej Gulf. Teraz to sieć Conoco.

– Aha – powiedział Dill, wbijając wzrok we własne buty.

– Był z niego mechanik co się patrzy, Bóg mi świadkiem – powiedział mężczyzna z nostalgicznym śmiechem – wszystko potrafił naprawić. Zawsze wyczuł, co jest nie tak z wozem. Prawdziwa złota rączka. A śpiewać jak potrafił. Podczas pracy zawsze śpiewał stare piosenki. Jezu, jak on śpiewał.

Odziedziczyłeś coś po nim?

– Ale co?

– Cokolwiek.

– Śpiewam całkiem nieźle.

– Założę się, że samochód też byś poskładał. Takie rzeczy ma się we krwi.

– Tak, proszę pana. Różne rzeczy ma się we krwi.

– Jesteś do niego podobny.

– Tak mówią. Widziałem zdjęcia. Zmarł przed moimi narodzinami.

– Ta-a – powiedział cicho starszy mężczyzna, kiwając głową i odwracając wzrok. Ale zaraz spojrzał prosto na Dilla. – Synu? To był *dobry* człowiek. Chcę, żebyś wiedział.

Travis znał takie spojrzenie. Takie samo jak u Lamara, kiedy opowiadał o Królu Węży. Spojrzenie człowieka, który żyje wystarczająco długo, by rozumieć niszczący ogień rozpacz. Spojrzenie starego człowieka, który boi się złej śmierci.

W tym momencie z zaplecza wrócił młodszy sprzedawca. Postawił na kontuarze brudne kartonowe pudło.

– No dobra. To będzie siedemdziesiąt siedem i pięć centów, w tym podatek i czternaście zastawu.

Dill podał sprzedawcy zwitek banknotów. Kiedy wychodzili, Travis zerknął przez ramię. Starszy mężczyzna podszedł do młodszego i wskazał w ich kierunku. Na pewno opowiadał mu historię Króla Węży. Travis mógłby się o to założyć.

– Nie martwisz się, że Lydia wyjeżdża? – spytał Dill.

– Martwię się. Będę za nią tęsknił. Ale zawsze wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Od zawsze gadała, że musi się stąd wyrwać. Pomyśl, jaka byłaby zdołowana, gdyby musiała zostać.

– A ty myślałeś o tym, żeby się wyrwać?

– Dokąd niby miałbym pojechać? Tu jest mój dom.

– A studia?

– Nie. Mam kiepskie stopnie. Zresztą i tak lubię czytać tylko te książki, które mi się podobają. Nie te, które kazały czytać w szkole.

– Będziemy trzymać się razem po wyjeździe Lydie? – spytał Dill.

Travis zaśmiał się.

– Jasne. To znaczy, nie mogę obiecać, że dalej będziemy robić takie

kreatywne rzeczy. I zapewne nie będziesz miał zbyt wiele do gadania, kiedy zechcę nosić ze sobą kij w miejscach publicznych. Szczególnie że prawdopodobnie będziemy jeździć moim samochodem.

– Mnie kij nigdy nie przeszkadzał tak jak Lydii.

– Chcesz powiedzieć, że przez cały czas było dwa do jednego za kijem?

– Tego nie powiedziałem.

Travis uznał, że to dobra okazja do zwierzeń.

– A więc... pamiętasz, jak Lydia próbowała wyrwać mi telefon w bibliotece?

– Aha.

– Pisałem esemesy do pewnej dziewczyny, Amelii Cooper, którą poznałem na forum Bloodfall. Mieszka w Alabamie. Sprawy chyba zmierzają w dobrym kierunku.

Dill przez chwilę wpatrywał się w Travisa, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha i dał mu kuksańca w ramię.

– Stary, spójrz tylko na siebie. Kręcisz z dziewczynami.

Travis zachichotał i poprawił czapeczkę.

– Bardzo ją lubię. Wydaje mi się, że pewnego dnia mogłoby być z tego coś więcej niż przyjaźń. Mam nadzieję. Na pewno spotkamy się w maju na Festiwalu Renesansu w Tennessee. Może nawet wcześniej. Amelia uważa, że mój kij jest fajny.

– Uważa, że twój kij jest fajny? – powtórzył Dill znacząco.

Travis dopiero po chwili zrozumiał aluzję. Znów zachichotał i pacnął Dilla w ramię.

– Nie, stary, nie o to chodzi. O rany. – Uśmiechnął się przebiegle. – Tak czy inaczej, powinieneś się cieszyć, słysząc, że czasem przyjaźń może zmienić się w coś więcej. – Dillovi opadła szczęka.

– Łoa, powoli.

Travis posłał mu wymowne spojrzenie.

Dill potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

– Totalnie się mylisz.

Travis posłał Dillovi kolejne wymowne spojrzenie.

– Powiedz mi to prosto w oczy.

– Nie. Prowadzisz.

Travis zaśmiał się i znów dał mu kuksańca w ramię.

– Wiedziałem! Jak to możliwe, że nigdy...

- Bo tak.
- Dlaczego?
- Nie chcę niczego zepsuć. A zepsułbym.
- Może nie. – *Ale w sumie tak, Dill, istnieje spore ryzyko, że tak.*

Teraz Dill rzucił Travisowi wymowne spojrzenie.

– Może już zepsułem. Poza tym ona wyjeżdża, na pewno by nie chciała. To by tylko skomplikowało jej plany.

– Nie wiesz, dopóki nie spróbujesz. Jeśli chodzi o dziewczyny...

Dill zarechotał i znów walnął Trávisa w ramię.

– Jeśli chodzi o dziewczyny, hm? Patrzcie, jaki ekspert.

– Coś tam wiem.

– Jasne. „Coś” może i tak. Tylko co?

Zajechali przed dom Dilla. Pogoda aż się prosiła, by porobić coś na zewnątrz – niebo zakrywały chmury, było na tyle rześko, by włożyć długi rękaw, ale zrezygnować z kurtki. Powietrze pachniało zeschniętą trawą i suszącym się praniem.

Travis stwierdził, że z rozrusznikiem trzeba zacząć od dołu. Podnieśli samochód i podparli go. Travis wsunął się pod spód z zestawem narzędzi.

– Możesz mi pomóc i przyłożyć koniec klucza francuskiego do tej śruby na górze? – poprosił Travis.

– Jasne. – Dill pospieszył na pomoc. – Kiedy się nauczyłeś naprawiać samochody?

– Od taty. – Travis ze stęknieniem odkręcił bolec i zabrał klucz.

– Fajnie było?

– Nie za bardzo. – Travis miał nadzieję, że Dill nie zapyta dlaczego. Nie zapytał.

Travis odłączył rozrusznik, przez chwilę grzebał kluczem, aż wreszcie dotarł do drugiej śruby. Poluzował ją i podparł rozrusznik ręką, jednocześnie odkręcając śrubę. Kiedy wyskoczyła, Trav wyjął rozrusznik i wyczołgał się spod samochodu.

– Nauczysz kiedyś swoje dzieci, jak się naprawia samochód? – spytał Dill.

Travis otrzepał spodnie.

– Za bardzo nie zastanawiałem się na tym, jak to będzie mieć dzieci. Ale gdybym miał, uczyłbym je przeróżnych rzeczy. I pozwoliłbym im czytać, co by tylko chciały. – Travis wyjął z pudła nowy rozrusznik i wrócił pod samochód.

Włożył rozrusznik na miejsce. Przez wnętrzości samochodu widział nad sobą twarz Dilla. Popatrzyli sobie prosto w oczy. Nagle Travis poczuł niepowstrzymaną chęć, by zrzucić z siebie jeszcze część ciężaru.

– Mogę ci zadać dziwne pytanie?

– Jasne. O ile nie dotyczy Bloodfall. To zostaw dla Amelii.

Travis wsunął na miejsce jedną ze śrub i przykręcił ręcznie.

– Czy tata cię bił?

Dill odparł po chwili wahania:

– No. Znaczy, czasem dawał mi klapsy. Jasne.

Travis dokręcił śrubę kluczem.

– Nie to mam na myśli. Chodzi mi o to, czy cię bił, tak naprawdę.

Spojrzeni sobie prosto w oczy.

– Nie. Tak to nie. – Dill nie pytał, skąd to pytanie. Travis był za to wdzięczny. Samo wypowiedzenie tych słów sprawiło, że poczuł się lżej. Jakby mniej samotnie.

– Kiedy będę mieć dzieci, palcem ich nie tknę. To znaczy, będę je dotykał, przytulał i tak dalej. Ale nigdy ich nie skrzywdzę. – Travis umieścił w otworze drugą śrubę, przykręcił ręką i dokończył kluczem. Podłączył rozrusznik i wysunął się spod samochodu.

– No dobrze – powiedział. – Chwila prawdy. Zmów modlitwę.

Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk. Silnik natychmiast się ożywił. Nie brzmiał zbyt zdrowo, ale nigdy tak nie brzmiał. W każdym razie samochód działał. Jeszcze przez jakiś czas będzie woził mamę Dilla z punktu A do punktu B.

Dill wydał radosny okrzyk i przybił piątkę z Travisem.

– Stary, jesteś niesamowity. Udało ci się.

Travis walnął Dilla w ramię.

– *Nam* się udało. Idziemy po twoje czternaście dolców.

– Jestem twoim dłużnikiem – powiedział Dill, kiedy już siedzieli w pickapie Trávisa.

– W zamian pogódź się z Lydią. Nie mogę patrzeć, kiedy się na siebie gniewacie.

21

Dill

Dill nie miał nic przeciwko, by przejść pieszo te parę mil dzielących go od domu Lydii. Chwilę wcześniej spadł deszcz, na ulicach leżały mokre liście, a powietrze wypełniał ich ziemisty tytoniowy zapach zmieszany z korzenną wonią palonego drewna. Niebo pokrywał strzępiasty welon chmur, zza którego wyglądał jasny księżyc zbliżający się do pełni. Dill mocniej otulił się dzinsową kurtką (wybraną przez Lydię) i zapiął guziki. W myślach powtarzał, co powie. *Przepraszam. Myliłem się. Pragnę tylko twojego szczęścia.* Nawet napis na kościele okazał się po części pomocny (tym razem): **BÓG NIE ZAPOMINA GRZESZNIKA, ZAPOMINA JEGO GRZECH.**

Przydałoby się, żeby zapomniała. Zapukał do drzwi. Jego serce waliło jak szalone. Otworzył tata Lydiii.

– Cześć, Dill. Jak się masz?

– Dobrze, dziękuję. Lydia jest w domu?

– Tak. Wchodź, wchodź. Lydia?! – zawołał. – Masz gościa, skarbie.

Lydia pokazała się na górze schodów. Miała na sobie spodnie dresowe i bluzę z kapturem, włosy związała w niedbały kucyk. Na widok Dilla skrzyżowała ramiona na piersi i przez chwilę zabijała go wzrokiem. Dill odpowiedział spojrzeniem kopniętego szczeniaka. Przywołała go machnięciem ręki i wróciła do pokoju. Dill ruszył na górę.

– Hej, Dill, zanim wyjdiesz, przypomnij, żebyś pokazał ci nową gitarę, okej? – powiedział doktor Blankenship.

– Dobrze.

Lydia siedziała przy biurku, pisząc na nowym laptopie. Chyba esej, który należało dołączyć do papierów na studia. Nie odwróciła się, kiedy Dill

wszedł do pokoju.

Ogarnął wzrokiem uporządkowany chaos. Zawsze przytłaczała go zgromadzona tam ilość informacji wizualnej. Płyty. Książki. Magazyny. Plakaty. Zdjęcia. Pluszowe zwierzątka. Dziwne starocie, w tym przerażający model dentystyczny z lat trzydziestych, który dostała od taty. Wszędzie ubrania i buty – reprezentanci wciąż zmieniających się obsesji. Tym razem doszedł nowy element – stosy wstępnej wersji esejów. Wypełnione do połowy podania o przyjęcie na uczelnię i stypendium. Fragmenty życia pędzącego przed siebie z wielką prędkością i determinacją.

Zawsze zazdrościł jej tej obfitości, w której przebywała – obfitości, tworzącej ostry kontrast z golizną jego pokoju. Stosy papierów bynajmniej nie pomagały. Łóżko zatrzeszczało pod jego ciężarem.

Lydia nadal się nie odwracała. Zaznaczyła linijkę i skasowała. Widać postanowiła, że będzie bolało.

– No. Mów.

Dill zawahał się. Szczegółowo zaplanowana mowa z przeprosinami, którą ułożył po drodze, wyparowała bez śladu.

– Ja... przepraszam. Za to, co powiedziałem.

Lydia nadal pisała.

– Brakowało mi ciebie.

Pisała.

– Chcę, byśmy pozostali przyjaciółmi.

Pisała.

– I zaczynam się czuć jak idiota, więc wychodzę. – Dill wstał, a łóżko znów zaskrzypiało.

Lydia odwróciła się razem z krzesłem i założyła nogę na nogę.

– Dobra. Przyjmuję przeprosiny. Ale powaga. Nie zniosę ciągłych dramatów. Za dużo mam rzeczy na głowie. Trzeba z tym skończyć. Mówię poważnie, Dill.

Dill znów usiadł na łóżku.

– Nie mogę obiecać, że będę miał uśmiech na twarzy za każdym razem, kiedy coś mi przypomni, że wyjeżdżasz. Takiej obietnicy na pewno bym nie dotrzymał.

Lydia wstała, podeszła do półki ze świecami (tak, całej półki przeznaczonej wyłącznie na świece) i zapaliła dwie z edycji jesiennej.

– Robię miks jesiennych liści, łączę nuty głowy, cydr i cynamon, ze świecą

o zapachu ogniska, która wnosi nuty bazy: cedr, brzozę i wanilię. Powinnam zostać sommelierem od świeczek. Jest taki zawód?

– Słuchasz mnie?

– Tak. I nie oczekuję, że będziesz zadowolony. Chciałabym jedynie, żebyś nie dopuszczał do tego, by twoje niezadowolenie z powodu zaistniałej sytuacji manifestowało się w formie niezadowolenia ze mnie.

– Okej.

– Gdybyśmy zamienili się miejscami, tak właśnie bym postępowała.

– Okej.

– Przysięgam, że wszystko, co robię w związku ze studiami, absolutnie nie ma na celu cię zranić. Przysięgam również, że mam ważne powody, by chronić twoją prywatność i nie pisać o tobie na blogu. A ty przysięgnij w zamian, że się postarasz i nie będziesz wyzywać się na mnie za to, że popełniam ten straszny grzech i próbuję zmienić swoje życie na lepsze.

– Dobra.

– Powiedz to.

– Przysięgam.

Twarz Lydii wreszcie złagodniała.

– Posłuchaj. Ja też nie jestem szczęśliwa, że wkrótce się rozstaniemy. Wiem, że moje życie prawdopodobnie będzie wyglądało znacznie zabawniej niż twoje. Ale będę za tobą tęsknić. Tak jak tęskniłam za tobą w tym tygodniu.

– To eufemizm, powiedzieć, że prawdopodobnie czeka cię zabawniejsze życie niż mnie. To pewne jak w banku.

Lydia usiadła obok Dilla.

– No już – powiedziała, unosząc ręce. – Uściski.

Dill objął ją i mocno przytulił. Włosy Lydii pachniały jak pomarańcze i kwiaty magnolii. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo boli go serce, aż do tej chwili, kiedy ból zelżał. Zamiast niego pojawiło się zachwycające uczucie – oto siedział na łóżku i trzymał Lydię w ramionach. *Gdyby tylko.*

– Na jakim jesteś etapie? – spytał Dill.

Lydia klapnęła na łóżko i zapatrzyła się w sufit.

– Wczesny termin nadsyłania podań na Uniwersytet Nowojorski upływa za około dwa tygodnie. Wielka sprawa. Szlifuję esej.

– Powodzenia – mruknął Dill.

Lydia usiadła. Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Nie jest za późno – powiedziała.

Teraz Dill położył się na łóżku. Zakrył twarz poduszką.

– Nie mogę – powiedział. – Nawet rozmawiałem z mamą.

– I?

– A jak myślisz? *Oczywiście, Dill, jedź na studia, baw się dobrze, ucz się o ewolucji, płacć chesne i chodź na zajęcia zamiast pracować, a ja wszystkim się tu zajmę.* Nie. Oczywiście spanikowała.

– Wiedziałaś, że tak zareaguje. Dlaczego miałoby to zaważyć na twojej decyzji?

– Ehm, ponieważ jest moją mamą.

– A Biblia mówi, że masz ją szanować?

Dill wywrócił oczami.

– Daj spokój.

– Sam daj spokój. Naprawdę wierzysz, że to, czego życzy sobie twoja mama, jest dla ciebie najlepsze? Że jej zdanie powinno przeważać nad twoim pragnieniem?

Dill znowu usiadł.

– Już nie wiem, w co wierzę. W ogóle. Jakaś część mnie z pewnością uważa, że wszystko, co jest najlepsze dla niej, jest też najlepsze dla mnie.

– Skąd taki wniosek?

– Ponieważ jest moją mamą.

– *Doskonała odpowiedź. Zaczekaj.* – Lydia przyłożyła do ucha nieistniejący telefon. – Halo, czy to sklep z pucharami? Chciałabym zamówić kilka waszych najlepszych modeli.

– Zabawna jesteś. Posłuchaj, po prostu nie ma o tym mowy.

Lydia wyrzuciła w górę ręce.

– Jak chcesz.

– A teraz musisz mi obiecać, że nie będziesz więcej dręczyć mnie w sprawie studiów.

– Odmawiam.

– A dlaczego ja muszę składać różne przysięgi?

– Ponieważ proszę, byś obiecał, że nie będziesz beznadziejny, a ty prosisz, żebym przestała być wspaniała, czego nie mogę zrobić z czystym sumieniem.

– Proszę, nie mów, że jestem beznadziejny, tylko dlatego, że nie mam możliwości wyboru.

Lydia podniosła się, podeszła do biurka i wysunęła szufladę.

– Też odmawiam. Ale pozwolę ci chwilowo zmienić temat. – Wyciągnęła

z szuflady swój stary laptop Maca i okręciła wokół niego kabel.

A potem podeszła do Dilla i położyła mu laptop na kolanach.

– Masz. Wesołych wczesnych świąt, wszystkiego najlepszego z okazji spóźnionych urodzin, radosnego Halloween czy co tam chcesz.

Dillowi opadła szczęka.

– Zaraz. Czekaj. Dajesz mi to? Poważnie?

– Aha. Nie potrzebuję dwóch komputerów, niedawno dostałam nowy. Ten ma już cztery lata. Zaczynałam na nim *Dollywould*, ma dla mnie wielką wartość sentymentalną. Więc może lepiej go nie rozwał. Nadal działa całkiem dobrze. Czasem tylko trochę zwalnia.

Dill znów uściskał Lydię, przekrzywiając przy tym jej okulary.

– Dziękuję. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

– Dobra, spokojnie. Nie słucz mi okularów. A, najlepsza część: ponieważ nie jestem ohydny samcem, klawiatura jest stuprocentowo wolna od śladów spermy.

Dill promieniał. Nawet nie tyle z powodu komputera, raczej dlatego, że się pogodzili. A prezent stanowił najlepszy tego dowód.

– Czekaj. – Lydia wzięła od niego laptop i otworzyła. – Pokażę ci, jak nagrać samego siebie. Będiesz mógł nagrywać swoje piosenki.

– Jeszcze nigdy się nie nagrywałem – odparł Dill. – Nie mamy komputera, odkąd policja skonfiskowała tamten.

– Poważnie? Nigdy się nie nagrywałeś? No dobrze, najwyższy czas. Twoja pierwsza praca domowa. – Pokazała, jak kręci się i nagrywa filmy za pomocą wbudowanej kamery i mikrofonu. – Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Doskonale. – Lydia wstała i znów podeszła do biurka. – A teraz zjeżdżaj, bo mam mnóstwo roboty – powiedziała, machając ręką.

– Lydia. Dzięki.

– Bardzo proszę. – Nie patrząc na niego, zaczęła przewijać dokument. – A, przy okazji, muszę odwołać filmowy wieczór w najbliższy piątek. Jestem zbyt zajęta podaniami i blogiem.

Dillowi zrzedła mina. Lydia rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i, unosząc palec, samym ruchem warg powiedziała: „obiecałeś”.

Dill kiwnął głową, odwrócił się i wyszedł.

Kiedy zszedł po schodach, Lydia zawołała z góry:

– Tato, dałam Dillowi swój stary komputer. Żeby nie było, że próbuje go zwinąć.

– Dobrze, skarbie. Hej, Dill, wejdz.

Dill wszedł do gabinetu. Wypełniały go antyczne meble. Książki w skórzanych oprawach. Na jednej ścianie wisiał ogromny kolaż Dolana Geimana, a na drugiej kilka gitar. Obok stał stary wzmacniacz Fendera.

Doktor Blankenship wyszedł zza biurka i zdjął jedną z gitar: był to wspaniały Fender Stratocaster z lat sześćdziesiątych z wykończeniem sunburst. Podał ją Dillowi, który trzymał ją ostrożnie, jak eksponat z muzeum. Musiała sporo kosztować.

– Przepiękna, proszę pana.

– Zagramy parę kawałków, co?

Dill położył nowy laptop na biurku i przełożył pasek gitary przez szyję. Zagrał szybką solówkę, żeby rozruszać palce. Doktor Blankenship wyciągnął kabel i włączył wzmacniacz. Czekali, aż się rozgrzeje.

Dill uderzył w strunę i zapytał:

– Skąd pan ją ma?

Doktor Blankenship podłączył gitarę i odparł:

– Z wyprzedaży garażowej w Nashville. No to jedziemy!

Dill zagrał, najpierw nieśmiało, na próbę.

– Dalej, dalej! Wkurz sąsiadów!

Dill nadał grze mocy i szybkości, a doktor Blankenship uśmiechał się od ucha do ucha, unosząc kciuki do góry. Dilla ogarnęło przyjemne uczucie. Grał dalej. A potem pojawiła się tęsknota. Ostatnim razem grał na gitarze elektrycznej wtedy w kościele, stojąc przed ojcem, chwilę później ojciec zdecydował, że jednak nie poda mu węża. Niedługo przed aresztowaniem. Dill przerwał grę i zdjął pasek.

Doktor Blankenship wziął od niego instrument i zawiesił na ścianie.

– No i co sądzisz?

Dill nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie Lydia zawołała z góry:

– Tato, co tam się dzieje? Dlaczego twoja gitara brzmi znacznie lepiej niż zwykle? Boję się. Co zrobiliście mojemu tacie?

– Uwielbiam moją sprytną córkę – mruknął pan Blankenship. – Nieważne, coś chciałeś powiedzieć.

– Jest piękna. Prawdziwa zdobycz. Od dawna nie grałem na gitarze elektrycznej.

– A masz gitarę elektryczną?

– Miałem. Po tym... co stało się z tatą, musieliśmy sprzedać różne rzeczy, w tym gitarę i wzmacniacz. Nie szkodzi. I tak nie mam już gdzie na niej grać.

– Często widzisz tatę?

– Kilka razy w roku. Następnym razem wybieram się koło Gwiazdki.

– Gdybyś chciał, żeby ktoś cię podrzucił, to daj znać. Wybieram się na zakupy przedświąteczne do Trader Joe's. Mógłbym zamknąć tego dnia gabinet.

– Na pewno? To znaczy, byłoby super, ale nie chciałbym sprawiać kłopotu.

– Nie sprawisz kłopotu. I tak szczerze mówiąc – tu zniżył głos i rozejrzał się na boki – byłoby miło poprzemywać czasem w towarzystwie innego samca. W tym domu jest mnóstwo estrogenu.

– Słyszałam – zawołała Lydia. – Nie bądź wstrętnym seksistą.

– T-aa, rozumiem, co pan ma na myśli – odparł Dill. Zabrał laptop ze stołu i dodał: – Proszę dać znać, kiedy będzie panu pasowało.

– Jasne. Hej, czy Lydia proponowała, że odwiezie cię do domu?

– Nie.

– A odwieźć cię?

Dill odparł z uśmiechem:

– Nie, dziękuję. Taki piękny wieczór.

Kiedy wracał pieszo do domu, zerwał się rzeński wiatr i poruszył liśćmi, które zaczęły tańczyć i podskakiwać w cieniach poprzecinanych blaskiem księżycy. Ich szelest na chodniku brzmiał w uszach Dilla jak muzyka.

Lydia

Siedzieli przy stoliku na stołówce, jak zwykle sami i z dala od reszty. Panował hałas i śmierdziało paluszkami rybnymi. Dill jadł swój mały zachęcający darmowy lunch. Travis przyniósł wielgachny pojemnik pełen zapiekanego makaronu z serem autorstwa mamy. Lydia zjadała mini marchewki, pitę, hummus i grecki jogurt. Travis zatopił się w lekturze któregoś tomu z serii Bloodfall, a Dill ze słuchawkami w uszach pilnie pracował na laptopie. Lydia zaś czytała *Dziennik Anais Nin*.

Dill wyjął jedną słuchawkę i zapytał:

– Ej, Lydia, mogłabyś umieścić dla mnie kilka filmów na YouTube? Próbowałem, ale szkoła zablokowała YouTube’a.

– Jasne. A co to?

– Kilka nagrań moich piosenek. Pięć dokładnie.

– *Pięć?* Dałam ci ten laptop, ile, dwa dni temu?

– Miałem parę gotowych.

Obok ich stolika przeszli Hunter Henry, Matt Barnes i DeJuan Washington, wszyscy trzej grali w drużynie futbolowej.

– Hej, Dildo, policja wie, że masz komputer? – zapytał Hunter. Jego koledzy zachichotali.

– Wydaje mi się, że szkoła blokuje porno dziecięce – dorzucił Matt. Kolejna porcja chichotów.

Dill zignorował ich i wsadził słuchawkę do ucha. Travis wyraźnie się spiął, ale czytał dalej. Dill i Travis znali przyjęte zasady.

Lydia z uśmiechem odłożyła książkę.

– Tak, powiadomiliśmy policję oraz wpisaliśmy wasze nazwiska do Krajowego Rejestru Mikropenisów. Nie zdziwcie się, jeśli będziecie mieć

problemy na lotnisku. I nie tylko.

– Zaraz ci pokażę fiuta – zaproponował Hunter.

– Nie zapominaj, że noszę okulary – odparła Lydia, biorąc książkę do ręki.

– Jak mógłbym zapomnieć, twoja morda wygląda w nich jak dupa – wypluł z siebie Matt.

– Mógłbyś zapomnieć, ponieważ twoja pamięć semantyczna nie działa. Z tego powodu doznaliście takiego upokorzenia ze strony drużyny z Tullahoma High, która powtórzyła dwa razy z rzędu tę samą grę ostatnim razem, kiedy pobili was w ostatniej kwadrze – powiedziała Lydia, nie podnosząc wzroku znad książki.

– A co ty wiesz o futbolu, suko? – zapytał Hunter.

– Cóż, wiem, że należy zebrać więcej punktów niż drużyna przeciwna i że jest to raczej trudne, kiedy płaczesz się w okolicach własnej linii końcowej, jak zeszłego roku w meczu przeciwko Manchester, co zapewniło wam spektakularną przegraną.

Hunter poczerwieniał.

– Zostaw, stary – rzucił DeJuan. – Nie warto. Próbuje cię sprowokować, żebyś zrobił coś głupiego.

– Nigdy nie wymaga to zbyt wielkiego wysiłku – odparła Lydia.

Hunter wyrwał Lydii książkę z rąk, rzucił na podłogę i odmaszerował.

Dill wyjął słuchawki, podniósł książkę i podał ją Lydii.

– Nie wiedziałem, że jesteś fanką futbolu.

Lydia zaczęła przerzucać kartki, by odnaleźć odpowiednią stronę.

– Nie jestem. Ale pilnie śledzę porażki naszej szkolnej drużyny oraz poszczególnych zawodników. Chowam je w specjalnym pliku w pamięci, przeznaczonym dla wszystkich graczy, którzy próbują nas mobbować. To znacznie lepsza zabawa niż sama gra. No, ale teraz muszę lecieć. Daj laptop, zabiorę go dzisiaj do domu i umieszczę twoje nagrania w sieci.

Razem z Chloe oglądamy dla zabawy mieszkania. Jaki masz budżet? Znalazłyśmy fajne miejsce za 3 tys./mies, napisała Dahlia.

Tysiąc miesięcznie to dla mnie żaden problem, odpisała Lydia.

LOL, chciałabym, 3 tys./os.

Hm, pomyślała, wygląda na to, że będę Dilem w mojej nowej grupie znajomych – przynajmniej finansowo. Zarobki dentysty z Forestville i agentki nieruchomości nie mogły się równać z dochodami redaktorki naczelnej

magazynku „Chic” czy aktorki. Trzeba będzie pomyśleć, jak uczynić z „ubogiej dziewczyny” zamierzony element wdzięku i uroku. Tak jak to zrobiła Dolly.

Uf. Chyba poza zasięgiem, odpisała Lydia. Poza tym jeszcze się nie dostałam.

Ale się dostaniesz.

Jak mówimy w Tennessee, nie dziel skóry, i tak dalej.

Lydia poczuła niepokój, bez żadnej konkretnej przyczyny. Nie chodziło tylko o koszty mieszkania, chociaż o to też. Głowa pękała jej od wypełniania papierów, redagowania eseju i pracy nad długim postem o pokazach na Paryskim Tygodniu Mody. Poczuła, że czas zająć się czymś innym.

Wyciągnęła laptop Dilla, weszła na YouTube’a i utworzyła dla niego konto. Hasło: LydiaBoginiDobroci666. Odnalazła plik z nagraniami i otworzyła pierwsze.

I zamarła. *Ou. To jest Dill?* Emanował pewnością siebie. Był hipnotyzujący. Śpiewanie totalnie go odmieniało. Uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała, jak Dill gra i śpiewa któryś z własnych utworów. A ten był naprawdę świetny. Otworzyła następny. To samo. Hipnotyzujący. Fascynujący. Niesamowity. I jeszcze jeden. Aż obejrzała wszystkie. Poczucie niepokoju minęło bez śladu.

Jeśli Dill cokolwiek odziedziczył po ojcu, to bez wątpienia jego mroczną charyzmę. Taką, która każe ludziom iść za przywódcą i wyznać swe winy. Która sprawia, że czują się zbawieni. Która każe im brać do ręki jadowite węże i pić truciznę, by zbliżyć się do Boga. Dill śpiewał tak, jakby wypełniała go rzeka ognia, jakby muzyka stanowiła jedyną piękną rzecz, jaką posiadał. Jego śpiew wywoływał ból w sercu Lydii. Patrząc na niego, czuła... Wzięła głęboki wdech i potrząsnęła głową. *Dobra, skończmy z takimi myślami.*

Kiedy odwiedzała z mamą uczelnie, w tamtym tygodniu po kłótni z Dilem, nie mogła przestać o nim myśleć. Widziała go oczami wyobraźni, jak na zawsze grzęźnie w Forrestville, nieszczęśliwy, niespełniony. *To tutaj wszystko zmienia. Mogę to wykorzystać. Mogę coś z tym zrobić. Zaczęła układać plan.*

– Lydia?

Drgnęła i odwróciła się na krześle. W drzwiach stała mama.

– Nie chciałam cię wystraszyć. Czego słuchasz? To piękne.

– O... trafiłam przypadkiem w sieci.

– Ładne. – Mama odwróciła się.

– Hej, mammo.

Lydia z przerażeniem uświadomiła sobie, że ją woła.

– Pracuję nad... postem na blog. Czy kiedykolwiek miałaś przyjaciela, co do którego zawsze byłaś przekonana, że jest tylko przyjacielem, i nagle zaczęłaś czuć do niego coś więcej?

Mama wróciła do pokoju, odstawiła kosz z praniem, oparła się o drzwi i skrzyżowała ramiona na piersi, uśmiechając się podstępnie.

– A i owszem. Miałam podobne doświadczenie.

– Co się stało?

– Któregoś wieczoru siedzieliśmy w ogródku takiej burgerowni niedaleko uczelni, jedliśmy lody i nagle blask księżyca oświetlił jego twarz w idealny sposób i okazało się, że ten chłopak jest najpiękniejszy na całym świecie. I od tej pory właśnie tak go widziałam.

– Kto to był?

– Denton Blankenship.

– O-o. No tak. Inaczej sytuacja mogłaby być raczej kłopotliwa.

– Właśnie. – Mama podniosła kosz i wyszła.

Kiedy tylko znalazła się w odpowiedniej odległości, Lydia jeszcze raz obejrzała nagrania Dilla.

– Nie, nie wystąpię w szkolnym konkursie talentów. Coś brałaś?

– Wysłuchaj mnie – prosiła Lydia.

– Konkursy talentów są głupie.

– Owszem. Ale posłuchaj.

– Zaraz zacznie się lekcja. – Dill podniósł się ze zderzaka samochodu Lydii. Pochuchał w dłonie, potarł je. – Poza tym jest zimno.

– Stop. Posłuchaj. Wyobrażasz sobie najcudowniejsze uczucie pod słońcem? Najlepszy środkowy palec, jaki mógłbyś pokazać ludziom, którzy z całych sił starają się utrudnić ci życie? Stanąc przed nimi i zaśpiewać. To byłoby genialne, ponieważ jesteś świetny. A jeśli wygrasz? Pięćdziesiąt dolców. To jak milion w skali Dilla.

– Niby dlaczego miałbym to zrobić? – Dill znów usiadł.

– Nie licząc powodów, które właśnie podałam? Ponieważ człowiek powinien robić rzeczy, których się boi. Za każdym razem stają się łatwiejsze. – *A jeśli zdołam cię do tego namówić, może zdołam też namówić cię do innych rzeczy, jak na przykład: wyjechać z tego miasta i pójść na studia.*

Może trzeba po prostu raz rozbić twoją strefę bezpieczeństwa.

– Nie chcę zrobić z siebie pośmiewiska.

Czas na asa z rękawa.

– Nawet jeśli będą się śmieli, to tak się składa, że wiem – tak ogólnie wcale nie jesteś potencjalnym obiektem śmiechu. A oto dowód. – Lydia otworzyła swój laptop, odnalazła jedno z nagrań Dilla. Liczba obejrzeń wynosiła dziewięć tysięcy dwieście dwadzieścia siedem, a komentarzy czterdzieści dziewięć. Wszystkie pozytywne.

Ciary.

Ten utwór jest niesamowity.

Wspaniałe, dzięki. I tak dalej.

Dilla zamurowało.

– Jak... Przecież dopiero co je zamieściłaś? Wczoraj?

Lydia zamknęła laptop i lekko pacnęła Dilla w głowę.

– Wczoraj umieściłam je na Twitterze. Nie napisałam, że jesteś moim przyjacielem. Nie chcę być posądzona o nepotyzm. Dlatego nie podpisałam filmików twoim nazwiskiem. Nazwałam cię Dearly. Rozumiesz? D. Early?

– Ludziom naprawdę się podoba.

– Zrób to dla mnie – powiedziała Lydia. – Za te wszystkie razy, kiedy cię broniłam.

Rozległ się dzwonek. Już byli spóźnieni.

– Nigdy nie występowałem przed publicznością, nie licząc pieśni kościelnych. A mowa o szkolnym konkursie talentów, sześciuset widzów, z których większość mnie nienawidzi.

– Mnóstwo razy występowałeś przed jadowitymi bestiami. Poczujesz się jak w domu.

23

Dill

Przygotowania do konkursu pozwoliły mu skupić się na konkretnym zadaniu i nie myśleć o zbliżającym się wyjeździe Lydii. Oraz o wizycie u ojca. Ale i tak w ciągu tego miesiąca między dniem, kiedy obiecał Lydii, że wystąpi, a dniem konkursu miał aż za dużo czasu, żeby panikować. Za każdym razem, kiedy zaczynał marudzić, Lydia wyciągała telefon czy laptop i pokazywała mu stale rosnącą liczbę obejrzeń, komentarzy i lajków, które dostawał „Dearly”. Kupiła mu zestaw zapasowych strun. Nazwała je wczesniejszym prezentem gwiazdkowym.

Ale nagle, na kilka dni przed występem, Dill przestał się denerwować, a zamiast tego zaczął odczuwać podekscytowanie. Myślał o pięćdziesięciu dolarach, jak bardzo by się przydały. Zamierzał wydać je na Lydię. Zaprosić ją do restauracji. Coś jej kupić. Wszystko, byle nie wrzucić tych pieniędzy do czarnej dziury długów rodziny Earlych.

Dzień konkursu zbliżał się powoli, lecz nieuchronnie.

Tego ranka dręczyły go mdłości. Nie mógł zjeść śniadania. Przez całą drogę do szkoły milczał, Lydia zresztą też. Nie mógł się skupić na lekcjach. Konkurs rozpoczął się po długiej przerwie. Cały roztrzęsiony, ruszył na salę z gitarą w ręku. Lydia i Travis kroczyli u jego boku – czuł się jak gladiator przed walką na śmierć i życie.

– Hej – powiedziała Lydia. – Oddychaj. Będziesz świetny. Pamiętaj: masz fanów i masz przyjaciół. Nikt nie może ci nic zrobić ani niczego ci odebrać.

– Dlaczego dałem ci się namówić?

– Ponieważ jestem wspaniała i ty też jesteś wspaniały, w dodatku zaraz zrobisz coś bardzo odważnego.

– Fajnie, że się zdecydowałeś – wtrącił Travis. – Wczoraj jeszcze raz

obejrzałem twoje nagrania, są naprawdę świetne.

Dill nic nie powiedział, tylko kiwnął głową i zacisnął dłonie na oparciach krzesła. Wszystkie nerwy w jego ciele szumiały. Przeżył przemowę wstępną trzech sędziów (na szczęście sami nauczyciele, nie uczniowie) i nieskończony korowód, na który składały się śpiewy z playbacku, układy taneczne, słabe skecze, naśladowanie głosów kaczek i indyków i koszarne karaoke. Wreszcie nadeszła jego kolej.

Dyrektor Lawrence podszedł do mikrofonu z kartką w ręku.

– A teraz wystąpi – tu zerknął na listę – Dillard Early.

Wśród tłumu przeszedł pomruk. Tłumione chichoty. Szepty. Szuranie nogami. Niektórzy wyjęli z kieszeni telefony komórkowe, by nagrać przedstawienie.

Dill z drżeniem wciągnął powietrze.

– Moja kolej.

Lydia chwyciła go za ramię, przyciągnęła do siebie i zbliżyła wargi do jego ucha.

– Dill, patrz tylko na nas. Nigdzie indziej. Jesteśmy z tobą.

Nigdy dotąd nie zbliżyła się do niego w taki sposób. Jej oddech na policzku przypominał pieszczotę. Przez ciało Dilla przebiegł prąd. Na moment udało mu się zapomnieć o strachu.

Ale strach powrócił, gdy Dill ruszył w stronę sceny. Niechcący uderzył pokrowcem z gitarą o krzesło. *Błonggg*. Tłum zachichotał.

– Przepraszam – mruknął Dill, nie wiadomo do kogo.

Proszę, Boże. Wysłuchaj mnie w tej godzinie. Proszę, nie opuszczaj mnie. Ostrożnie wszedł po stopniach na scenę i przeszedł na środek – odległość wynosiła chyba co najmniej z pół mili – gdzie stały dwa mikrofony.

Wyjął z pokrowca gitarę, obitą i podrapaną. Zarzucił pasek na szyję i pokonał kilka ostatnich kroków dzielących go od dyrektora. Wciąż ze spuszczoną głową. Światła go oślepiały.

Dyrektor pokazał mu, by zajął miejsce, i odsunął się. Dill podszedł do mikrofonów. Ustawił jeden odpowiednio do swojego wzrostu, a drugi do gitary. Zapiszczało. Śmiechy.

– Au – powiedział ktoś głośno.

Dudniło mu w głowie. Na brzegu pola widzenia pokazały się czarnoczerwone plamy. Dill wstrzymał oddech. Serce trzepotało się w jego piersi. *Czy oni to słyszą? Czy mikrofon wyłapuje takie dźwięki? Proszę, Boże. Bądź*

teraz przy mnie. Zamknął oczy. Serce waliło w uszach.

Ktoś udał kaszel.

– Dildo!

Chichoty. Kolejna osoba udała kaszel.

– Dildo!

I kolejna porcja chichotów. Rozległy się wściekłe posykiwania nauczycieli oraz Lydii i Tralisa. Dill poczuł, że opuszczają go resztki odwagi.

Dyrektor Lawrence odsunął Dilla i przemówił do mikrofonu:

– Jeśli jeszcze raz usłyszę coś takiego, odwołujemy konkurs, a w ramach zadania domowego wszyscy będą musieli napisać dziesięciostronicowe wypracowanie na temat dobrych manier, rozumiano? Proszę, panie Early.

Dill ponownie zajął miejsce przy mikrofonie.

– Oto utwór, który napisałem. – Głos rozległ się echem w sali. Brzmiał zbyt głośno. Dill go nie poznawał. Czekał na kolejne śmiechy. Na kolejny okrzyk „Dildo”. Ale panowała cisza, co chyba było jeszcze gorsze.

Nie mógł sobie przypomnieć, jak się gra na gitarze. Nie pamiętał, gdzie należy kłaść palce. Nie pamiętał słów piosenki.

Podniósł wzrok i spojrzał prosto na Lydię. Jej oczy wypełniało... co? Coś nowego, czego nigdy dotąd w nich nie widział. Nie potrafił tego nazwać, ale dodawało mu to sił. Starło czarno-czerwone plamy z obrzeży pola widzenia i zmieniło wzdrgliwy tłum w mgłę bez twarzy. Sprawilo, że jego serce zaczęło bić w innym rytmie.

Przez krótką chwilę znów stoi na froncie zespołu w kościele. Ma swoją gitarę, grają i grają, a wierni zaczynają podawać sobie jadowite węże. Ojciec podchodzi do niego z mokasynem w rękach. Dill przerywa granie. Ojciec uśmiecha się i delikatnie podaje mu węża. Dill wyciąga ręce, przyjmuje go. Wąż jest zimny, suchy i gładki. Pulsuje w dłoniach. Wiara Dilla jest silna. Kiełzna szczęki węża, który nic nie może mu zrobić. Dill patrzy prosto w jego ślepie.

Odetchnął i zaczął grać. Śpiewał tak, jakby zstąpił w niego Duch Święty z ogniem oczyszczającym. Słyszał własny głos i dźwięki gitary rozbrzmiewające w sali. Otworzył oczy tylko raz podczas całego występu – by upewnić się, czy Lydia wciąż na niego patrzy. Patrzyła, a to coś w jej oczach nawet przybrało na sile. Świat wokół niego roztopił się i znikł.

Skończył, wybrzmiały ostatnie nuty, a potem zapadła cisza. Publiczność nagrodziła go słabymi oklaskami, a Lydia i Travis – owacjami na stojąco. *Zapewne nie jest to reakcja, jaka zwykle spotyka zwycięzcę, ale przynajmniej nikt nie rzuca wyzwisk. A poza tym to koniec.* Schował gitarę do futerału i zszedł ze sceny, nadal oszołomiony, ledwo słysząc głos dyrektora, który znów podszedł do mikrofonu.

– Właśnie usłyszeliśmy bardzo ładną piosenkę w wykonaniu Dillarda. Dziękujemy, Dillardzie. Następnym w kolejności...

Dill opadł na krzesło. Travis promieniał, mało brakowało, a zaczęłby skakać.

– To było genialne! Jesteś jak profesjonalny muzyk! – wyszeptał, mocno ściskając rękę Dillarda.

Lydia chwyciła go za ramię i przysunęła się bliżej. Prawdopodobnie bliżej niż to konieczne.

– Byłeś wspaniały – wyszeptała, muskając wargami jego ucho. – Wiedziałam, że ci się uda. Zapamiętaj to uczucie.

Dill pławił się w poczuciu ulgi, jakby pływał w ciepłym jeziorze pod gwiazdami. Słuchał z zamkniętymi oczami, jak pięciu graczy w futbol śpiewa z playbacku utwór rapowy, a potem dostaje ogłuszające oklaski. *Dziękuję, Boże. Nie zawsze dajesz mi to, czego potrzebuję i czego pragnę, ale za to, co dałeś mi przed chwilą, jestem ci wdzięczny.*

Konkurs dobiegł końca i dyrektor Lawrence znów wszedł na scenę. W rękę trzymał trzy koperty.

– No dobrze, mamy wyniki konkursu. Trzecie miejsce, za wersję karaoke piosenki Taylor Swift, przyznaliśmy Lauren Ramsey. Gratulacje, Lauren. Wygrywasz kupon na dwudziestopięcioprocentową zniżkę w solarium Tropical Glo. – Lauren, cheerleaderka, przyjęła nagrodę, cała rozpromieniona, przy wtórze gwizdów i oklasków.

– Dobrze, drugie miejsce, za wybitne naśladowanie głosów kaczki i indyka, otrzymuje Austin Parham. Austin wygrywa dziesięciodolarowy kupon prezentowy do restauracji Applebee's. – Austin, koszykarz, przyjął nagrodę, ponownie przy entuzjastycznej reakcji publiczności.

To prawdziwa zenada, przegrać z gościem, który naśladuje kaczki i indyki. Niech to się wreszcie skończy.

– A teraz zdobywca głównej nagrody w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Chciałbym przypomnieć wszystkim, że członkowie jury brali pod uwagę wiele

czynników, w tym oryginalność i kreatywność. Chciałbym również przypomnieć, że należy zachować się z szacunkiem, nawet jeśli ocena sędziów różni się od czyichś oczekiwań. A teraz... zwycięzcą głównej nagrody ogłaszam... werble proszę...

Żołądek Dilla wykonał fikołka. Nagle przestało do niego docierać, co się dzieje. Wiedział, że usłyszał własne nazwisko. Wiedział, że siedzi jak sparaliżowany, a Lydia i Travis zrywają się z miejsc, pohukują z radości, wyciągają go i pchają w stronę sceny. Jak przez mgłę zarejestrował letnie oklaski i pomruki. Znów stał na scenie, przyjmując kopertę i uścisk dłoni dyrektora Lawrence'a. A potem siedział obok Lydii i Travisa, ściskając kopertę w dłoni.

Wszyscy zaczęli wychodzić. Travis ciągle buzował podekscytowaniem.

– Stary – powiedział, dostojnie krocząc obok Dilla – kupiłbym wszystkie twoje płyty. Gdybyś nagrał płyty.

Dill wyszczerzył się szeroko.

– Ty przecież nie lubisz muzyki.

– Twoja jest inna.

– Hej, Dill. – To była Alexis Robbins. Ładna i popularna. Nigdy nie odzywała się do nikogo z ich trójki, ale też nie była niemą. Po prostu istnieli w oddzielnych światach. – Gratulacje – powiedziała. – Nie wiedziałam, że tworzysz muzykę.

Dill poczerwieniał.

– O... dzięki. No. Tak. Dzięki.

– Dobra robota. Pa.

Lydia dała Dillovi kuksańca w zębra.

– Proszę, proszę. Dziewczyny uwielbiają muzyków. – Dill zaśmiał się i odsunął. – Mówię poważnie, Dill. To było seksowne. Talent jest seksy. Odwaga jest seksy.

Dill już myślał, że jego triumf osiągnął szczyty, ale słowa Lydii uświadomiły mu, że może on jeszcze pociągnąć za sobą całkiem niewiadome skutki.

Nie było mu jednak dane za długo nad tym rozmyślać.

– Dill! – W ich stronę zmierzał szybkim krokiem Hippię Joe, który był doradcą szkolnym. Tak naprawdę nazywał się Joseph Bryant, ale wszyscy tak nazywali go za plecami. Miał ponad pięćdziesiąt lat, krzaczaste wąsy, kudłate siwe włosy i nosił okrągłe okulary w drucianych oprawkach. Lubił śmieszne

krawaty, conversy, bojówki i koszule na guziki. – To było fantastyczne! Nigdy nie widziałem takiego występu w wykonaniu ucznia! Masz w sobie ducha Boba Dylana i Neila Younga! To znaczy, obaj nadal żyją, ale sam wiesz, co chcę powiedzieć. Świetna robota! Myślę, że przed tobą świetlana przyszłość!

– Dziękuję, proszę pana.

– Daj znać, kiedy będziesz grał gdzieś koncert. Chętnie wpadnę.

– Dobrze. Dziękuję.

W milczeniu wyszli na parking.

– Proponuję coś zjeść. Bardzo chciałabym kupić Dillowowi późny lunch łamane przez wczesny obiad, bo jeszcze nic dziś nie jadł – powiedziała Lydia.

– Jestem za – odparł Travis. – I dorzucam się.

Przez całą drogę Lydia promieniała, jakby kryła jakąś wielką tajemnicę. Wyglądała na równie radosną, jak Dill. Nie mógł zatrzymać nóg, które podskakiwały co chwila. Zaglądał do koperty i podziwiał nowiutki banknot pięćdziesięciodolarowy. Czuł się jak wyrzeźbiony z jakiegoś pięknego i niezniszczalnego materiału. Światła. Powietrza. Zastanawiał się, jak długo będzie wznosić się na tej fali, zanim rozbije się o brzeg.

Mniej niż tydzień, jak się okazało.

– Zmieniłem zdanie – oznajmił Dill. – Zadzwonię do doktora Blankenshipa i powiem, że nie jadę.

Matka miała na sobie uniform sprzątaczkki i szykowała się do wyjścia. Stali w salonie.

– Mowy nie ma. Pojedziesz. Zbliżają się Święta, ojciec oczekuje twojej wizyty. Ostatnio byłeś u niego pod koniec lata.

– Nienawidzę tam chodzić.

– To twój ojciec. Pojedziesz.

– Za każdym razem zachowuje się coraz dziwniej. Nie mogę na to patrzeć. Nie jadę.

Matka podeszła bliżej. Jej oczy groźnie się zwęziły.

– Nie możesz na to patrzeć? A może zasłużyłeś, może powinieneś czuć się nieswojo, widząc, do czego go doprowadziłeś.

Matka nieraz to sugerowała. Nigdy jednak aż do tej chwili nie powiedziała tego otwarcie.

Dill z trudem odnajdował słowa.

– Co masz na myśli, mówiąc, że ja do tego doprowadziłem? Co ty

opowiadasz?

– Mówię, że prawnik twojego ojca starał się ze wszystkich sił, by każdy policjant i każdy agent stanowy przyznał, że na tych materiałach są bardzo młode dziewczęta. Wszyscy wiedzieli też, że twój ojciec ma nastoletniego syna. Wszyscy przyznali, że nie wiedzą, czy miałeś dostęp do komputera. Wszyscy przyznali, że to mogłeś być ty. Wszyscy przyznali, że nie da się stwierdzić, kto ściągnął te zdjęcia. A ty zeznałeś przeciwko ojcu.

Dill zrobił kilka kroków w miejscu. Odparł podniesionym głosem:

– Władze stanowe wezwały mnie, bym zeznawał. Co miałem zrobić? Odmówić? Sędzia wsadziłby mnie do więzienia.

Matka wymierzyła palcem w jego twarz.

– Mogłeś zeznać, że to były twoje zdjęcia. Prokurator okręgowy nie wniósłby oskarżenia przeciwko nieletniemu. Gdybyś postąpił inaczej, twój ojciec byłby teraz wolnym człowiekiem.

Dill zaniemówił. Serce bolało, jakby ktoś wbił w nie śrubokręt.

– Miałem kłamać? Przysięgałem mówić prawdę. Przysięgałem na Biblię, że będę mówić prawdę. Powiedziałem tylko, że zdjęcia nie są moje. Nie powiedziałem, że należą do taty. Nie zeznawałem przeciwko niemu. Zeznawałem we własnej obronie.

– Nie powiedziałam, że miałeś kłamać – odparła matka cicho, odwracając wzrok.

Dill chwycił ją za ramię i zwrócił w swoją stronę.

– Co masz na myśli? – wyszeptał. – Co chcesz przez to powiedzieć? Uważasz, że mogłem szczerze zeznać, że to chore gówno należało do mnie? Uważasz, że...

Chlasnęła go po twarzy.

– Nie przeklinaj w tym domu.

Miał wrażenie, że ktoś przypalił mu twarz w miejscu, gdzie trafiła jej ręka. *Nie pozwól, by widziała, jak płaczesz. Nie pozwól.*

– Tak uważałaś przez cały czas? Że to ja ściągnąłem ten syf, że kłamałem, pozwoliłem, by to tata poniósł karę? Takie masz zdanie na mój temat? – *Nie płacz.*

Jej oczy płonęły, wściekłe i oskarżycielskie.

– Uważam, że wszyscy jesteśmy grzesznikami. W przeciwnym przypadku nie potrzebowalibyśmy Jezusa. Ale węże nie kłamią. Gdyby twój ojciec nie miał w sobie czystej duszy, nie siedziałby teraz w więzieniu, byłby martwy.

Węże dawno temu by go zabiły. Albo trucizna. Ty jednak nigdy nie zdałeś tego testu. Nigdy nie wzięłeś węża do rąk. Pytasz więc, którego z was dwóch według mnie usidlił Lucifer? Bóg udzielił odpowiedzi. Nie muszę zgadywać.

Dill nie mógł oddychać. Mdlilo go i ścisnęło w żołądku.

– A co powiesz na temat Kylie Williams? – wykrzyknął. – Zeznała, że któregoś wieczoru po nabożeństwie tata wziął ją na stronę i próbował rozmawiać z nią o seksie. Ona też kłamała? Miała wtedy *jedenaste lat*. Jej rodzina wyprowadziła się z tego powodu. Jej brat był moim przyjacielem.

– Nauczanie jednej z owieczek o współżyciu, nim wpakuje się w kłopoty, nie jest żadną zbrodnią i dlatego nigdy nie wniesiono przeciw twemu ojcu oskarżenia w związku z tą sprawą. Oboje dobrze wiemy, że Kylie była lekkomyślna. Potrzebowała przewodnika, w przeciwnym wypadku zapewne zaszłaby w ciążę jeszcze w liceum, jak...

– Jak kto?

Matka odwróciła się do wyjścia.

– Pomogłeś wsadzić własnego ojca do więzienia. Gdyby nie ty, byłby teraz z nami. Gdyby nie ty, nie musiałabym go odwiedzać w więzieniu, nie przydarzyłby mi się wypadek samochodowy, nie cierpiałabym teraz z powodu nieustannego bólu pleców i karku. A ty masz jeszcze czelność mówić, że chcesz wyjechać na studia i zostawić mnie samą z bałaganem, którego narobiłeś. Uznaję dyskusję na ten temat za skończoną. Odwiedzisz ojca. Dasz mu pociechę za to, co zrobiłeś. Jesteś to winien jemu i mnie. Masz własne długi do spłacenia.

– Ta historia zniszczyła moje życie. Nawet to, że musiałem się tłumaczyć, że zdjęcia nie należały do mnie. W oczach ludzi wyglądam na winnego. I muszę z tym żyć. Nikt nie pozwoli mi o tym zapomnieć.

Matka rzuciła mu miazdzące spojrzenie. Ponure i nieruchome.

– Ciągłe zapominasz, że życie doczesne nic nie znaczy. Liczy się tylko przyszłe. Chciałabym, żebyś o tym pamiętał. – A potem wyszła.

Dill ciężko usiadł na kanapie i przeciągnął palcami po włosach. Zbierało mu się na wymioty. Długo powstrzymywane łzy wybuchły, pociekły strumieniami po twarzy. Krzyknął. Poczł ulgę. Krzyknął jeszcze raz. Walnął pięścią w kanapę. I jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. Chwycił lampę stojącą na stole i zamierzył się, by cisnąć nią o ścianę, ale powstrzymała go świadomość, że w zimowe wieczory pisze przy niej piosenki. Postawił ją na stole, położył się na podłodze w pozycji embrionalnej i płakał, ze smrodem zatęchłego

dywanu w nozdrzach.

Na szczęście doktor Blankenship okazał się równie niepunktualny jak jego córka, dzięki czemu Dill zyskał dobre dwadzieścia minut, by się pozbierać i umyć twarz. Opuchlizna i zaczerwienienie oczu prawie zdążyły zniknąć. Nie robił może szczególnie świetnego wrażenia, lecz jego wygląd sugerował raczej „nie spałem za dobrze” niż „właśnie straszliwie pokłóciłem się z matką, która oskarżyła mnie, że jestem dewiantem seksualnym i wsadziłem własnego ojca do więzienia”.

Doktor Blankenship przyjechał toyotą prius, następczynią tej, którą dał Lydii. Dill wsiadł. Z głośników leciały gwiazdkowe przeboje.

– Dziękuję, proszę pana. Jeżeli to jakikolwiek kłopot, to nic się nie stanie, jeśli nie pojedziemy.

– Proszę, mów mi po imieniu. Jestem Denny. Chociaż mówiłem to już setki razy, a ty dalej nie słuchasz. Żaden kłopot, absolutnie.

– Ale proszę śmiało mówić. Nawet jeśli bardzo, bardzo mały.

– Ani trochę.

Nic nie zrozumiał.

Bezlistne gałęzie drzew rosnących wokół więzienia wyglądały jak szkielety na tle grudniowego nieba o barwie żelaza. Równie jałowe i bez życia jak wewnątrz Dilla.

Doktor Blankenship wysadził go pod bramą, przykazując, by zadzwonił, kiedy skończy. Do środka. Przez kontrolę bezpieczeństwa. Do pokoju odwiedzin. Czekać.

Próbował zmusić się do uśmiechu na widok ojca.

– Cześć, tato. Wesołych Świąt.

– Wzajemnie. – Ojciec Dilla miał kilka nowych tatuaży. Wokół jego przedramion wiły się węże, z łbami umieszczonymi na dłoniach. Otaczały kilka śladów po ugryzieniach. Znak wiary nie polegał na tym, że wąż nigdy nie kąsał – znakiem było to, że, ofiara, choćby potem bardzo ciężko chorowała, to jednak uniknęła śmierci.

– Masz nowe tatuaze. – *Dopóki będziesz je robił, przynajmniej nie będzie problemu z zagajaniem rozmowy.*

Ojciec Dilla prędko otwierał i zaciskał obie dłonie, każdy palec po kolei, aż węże zaczęły poruszać się i wić.

– Eklezjastes powiada, że nie ma nic nowego pod słońcem.

– Tak. Nieważne. Mama wpłaciła trochę pieniędzy na twoje konto zamiast kupić ci prezent gwiazdkowy. Uznała, że w ten sposób kupisz sobie w kantynie to, co sam będziesz chciał. – *Ale nie moje pięćdziesiąt dolarów. Moje pięćdziesiąt dolarów jest bezpieczne.*

– Pracujesz ciężko, pomagasz mamie spłacić nasze długi?

– Aha. – *U mnie wszystko w porządku, dzięki, że pytasz. Uwielbiam te wizyty.*

– To dobrze.

Przy każdych kolejnych odwiedzinach ojciec wydawał się coraz bardziej daleki. Ale może ta obcość miała swoją dobrą stronę. Może ojciec się zmienił, różnił się teraz od matki. Może więzienie dało mu nową perspektywę. Dill postanowił spróbować.

– A propos spłaty długów. Mam pewien pomysł. Gdybym tak poszedł na studia, mógłbym potem dostać lepszą pracę i szybciej spłacić twoje długi.

Ojciec popatrzył na niego z zimnym sceptycyzmem.

– Na studia? Uważasz, że to tam poznasz prawdziwe nauczanie?

– Nie, ale nauczę się tego, co potrzebne, żeby dostać dobrą pracę.

Ojciec przysunął twarz do twarzy Dilla.

– Na studiach nauczysz się, że Bóg umarł. Ale Bóg nie umarł. On żyje i objawia się tym, których wiara również jest żywotna.

– Nie uwierzyłbym, że Bóg umarł.

Ojciec zaśmiał się krótko.

– Twoja wiara jest słaba. Twoja wiara zawiodła cię w godzinie, kiedy miałeś wziąć do rąk jadowitego węża. Zachowałeś się jak Piotr, który próbował chodzić po wodach Jeziora Galilejskiego, ale zaczął tonąć. Potrzebujesz przewodnika i nauczania, lecz nie tego rodzaju, jakie daje studiowanie.

– Mam wiarę.

– Jakie znaki tego dowodzą?

– Wystąpiłem w szkolnym konkursie talentów. Do tego trzeba wiary.

Ojciec odchylił się na oparcie, a na jego twarzy pojawił się nieznaczny wyraz zadowolenia.

– Tak? Czy poprzez śpiew nauczałeś o Ewangelii?

– Nie.

Wyraz zadowolenia znikł.

– O czym śpiewałeś?

– O miłości.

– Och. O miłości – powtórzył ojciec drwiąco. – Czy naraziłeś się na ryzyko śmierci w imię Jezusa na tym konkursie?

– Nie.

– A na jakie?

– Ośmieszenie. Upokorzenie.

– Prawdziwy chrześcijanin ponosi takie ryzyko każdego dnia. Jesteśmy głupcami dla Chrystusa. Ty jednak ryzykowałeś wyłącznie swoją dumę. Mam w zborze więźniów, których wiara jest silniejsza niż wiara mojego własnego syna. Złodziei. Morderców. Gwałcicieli. Nosisz moje nazwisko. Ale nie moją wiarę.

Dill czuł narastającą wściekłość.

– Jeśli moja wiara jest słaba, to być może przez ciebie. Ciągłe gadasz o wierze. A gdzie ona była, kiedy nie umiałeś oprzeć się pokusie?

Ojciec pochylił się i wysyczał:

– Twoja wiara była słaba, nawet zanim dzieło Szatana zniszczyło nasz zbór znaków.

– Dzieło Szatana? Dlaczego nie powiedziałeś tego sędziom? Dlaczego nie powiedziałeś, że to Szatan wpadł do nas przez komin i ściągnął na komputer porno dziecięce? Jak mogłeś im powiedzieć, że to była moja wina?

Ojciec rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Z Szatana się nie żartuje. Szatan nie ma ciała. Działa na naszych słabych ciałach.

Dill wymierzył w ojca palcem i powiedział drżącym głosem:

– Na twoim słabym ciele. *Twoim*. Nie moim. Obaj o tym wiemy. I Bóg też o tym wie.

Ojciec powoli wypuścił powietrze, jakby czekał, aż opadnie fala gniewu.

Powiedział spokojnym tonem:

– Czy nie widzisz, że to ręka Boga zawiodła mnie tutaj, bym nauczał pośród uwięzionych?

– Nie. Nie widzę. Widzę człowieka, który wmówił mojej matce, że to przeze mnie jej mąż siedzi w więzieniu. Człowieka, który próbował ratować skórę, niszcząc reputację własnego syna. Człowieka, który ma się chyba całkiem dobrze, podczas gdy mama i ja harujemy jak woły, by spłacić *twoje* długi.

Oczy ojca pociemniały.

– Uważaj, co mówisz. *Nasze* długi. Czy nie jadłeś przy naszym stole? Nie mieszkałeś pod naszym dachem?

– *Twoje* długi. A teraz płacę za *twoje* grzechy, patrząc, jak świat idzie do przodu beze mnie. Przez ciebie nie mogę iść na studia, tak jak moi znajomi.

Ojciec wymierzył w Dilla palcem, jego twarz zmieniła się w maskę pogardy, a głos, groźnie cichy i drżący, ociekał żółcią.

– Nie jesteś moim zbawcą. Nie rób z siebie Chrystusa. Chrystus mnie wyzwolił. Ty zrobiłeś ze mnie więźnia.

Nagle ojciec walnął ręką w stół – ostry dźwięk przerwał ciszę, Dill aż podskoczył, a strażnicy czujnie się spięli – i wstał.

– Żegnaj, Junior. Przekaż matce, że ją kocham. – Dał znak strażnikom. – Ja skończyłem.

I wyszedł, nawet się nie oglądając.

Dill myślał – błędnie, jak się okazało – że poranna wymiana słów z matką w jakiś sposób uodporniła go na kolejną porcję bólu. Usiadł na parkingu, chowając głowę w rękach, szary w środku jak niebo. Po chwili zjawił się doktor Blankenship.

– Hej, Dill – zawołał z radosnym uśmiechem. – Chcesz świąteczną czekoladkę?

Dill zmusił się, by również się uśmiechnąć.

– Nie, dziękuję.

Zapadła cisza. Po chwili Dill powiedział:

– Przepraszam, że się nie odzywam, proszę pana. Nie chciałem być nieuprzejmy.

– Rozumiem. Nie przejmuj się.

Zostawiali za sobą kolejne mile, słuchając składanki gwiazdkowej na iPodzie doktora Blankenshipa.

Dill z całych sił próbował zachować kontrolę. Wydawało mu się, że ma ograniczone zapasy łez, które na ten dzień już się wyczerpały. Tu też się mylił. Czuł, jak wzbiera w nim fala, dłużej nie mógł jej powstrzymać.

– A więc... em. – Czuł, że zaraz się rozsypie. Przełykał łzy, aż gardło rozboleło go tak jak po połknięciu szklanki lodowatej wody. – Między mną i tatą nienajlepiej się układa. – I całkiem się załamał. Czuł się nagi i zawstydzony. Adam w Edenie. Ale nie mógł nad sobą zapanować.

Doktor Blankenship zerknął na niego, ściągając brwi.

– Hej – powiedział łagodnie. – Hej. – Zjechał na pobocze.

Dill siedział z głową opartą o szybę, łkanie wstrząsało jego drżącym ciałem.

– Hej. – Doktor Blankenship położył rękę na ramieniu Dilla. – W porządku. W porządku.

I nagle, nie wiadomo jak i dlaczego (przynajmniej on tego nie wiedział), Dill oparł się o ramię doktora – i płakał dalej. Doktor Blankenship przytulił go mocno. Pachniał ciepłym kaszmiem, szafwią i pościelą wyjętą z suszarki. Dill wziął się w garść najszybciej, jak tylko zdołał, co jednak zajęło kilka minut.

Z drzeniem wziął wdech. Czuł się beznadziejnie.

– Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Przeze mnie później wróci pan do domu. Pewnie nie tego się pan spodziewał, proponując, że mnie podwiezie.

Doktor Blankenship odnalazł paczkę chusteczek i odparł:

– Właściwie dokładnie tego się spodziewałem i dlatego zaproponowałem, że cię podwiezę. Chcesz o tym porozmawiać?

Dill otarł oczy pięściami i przyjął chusteczkę.

– Nie za bardzo.

– Okej.

Ale potem jednak powiedział:

– Mama i tata uważają, że tata trafił do więzienia przeze mnie, bo nie chciałem skłamać w sądzie. A ponieważ siedzi w więzieniu, mamy długi. Tata uważa, że moja wiara i tak jest zbyt słaba, bym zdołał czegokolwiek dokonać. Czuję się jak w pułapce. Mam wrażenie, że Bóg mnie karze.

Doktor Blankenship westchnął.

– Po kolei. Po pierwsze, przykro mi, ale sytuacja, w której znalazł się twój tata, nie jest w najmniejszym stopniu twoją winą. Śledziłem proces. Rozumiem, dlaczego musiałeś zeznawać. Sąd uwierzył tobie, a jemu nie. Koniec historii. Ty nic nie zawiniłeś. Tylko on. A jeśli próbuje zwalić winę na ciebie, chrzań go.

Dill schował twarz w dłoniach.

Doktor Blankenship potarł kciukiem kierownicę. Miał nieswoją minę.

– Przepraszam. Nie chciałem powiedzieć nic grubiańskiego o twoim tacie.

– Nie szkodzi.

– Wściekam się, kiedy ludzie mówią takie rzeczy dzieciakom, przed którymi całe życie. Pozbawiają ich pewności siebie. Twoja wiara jest wystarczająco silna, byś dokonał wszystkiego, co sobie wymarzysz. Myślisz, że Bóg nie

pragnie dla ciebie tylko szczęścia? Na pewno pragnie. I nie pozwól sobie wmówić, że jest inaczej. Twój tata nie ma licencji na łamanie twojego ducha tylko z tej racji, że jest twoim tatą.

Dill wytarł nos. Kolejny drżący oddech.

– Proszę, niech pan nie mówi Lydii o... o tym.

Doktor Blankenship poklepał go po ramieniu.

– Jeśli dobrze znam moją córkę, nigdy w życiu nie użyłaby tego przeciw tobie. Przytuliłaby cię mocno, tak jak ja przed chwilą.

– Tak. – Dill urwał. – Jest coś jeszcze. Będę za nią bardzo tęsknił. Bardzo. To kolejna beznadziejna rzecz do kompletu. – Ścisnęło go w gardle.

Oczy doktora Blankenshipa wypełniły się łzami.

– O, stary. Zobacz, co narobiłeś. Dobrze wiem, co czujesz – powiedział drżącym głosem. – Ja też będę za nią tęsknił. Obaj mamy do tyłu.

Dill podał mu chusteczkę.

– Proszę się nie martwić, nic jej nie powiem o... o tym.

Doktor Blankenship otarł oczy.

– Najzabawniejsze, że Lydia nie wyśmiałaby żadnego z nas osobno za to, że ryczymy. Ale ponieważ siedzimy obok siebie na skraju drogi i ryczymy jednocześnie? W dodatku z jej powodu? O, nie byłoby litości.

– To nie może wyjść poza ten samochód – powiedział Dill.

– O nie.

Przez chwilę milczeli, próbując zebrać się do kupy.

– Oficjalnie ogłaszam zebranie Klubu Fanów Lydii za zakończone – powiedział doktor Blankenship. – Ruszajmy. Na tylnym siedzeniu leży torebka z czekoladkami. Chyba będą nam potrzebne w naszym szczególnie kruchym stanie emocjonalnym.

– Nie straci pan licencji zawodowej, namawiając mnie do jedzenia słodyczy?

– To będzie nasz kolejny sekret.

Jechali w zimowym zmierzchu. Tu i tam domy na poboczu lśniły pstrokacizną świątecznych światełek. Dill pograżył się w myślach. Czuł się przy tym tak, jakby owinał się mokrym wełnianym kocem. *Widziałeś tatę? Widziałeś, w co on się zmienia? Lepiej zacznij bardziej świadomie i częściej korzystać z własnych zasobów zdrowia, fizycznego i psychicznego. Obłęd czyha na mężczyzn z rodziny Earlych. Nigdy nie opuszczaj gardy. Nigdy nie trać czujności. Nie jesteś bezpieczny. Zatruje cię twoja własna krew.*

Dill dostrzegł w przelocie billboard przedstawiający ojca i syna. I zanim jego zbyt zajęty umysł zdążył powstrzymać słowa, powiedział:

– Szkoda, że to nie pan jest moim ojcem.

Doktor Blankenship po chwili milczenia zerknął na Dilla.

– Byłbym dumny z takiego syna.

Travis

- K**iedy mi wreszcie powiecie, dokąd jedziemy? – zapytał Travis.
- Do Nashville. Reszta to niespodzianka – odparła Lydia, wymieniając z Dilem znaczące spojrzenie i uśmiech.
 - Ale moje urodziny były kilka tygodni temu. Gwiazdka też.
 - Nieistotne – odparła Lydia.
 - Co jest w Nashville?
 - Niegwiazdkowa i nieurodzinowa niespodzianka.
 - Podaj jakąś wskazówkę.
 - Dill, pomóż. Coś czarnoksięskiego, co zamknie mu usta?
 - O rany, pytasz nieodpowiednią osobę. E-e... hej, Travis, jeśli dalej będziesz zadawał pytania... złamiesz bardzo ważne zaklęcie. I do końca życia będziesz mieć biegunkę.
 - Działa. Travis, urodziłeś się w rodzinie czarnoksiężników, ale adoptowała cię zwyczajna rodzina. I zaczarowała cię bardzo potężna czarodziejka, więc jeśli zdasz więcej niż... o-o... powiedzmy, trzy pytania w swoje urodziny, będziesz mieć okropną biegunkę.
 - Ale to nie są moje urodziny, zapomniałaś?
 - Okres karencji wynosi miesiąc. A kolejny przystanek będzie dopiero za pół godziny.
- Zbliżali się do Nashville. GPS Lydii skrzeczącym głosem prowadził ich prosto na lotnisko.
- Lotnisko... – zaczął Travis pytającym tonem.
- Lydia ostrzegawczo uniosła palec.
- Biegunka.
 - ...to bardzo fajne miejsce, z którego odlatują samoloty – dokończył

Travis.

Podjechali pod terminal.

– Jesteśmy punktualnie – stwierdziła Lydia, spoglądając na telefon.

– *Punktualnie* punktualnie czy punktualnie w wersji Lydii? – spytał Dill.

– Nie, naprawdę punktualnie. – Lydia wjechała na parking, gdzie czekali kierowcy odbierający podróżnych.

Mijały minuty. Travis zaczął coś mówić, ale Lydia mu przerwała.

– Zaufaj mi. W związku z tą niespodzianką na pewno nie chciałbyś dostać teraz biegunki. Pragniesz być jak najdalszy od biegunki w związku z tą niespodzianką.

Zadzwoił telefon.

– Lydia Blankenship.

Podejrzane. Normalnie nie odpowiadała w ten sposób na telefony.

– Dobrze... dobrze... odbiera pan bagaż. Świetnie. Siedzimy w jasnoniebieskiej toyocie prius. Dużo naklejek. Świetnie. Dobrze, do zobaczenia za minutę. – Lydia rozłączyła się.

– I tak to się zaczyna. – Odpaliła samochód i podjechała bliżej pod wyjście z terminala. Czekali. Travis patrzył prosto przed siebie.

– Travis, spójrz na tego mężczyznę w płaszczu i ciemnobrązowym swetrze – powiedział Dill.

– Gdzie?

Dill wyciągnął rękę.

– Tam. Tego z...

– Czapka z daszkiem – wtrąciła Lydia. – Krzaczasta siwa broda, okulary, korpulentny. Trzyma w ręku pudełko bułeczek cynamonowych.

– Kto tak wygląda? – zapytał Dill.

Travis roześmiał się.

– O rany, ale podobny do G.M. Penningtona.

Po sekundzie poczuł, że serce bije mu dwa razy szybciej niż zwykle.

– Niemożliwe – szepnął. Lydia i Dill szczerzyli się od ucha do ucha. – *To jest G.M. Pennington! I idzie w naszą stronę!* – piszczał Travis, podskakując na fotelu. Gorączkowo sięgnął po telefon, żeby napisać do Amelii, i zorientował się, że niechcący zostawił go w domu. *Nie uwierzy. Chyba umrze.*

– Spokojnie – powiedziała Lydia. – Zachowuj się z godnością. Za chwilę poznasz swego bohatera.

Wysiadła i ruszyła w stronę pana Penningtona. Podała mu rękę.

– Lydia Blankenship. Miło pana poznać. Tędy proszę.

Pan Pennington chrumknął radośnie i poprawił czapkę.

– Mademoiselle. Prowadź.

Wróciła do samochodu.

– Proszę o wybaczenie, że nie dysponujemy niczym eleganckim.

Pan Pennington tylko machnął ręką.

– Zawsze stawiam taki słuszny ekologicznie pojazd ponad najelegantszą limuzynę. Limuzyny są dla socjopatycznych oligarchów.

– Panie Pennington, chyba się dogadamy. Dill, wskakuj do tyłu – zarządziła Lydia. – Autorzy bestsellerów zawsze dostają miejsce z przodu.

Dill wysiadł i potrząsnął ręką pana Penningtona.

– Dillard Early. Miło mi pana poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł pan Pennington, zajmując miejsce. – I proszę, mówcie mi po imieniu. Gary. Tak naprawdę nazywam się Gary Mark Kozłowski, ale kto by chciał czytać powieści fantasy autorstwa polskiego seryjnego mordercy, sami przyznacie? – Zachichotał. – Jednak podobno jedno z was już zna moje prawdziwe nazwisko. Ty na pewno jesteś Travis.

Travis siedział jak sparaliżowany, z rozwartymi ustami i miną, jakby ujrzał anioła. Tak zresztą też się czuł.

– Tak, sir. Gary – pisnął.

– Sir Gary? Przyjmuję pasowanie na rycerza, mistrzu Travisie. Miło mi poznać. – Podał Travisowi rękę, a ten uściśnął ją, cały drżący.

– Gary – zapytała Lydia – jak długo potrwa twoja przerwa w podróży?

– Trzy godziny.

– Co chcesz zobaczyć lub zrobić?

Pan Pennington pogładził brodę.

– Oceniam miasto po lodach. I nie ma to jak rozmowa prowadzona przy porcji lodów. A więc prowadźcie, przyjaciele. Zawieźcie mnie do najlepszej lodziarni w mieście.

– Zrobione – odparła Lydia. – Znam takie miejsce. – I pojechali.

– Jak... – zaczął Travis, ale natychmiast urwał.

– W porządku, Travis. Możesz już zadawać pytania. Zakłęcie zdjęte. – Lydia spojrzała na Gary'ego. – Nie pytaj.

– Jak? – powtórzył Travis.

– Ja zacznę – powiedziała Lydia. – Chciałam zorganizować to dla ciebie przed wyjazdem na studia, więc zadzwoniłam do mojej przyjaciółki Dahlii, której mama jest redaktorką naczelną w magazynie „Chic”. Skontaktowała mnie z agentką literacką jej mamy. Agentka literacka jej mamy zna agentkę pana Penningtona. Dostałam jego grafik i okazało się, że w drodze ze spotkania z wydawcą w sprawie zbliżającego się wydania *Nawałnicy śmierci* ma przesiadkę w Nashville do samolotu lecącego do Santa Fe, gdzie mieszka.

– Ale – dodał Gary – to nie jest cała historia. Lydia pilnie odrobiła pracę domową i odkryła zaginiony w mrokach dziejów wywiad, jakiego udzieliłem, kiedy jeszcze żadnego z was nie było na świecie, w którym to wywiadzie opowiadam, że mam w sercu szczególne miejsce dla moich fanów mieszkających w niewielkich miejscowościach i marzących o większym świecie. A wiem o tym, ponieważ panna Lydia od razu poinformowała moją agentkę, ile wynosi populacja For... – tu pstryknął palcami.

– Forrestville – podpowiedziała Lydia.

– Właśnie, Forrestville. A moja agentka miałaby poważne kłopoty, gdybym nie dostał szansy spędzenia czasu z jednym z moich czytelników z małego miasteczka, który specjalnie przejechał w tym celu taki kawał drogi. I tak zmieniliśmy lot na nocny, bym mógł spędzić z tobą przynajmniej te parę godzin.

– Nawet nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy – powiedział Travis bliski płaczu. To już był najlepszy wieczór w całym jego życiu.

– Drobiazg – odparła Lydia. – Musiałam się wykazać.

Zajechali przed lodziarnię Five Point i stanęli w kolejce.

– Pro... Gary, pozwól, że cię zaproszę – powiedział Travis.

Gary zaśmiał się.

– Ależ chłopcze, chyba nie jest dla ciebie tajemnicą, że moje książki świetnie się sprzedają. Jestem wielokrotnym milionerem. Dzisiaj to ja kupuję wszystkim lody, dziękuję. Kup *Nawałnicę śmierci*, jeśli chcesz się odwdziaczyć.

– O, to na pewno. Możesz mi wierzyć.

Gary podszedł do lady i wyjął z kieszeni gruby portfel wytłaczany w skomplikowany wzór.

– Płacę za moich młodych przyjaciół. A cokolwiek zamówią – tu pochylił się w stronę chłopaka i konspiracyjnie puścił oczko – proszę nałożyć potrójnie. I z czubkiem. – Tu zakręcił palcem w powietrzu.

Zajęli miejsca, każde z porcją lodów w ręku.

– A więc, Travisie, z którego jesteś domu? – zapytał Gary, po czym wsadził do ust łyżeczkę lodów i mruknął z zachwytem.

– O, Northbrook. Definitywnie Northbrook – odparł Travis bez chwili wahania.

Gary wymierzył w niego łyżeczką.

– Oczywiście! Ja też uznałem, że jesteś z Northbrooków, ale byłem przygotowany, że będę musiał wybić ci z głowy inne pomysły. Tanaris? Wolfric? Kto wie, co ludziom może przyjść do głowy.

Travis promieniał.

– No dobrze – podjął Gary. – To teraz umieścimy twoich przyjaciół w odpowiednich dla nich domach. Co ty na to?

– Jasne! Dill jest muzykiem. Więc...

– Bractwo Minstrelów – powiedzieli jednocześnie Gary i Travis, po czym wyszczerzyli się szeroko.

– A Lydia... jest niesamowicie bystra, uwielbia czytać i pisać... więc... Letra? – zaproponował Travis.

– Tak, tak. – Gary potarł podbródek. – Albo Zakon Uczonych?

Travis przez chwilę rozważał propozycję, nie chcąc sprzeciwić się swemu idolowi, ale w końcu uznał, że chyba nie ma wyboru.

– Tylko że oni muszą przyjmować śluby czystości. Dożywotnio.

– Zapomniałem – mruknął Gary.

– O nie – wtrąciła Lydia. – Moje śluby czystości obejmują tylko liceum. Wolę tanto pierwsze rozwiązanie. Hej, nie chciałabym wam przerywać fascynującej rozmowy, ale powiedz, Gary, jak zostałeś pisarzem?

Gary liznął loda i odparł:

– Dorastałem na farmie w Kansas. Pszenica. Kukurydza. Trochę zwierząt. Pracowaliśmy od świtu do zmroku. Uwielbiałem książki C.S. Lewisa, J.R.R. Tolkiena i Roberta E. Howarda. Podczas pracy tworzyłem w wyobraźni własne światy. Postacie. Ludy. Języki. Rasy. Bitwy. To była moja ucieczka. Wkrótce pomysły przestały mieścić się w mojej głowie, więc musiałem przelać część z nich na papier.

– Ja też tak robię! – wykrzyknął Travis. – Pracuję w składzie drzewnym i wyobrażam sobie różne rzeczy. A co mówili twoi rodzice?

Smętny uśmiech.

– Mój ojciec... nie był dobrym człowiekiem. Traktował mnie bardzo

surowo i uważał, że pisanie to głupota. I może miał rację. Ale wtedy nie chciałem go słuchać, zresztą teraz też bym go nie posłuchał.

Zapadła cisza. Gary zjadł jeszcze trochę lodów.

– Jesteś pisarzem, Travisie?

– Och, nie.

– Dlaczego nie?

– Nie... nie umiem pisać.

– A próbowałeś kiedykolwiek?

– Nie.

– A więc naturalnie, że nie umiesz! Pisania można się nauczyć tylko w praktyce. By zostać pisarzem, potrzebujesz wyobraźni, a tego najwyraźniej ci nie brakuje. Musisz dużo czytać, co najwyraźniej robisz. I musisz pisać, czego nie robisz, ale powinieneś.

– A nie trzeba iść na studia, żeby zostać pisarzem?

– Skądże. Posłuchaj, żyjemy w wyjątkowych czasach. W Internecie znajdziesz darmowe porady na każdy temat. Czytałeś kiedyś fanfic tworzony przez czytelników Bloodfall?

– Tak – odparł Travis z wahaniem. – Ale przestanę, jeśli tak sobie życzysz.

Gary zaśmiał się.

– Nonsens. Zaczynij od tego. Napisz coś nawiązującego do Bloodfall. Pożycz sobie moje postacie. Daję ci pozwolenie. W ten sposób nabierzesz wprawy. A potem zacznij tworzyć własne pisarstwo. Wyczuwam w tobie coś wyjątkowego. Wielką wyobraźnię. Czuję, że masz coś do powiedzenia.

Travis promieniał. W jego wnętrzu coś rosnęło. Coś, co być może mogłoby przebić się przez skały i twardą ziemię, którymi przysypał go ojciec.

Przez półtorej godziny dyskutował z Garym o Bloodfall, a Dill i Lydia przenieśli się do ogródka. Travis powiedział Gary'emu o Amelii. Pożyczył telefon od Lydii i zrobili sobie razem mnóstwo zdjęć. A potem nadeszła chwila rozstania. Wrócili na lotnisko.

– Zanim się pożegnamy, mogę powiedzieć, który fragment ze wszystkich części Bloodfall lubię najbardziej? – zapytał Travis.

– Proszę.

– Sam nie wiem, czemu tak mi się spodobał. Ale uwielbiam napis, który Raynar Northbrook wyrył na grobie Baldrica Tanarisa po bitwie w Dolinie Płaczu.

Gary uśmiechnął się melancholijnie.

– Dobrze pamiętam ten fragment. Napisałem go po śmierci pierwszej żony. Byłem pogrążony w głębokiej depresji i dużo myślałem o tym, co to znaczy dobre życie. I doszedłem do wniosku, że takie, gdy po twojej śmierci przyjaciele mogą napisać na twoim grobie coś w tym rodzaju.

– Chyba dlatego tak mi się podoba – stwierdził Travis. – Sprawia, że też pragnę dobrze przeżyć życie.

Gary rozpromienił się.

– Świetnie – powiedział miękko.

Gary już miał wysiąść z samochodu, gdy Lydia wykrzyknęła:

– Zaczekaj! O mało bym nie zapomniała! – Wyciągnęła z torby wydanie *Bloodfall* w twardej okładce i podała je Gary'emu. – Proszę, złóż autograf dla mojego przyjaciela Trávisa.

– Oczywiście! – Gary wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złote pióro i złożył zamaszty podpis na stronie przytytułowej. *Dla Trávisa z Domu Northbrooków, mojego nowego przyjaciela, wielkiego posturą i bogatego wyobraźnią. Stań się tym, kim masz się stać.*

Lydia podała książkę Travisowi.

– Pożyczysz mi swój stary egzemplarz, muszę przeczytać.

Travis wysiadł z samochodu, by po raz ostatni uścisnąć dłoń Gary'emu. Gary zachichotał.

– Teraz jesteśmy przyjaciółmi. A przyjaciół na pożegnanie z zasady mocno ściskam. – Chwycił Trávisa w niedźwiedzi uścisk i zrobili sobie ostatnie wspólne zdjęcie.

– Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę wydarzyło. Lydio, jesteś niesamowita – powtarzał Travis jak mantrę i podskakiwał na siedzeniu, aż cały samochód się bujał.

– Jeśli nie przestaniesz, będę zmuszona zjechać na pobocze – powiedziała Lydia żartobliwie. – Przez ciebie wypadniemy z drogi.

– Przepraszam. Słuchajcie, naprawdę zamierzam zrobić tak, jak powiedziałem. Zacznę pisać. Może mógłbym pochodzić na zajęcia w college'u w Cookeville czy coś takiego.

– Zrób tak, Trav – odparł Dill. – Masz wszystko, co potrzeba.

Przez całą drogę szumiało mu w głowie. Rzadko się zdarzało, by jego prawdziwe życie okazało się tak dobre, by zastąpić to z wyobraźni. Ale tym razem tak właśnie się stało.

Układał plan. Najpierw się wyśpi (*Jasne, szczególnie jeśli zacznę pisać esemesy do Amelii*), a jutro, jak już skończy szkołę i pracę w składzie drewna, wejdzie na Internet i zacznie szukać porad pisarskich. *Może powinienem założyć specjalny zeszyt i robić notatki. Powinienem zacząć oszczędzać na nowy laptop i lekcje pisania. I pokazać to, co stworzę, komuś, kto umie pisać. Może Lydia by zechciała rzucić okiem. Tylko muszę się pospieszyć, bo niedługo wyjedzie na studia i będzie zbyt zajęta.* Czuł uniesienie z powodu postawionego sobie celu.

Wysadzili go pod domem po kolejnej porcji podziękowań. Idąc do wejścia, znów pożałował, że zapomniał tego dnia komórki. Tak, Lydia zrobiła mnóstwo zdjęć, jak zwykle, ale chciał jak najszybciej wysłać Amelii swoje fotki z mistrzem oraz umieścić je na forach Bloodfall. *Nigdy nie uwierzą, że G.M. Pennington – przepraszam, Gary – kupił mi lody i gadał ze mną przez ponad dwie godziny. A, i podpisał egzemplarz Bloodfall.*

Wszedł do ciemnego domu. Ojciec siedział rozwalony na kanapie, w migającym blasku telewizora. Na widok Travisa wziął do ręki pilot i wyłączył program.

– Gdzieś ty był? – spytał bełkotliwie.

Travis znał ten ton. Ogarnął go strach. *Proszę, nie dzisiaj. Nie w taki dzień. Pozwól mi się nim nacieszyć do końca.*

– Wyszedłem z przyjaciółmi, tak jak mówiłem, nie pamiętasz?

– Nie, nie pamiętam.

– W takim razie przepraszam. – I ruszył do pokoju.

– Dokąd to? Jeszcze nie skończyliśmy.

Travis odwrócił się. Brutalnie spadł na Ziemię. *No to się zaczyna.*

– O czwartej trzydzieści dostałem telefon, potrzebowali ładunek drewna impregnowanego na taras. Zamówienie na pięćset dolarów. Ale wiesz co? Nie było nikogo, kto mógłby je dostarczyć.

Travis zaczął się pocić. Mdliło go.

– Przepraszam. Mówiłem Lamarowi, że mnie nie będzie, a on powiedział, że wszystkim się zajmie.

– Palant Lamar zapomniał. Zostawiłeś mnie na lodzie. Próbowałem do ciebie dzwonić. Wiele razy.

– Zapomniałem komórki.

– Aha, wiem. – Ojciec Travisa podniósł się z kanapy. – Trzymam ją, kurwa, w ręku.

Rzucił telefonem w Trávisa. Telefon trafił go w mostek, rozległo się donośne uderzenie. Travis zdążył chwycić telefon, nim ten spadł na podłogę. Zerknął na ekran. Czternaście nieodebranych połączeń. Wszystkie od ojca.

Ojciec ruszył chwiejnie w jego stronę.

– Kosztowałeś mnie dzisiaj pięć stów. Co ty na to, ha? Myślisz, że możemy sobie na to pozwolić?

– Naprawdę bardzo mi przykro, tato. Nie możemy dostarczyć zamówienia jutro? Skoro zadzwonili tak późno, pewnie nawet nie pomyśleli...

– Nie. Nie możemy jutro.

– Dlaczego?

– Co to jest? – Ojciec wskazał na opatrzony autografem egzemplarz Bloodfall. – Ha, co to jest? Znowu jakieś pedalskie bajeczki?

– Nic takiego.

– Ha? Przez *to* straciłem moje pięćset dolców? – wrzasnął ojciec.

– Jutro zajmę się zamówieniem. Jeszcze przed szkołą. Ja...

Ojciec zerwał Travisowi czapkę bejsbolową i sieknął go nią po plecach i po twarzy.

– Ha? – Raz. – Ha? – Raz. – Przez to straciłem moje – raz – pięćset – raz – dolców?

Travis próbował osłaniać twarz, ale jeden z ciosów trafił go prosto w oczy, które zaczęły potężnie łzawić. Travis zamrugał, otarł łzy. W środku cały się gotował.

– Tato, jesteś pijany. Proszę, chciałbym iść do siebie. – *Proszę niech to nie będzie ta noc. Proszę niech to nie będzie ta noc, która, od zawsze wiedziałem, nieuchronnie nadejdzie. Proszę niech to nie będzie ta noc.*

Ojciec sięgnął po książkę.

– Dawaj to.

Travis wywinął się. Z głębi domu dobiegł głos matki:

– Clint, kochanie, obudziłeś mnie. Co się dzieje?

Ojciec znów ruszył do ataku. Travis obrócił się, by nie dosięgnął książki. Ojciec pchnął go na kredens, w którym matka trzymała porcelanę i swoją kolekcję lalek. Posypało się szkło z rozbitych drzwiczek. Matka krzyknęła.

– Daj mi to gówno – wycedził ojciec Trávisa. Zdołał wyrwać mu książkę. Odwrócił się plecami do Trávisa i zaczął wrywać kartki.

We wnętrzu Trávisa coś pękło, wydając przy tym dźwięk tysięcy wrywanych kartek. Zaryczał jak zranione zwierzę i rzucił się ojcu na plecy.

To był mocny cios. Gdyby Travis rozgrywał mecz futbolu i gdyby to nie ojciec stanowiął cel ataku, na pewno byłby z niego dumny. Poleciał na stolik, lampa spadła na podłogę i się rozbiła. Książka wypadła mu z rąk. Travis rzucił się na podłogę, zakrył książkę własnym ciałem.

Ojciec podniósł się i stanął nad nim.

– Myślisz, że jestem jakimś małym Meksykaninem? To ja skopię ci dupę. – Walił Trávisa w głowę, w uszy. Próbował dobrać się do książki, ale Travis na niej leżał. Ojciec rozpiął pas i wyciągnął go zręcznym ruchem ze szlufek. Uniósł ramię i trzasnął nim Trávisa przez plecy. I jeszcze raz.

I jeszcze.

I jeszcze.

I jeszcze.

I jeszcze.

I jeszcze.

I jeszcze.

Pas świstał i strzelał na skórze Trávisa. *Znieś to w milczeniu, tylko tak wygrasz*, powtarzał sobie Travis, ale krzyczał przy każdym uderzeniu. Czuł się, jakby ktoś siekł jego plecy i żebra pasami nasączonymi chili i płonąca benzyna. Matka skoczyła na ojca.

– Clint! Robisz mu krzywdę! Przestań!

Próbowała chwycić pas. Ojciec złapał ją za ramiona i pchnął na podłogę. Mocno. Uderzyła głową o deski z głuchym dźwiękiem. Trzymając się za nią, leżała nieruchomo, cicho płacząc.

Ale zdołała odwrócić uwagę ojca na tyle, by Travis zdążył zerwać się do pozycji stojącej. Kiedy ojciec się odwrócił, zobaczył go przed sobą i ponownie zamierzył się pasem. Travis chwycił pas wolną ręką i wyrwał go ojcu. Stał tak przez chwilę – z pasem w jednej ręce i książką w drugiej, z twarzą zalaną potem i łzami – patrząc na ojca, który miażdżył go spojrzeniem, zdyszany i czerwony.

Travis starał się ze wszystkich sił, by jego głos brzmiał odważnie. Próbował nadać mu brzmienie dzwonu. Tak brzmiałby głos Raynara Northbrooka przemawiającego do swoich ludzi przed bitwą. Ale ból okazał się zbyt przenikliwy. Serce waliło zbyt mocno. Głos załamywał się, wahał, słabł i zanikał.

– Już się... ciebie n-nie boję. N-nigdy więcej nie zdołasz... sprawić, żebym n-nienawidził siebie... t-tak jak ty mnie nienawidzisz.

Pomógł matce wstać, a ojciec patrzył na niego, zaciskając pięści, wciąż gotów do ataku, dysząc ciężko przez nos i raz po raz zaciskając szczęki.

Travis rzucił pas w kąt, spojrział ojcu prosto w oczy i wymierzył w niego palcem wskazującym. Dłoń drżała mu przy tym równie mocno jak głos.

– Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, to ci ją wyrwę. A jeśli jeszcze raz uderzysz moją mamę, to cię kurwa zabiję.

Ojciec też wymierzył w niego drżącą dłonią.

– Wypieprzaj z mojego domu – powiedział cicho.

Travis pocałował płaczącą matkę, zabrał kij i wyszedł.

25

Dill

Dill czuł się jak w niebie. Lydia zostawiła na starym komputerze całą muzykę. Miał wrażenie, że dzięki temu nawiązuje z nią coś w rodzaju sekretnej, intymnej więzi. Co wieczór kładł się na łóżku z laptopem spoczywającym na piersi i słuchawkami w uszach, odkrywając wciąż nowe rzeczy, pływając w Morzu Lydii.

Tap tap tap.

Dill zatrzymał muzykę i nasłuchiwał. Nic. Znowu wcisnął „play”.

Tap tap tap.

Znów zatrzymał i podniósł się.

Tap tap tap.

Wyjrzał przez okno i zobaczył twarz Trávisa. Aż podskoczył z wrażenia.

– Stary, ale mnie wystraszyłeś – szepnął, otwierając okno. Do środka wpadł podmuch lodowatego powietrza. Travis chyba płakał. – Wszystko w porządku?

– Nie za bardzo. Mógłbyś wyskoczyć, przejedziemy się?

– Jasne. Czekał. – Dill włożył wysokie buty i kurtkę. Przełożył nogę przez parapet.

– Moment. Masz aspirynę czy coś? – Mina Trávisa mówiła, że wszystko wyjaśni później.

– Sekunda. – Dill na palcach zakradł się do kuchni i zabrał buteleczkę z szybko kurczącymi się zapasami ibuprofenu. Wrócił do pokoju i podał Travisowi trzy tabletki. Travis wrzucił je do ust i połknął.

Dill wyszedł przez okno i zamknął je, zostawiając wąską szparę, by móc je otworzyć po powrocie. Przemknęli w ciemności do zaparkowanego za rogiem pickupa Trávisa. Wsiadli. W środku wciąż było ciepło. Travis poruszał się

z trudem, obolały. Siadając, wciągnął powietrze. Odczekał chwilę, by dojść do siebie, po czym uruchomił silnik. Dill uznał, że nie będzie o nic pytał. Niech Travis sam mówi.

– Może popatrzymy na pociągi – zaproponował Travis.

Milczeli przez całą drogę do Bertram Park. Travis zaparkował jak tylko się dało najbliższej torów, nie wyłączając silnika, żeby ogrzewanie działało.

Zsunął na tył czapkę z daszkiem i podrapał się w czoło.

– Dzisiaj wieczorem powiedziałem tacie, że go zabiję. Może i tak zrobię.

Dill zrobił wielkie oczy.

– Co takiego?

– Wróciłem do domu. Tata był pijany. Gadał o pracy. Powiedział, że przeze mnie stracił zamówienie. Próbował zabrać mi książkę z autografem Penningtona. Zdołałem jakoś się wybronić, ale trochę się poszarпалиśmy.

– Cholera.

– Tak. Sprzął mnie pasem, bo nie chciałem oddać mu książki. Mama interweniowała, a on ją pchnął, aż upadła na podłogę. Wyrwałem mu pas i powiedziałem, że jeśli jeszcze raz mnie uderzy, to coś mu zrobię. I że go zabiję, jeśli jeszcze raz podniesie rękę na mamę.

– Poważnie?

– Tak. Pewnie, że tak – odparł ponuro Travis. – Z tatą od dawna nie układa nam się najlepiej. Pewnie się domyśliłeś, kiedy naprawiałem ci samochód.

– Nic ci się nie stało?

– Porządnie boli, jeśli o to ci chodzi.

– O wszystko.

– Tata wywalił mnie z domu. Powiedział, że mam wypieprzać. Ale mu się nie dałem. Spojrzałem mu prosto w oczy. Powiedziałem, że już się go nie boję.

– Co teraz zrobisz?

– Jeszcze nie myślałem. Chyba będę spał w pickupie i wcześniej wychodził do szkoły, żeby wziąć prysznic.

Z oddali dobiegł gwizd pociągu.

– Powiadomisz gliny? – zapytał Dill.

Travis zaśmiał się krótko, z goryczą, potem wciągnął powietrze.

– Nie. Zamknęliby skład. Straciłbym pracę. Moja rodzina straciłaby dochody. Mama nie utrzymałaby się z samego szycia.

– No tak.

– Czy twoja rodzina dobrze wyszła na tym, że tatę przymknęli?

– Nie.

– Tylko nie mów o niczym Lydii. Nie zrozumiałyby. Na pewno zawiadomiłaby policję.

– Nie powiem.

Pociąg zbliżał się niespiesznie. W zimowe noce gwizd zawsze niesło daleko. Przejechał. Ale oni nie wysiedli z pickupa.

Siedzieli w milczeniu, przy włączonym ogrzewaniu.

– Wiesz – powiedział Travis, patrząc prosto przed siebie – w ciągu dzisiejszego wieczoru Gary sprawił, że uwierzyłem w siebie, a mój ojciec nie potrafił tego dokonać przez całe moje życie.

– Tak. Wiem, jakie to uczucie, kiedy ojciec w ciebie nie wierzy. Koszmarne.

– Teraz wszystko się zmieni. Ja wszystko zmienię. Nie zamierzam dalej tak żyć.

Dill słuchał w milczeniu. Głos Trávisa miał w sobie siłę i niezłomność, jakiej nigdy u niego nie słyszał.

– Uważam, że po skończeniu szkoły – dodał Travis – powinniśmy razem coś wynająć. Nawet jeśli nie będzie cię stać na cały czynsz. Nie szkodzi. Mogę płacić większą część, a ty w ramach zapłaty będziesz mi grał swoje piosenki. Będziesz mnie rozweselał, kiedy robi mi się smutno.

– Podoba mi się ten pomysł. Chociaż moje piosenki nie są zbyt wesołe.

– Obaj będziemy ciężko harować, ale po pracy ja będę pisał, a ty będziesz tworzył muzykę. Możemy ustawić w pokoju dwa biurka obok siebie. Może sam je zrobię z resztek ze składu.

– Wchodzę w to.

– Będziemy mieć bardzo szybki Internet, żebyś mógł wrzucać nagrania, a ja swoją twórczość pisarską. I zachowamy tradycję filmowych piątek. Może Lydia mogłaby też brać w nich udział, na wideoczacie na przykład. I może Amelia, bo do tego czasu na pewno zapytam ją, czy chce być moją dziewczyną. A dla ojców zakaz wstępu.

Dill uśmiechnął się. Szczerze.

Travis popatrzył mu prosto w oczy i dodał z tą nową stalową determinacją w głosie:

– Naprawdę tego chcę, Dill. Poważnie. Od teraz musimy wzajemnie o siebie dbać. Musimy być dla siebie rodziną, bo nasze rodziny są całkiem

pokręcone. Musimy stworzyć dla siebie lepsze życie. Musimy zacząć robić rzeczy, których się boimy. Uważam, że powinieneś powiedzieć Lydii, co czujesz.

Travis mówił poważnie. Dill dobrze to wiedział. I czuł nadzieję, pomimo lekkich wyrzutów sumienia, że czerpie tę nadzieję na lepsze życie z okropnych okoliczności, w których znalazł się jego przyjaciel. *Może Travis jest na tyle silny, by ustrzec mnie przed załamaniem po wyjeździe Lydii.*

– Kwestię Lydii przemyślę. Ale na razie, zanim się wprowadzimy do wspólnego mieszkania, lepiej zaparkuj za rogiem koło mojego domu i śpij w moim pokoju. Mama nic nie zauważy. Zawsze ciężko śpi, wraca zmęczona.

– Na pewno? Mogę spać w pickupie.

– Jasne. Potrzebne ci ciepłe i bezpieczne miejsce na noclegi. Dam ci miskę i puszkę, będziesz do niej sikał.

Travis zachichotał.

– Stary, nie rozśmieszaj mnie. Strasznie boli.

– Na pewno nic ci się nie stało? Nie potrzebujesz lekarza?

– Bywało gorzej. Nie mam żadnych złamań. Nie straciłem zębów. Tylko sińce i ślady uderzeń. Co lekarz mógłby tu pomóc?

– Myślisz, że dasz radę spać na podłodze? Zrobię ci posłanie z ubrań i koców. Chętnie oddałbym ci łóżko i sam spał na podłodze, ale co, jeśli mama zajrzy?

– Nic mi nie będzie.

Przez kilka minut milczeli.

– Przebrniemy przez to, Travis.

Travis odkasznął.

– Szkoda, że zepsuł mi taki wspaniały wieczór.

Pojechali z powrotem do domu Dilla.

– Hej, Dill, pozwolisz, że posiedzę tu chwilę w samotności, zanim wejdziemy do środka?

– Jasne, nie spiesz się.

Wchodząc przez okno do pokoju, Dill kątem oka zobaczył Trávisa. Siedział z głową na kierownicy, cały się trząsł, samotny w lodowatej ciemności styczniowej nocy.

26

Lydia

Lydia otworzyła drzwi od frontu.

– Travis. Co się stało?

Travis raczej nie wpadał do niej bez zapowiedzi. Trzymał w ręku plik kartek. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Hej, Lydia. No więc, napisałem opowiadanie. A ty znasz się na pisaniu i tak dalej. Zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś tego przeczytać i powiedzieć, co mógłbym poprawić.

– Tak szybko? Od spotkania z G.M. Penningtonem minęły chyba dopiero dwa tygodnie?

– Trzy.

– No tak. Ta data pewnie mocniej utkwiała w twojej pamięci niż w mojej.

Travis odpowiedział uśmiechem.

– Muszę dobrze znać Bloodfall, żeby wszystko zrozumieć? – spytała Lydia.

– W ogóle. To mój własny oryginalny pomysł.

– A ja zaczęłam czytać Bloodfall po spotkaniu z Garym. Był taki świetny. Jestem mu to winna. I tobie. Ale jeszcze nawet nie zbliżam się do końca.

Travis wyszczerzył się szeroko.

– Nareszcie!

Wyciągnęła rękę po papiery.

– Aha, aha, bla, bla, nareszcie. Nieważne, oczywiście przeczytam twoje opowiadanie. Ale ostrzegam uczciwie, w kwestii pisania jestem bezlitosna. Jeśli będzie do dupy, nie omieszkać ci powiedzieć. A ponieważ to twoja pierwsza próba, pewnie sporo rzeczy będzie do dupy.

Travis podał jej plik.

– Przywykłem do krytyki. Potrafię ją znieść.

Lydia przypominała sobie, co jej tata powiedział na temat Trávisa, i poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. *Potrafi znieść krytykę. Pewnie jak jeszcze wiele innych rzeczy.* Przerzuciła kartki.

– Wow, ręcznie pisane? Kto tak jeszcze robi? Proszę, jaki Szekspir.

– Od kilku tygodni mam ograniczony dostęp do laptopa.

Kolejne ukłucie – tym razem niepokoju.

– Wszystko w porządku? W domu, znaczy?

– Ta-a, w porządku – odparł Travis, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. Bez większego powodzenia.

Jeśli kłamał, i tak radził sobie lepiej, niż mówiąc o Amelii.

– Jasne. A jakie macie z Dillem plany na dzisiejszy wieczór?

– Dill pracuje, a ja próbuję sprzedawać drewno na opał – odparł Travis.

– Poważnie? Pisziesz ręcznie i sprzedajesz drewno na opał? Może pomacham latarką, a ty zaczniesz czcić mnie jako bóstwo?

– Wreszcie dostała mi się sprzedaż opału. Lamar, gość, z którym pracowałem, zajmował się tym przez ostatnie lata. Zbieramy ścinki, których nie możemy normalnie sprzedać, wiążemy je i sprzedajemy. Ale Lamarowi chyba się znudziło. A ja mogę zarobić dodatkowo, zaoszczędzić na nowy laptop i zajęcia z pisania.

Lydia spojrzała za okno, na pickup Trávisa wyładowany wiązkami drewna.

– Tato! – zawołała. – Chodź, kupisz trochę drewna na opał od Trávisa.

Doktor Blankenship przyczłapał w kapciach do drzwi, z portfelem w ręku.

– Travis! Cześć.

– Dzień dobry.

– Domyślam się, że nadal pracujesz w składzie?

– Tak jest. I zapewne zostanę tam również po zakończeniu szkoły. W ciągu kilku ostatnich lat interes trochę zwolnił, więc jestem jednym z nielicznych pracowników.

– Lubisz tę pracę.

– Tak. Lubię zapach ciętego drewna. I mam czas, żeby myśleć.

– Jeśli człowiek kocha to, co robi, nie przepracuje ani jednego dnia w swoim życiu – powiedział doktor Blankenship.

– Tak przy okazji, ja nie powiedziałem Lydii, żeby pana zawołała i kazała panu kupić ode mnie drewno.

– O, wiem. Gdybyś jej tak powiedział, na pewno by odmówiła.

Kupił połowę.

Kiedy Travis odjechał, Lydia uświadomiła sobie, że ostatnio jego uśmiech – uśmiech, w którym pokazywał dwa sztuczne zęby – wygląda jakoś inaczej. Triumfująco. Jakby Travis przepłynął się w bród przez wzburzoną rzekę i dotarł bezpiecznie na drugi brzeg. Albo jakby wyszedł cało z wielkiej bitwy. Promieniał, rozsiewał blask, jakby został oczyszczony w ogniu.

Parę godzin po wyjściu Trávisa rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości.

Trzymam w ręku kopertę z Uniwersytetu Nowojorskiego, napisała Dahlia.

O rany! Otwórz.

Kilka minut później znów rozległ się sygnał. Zdjęcie listu z pozytywną odpowiedzią.

GRATULACJE!!!!!!!

Umieram. Daj znać, kiedy przyjdzie twój.

– Hej, mamó? – zawołała Lydia. – Przyszła dziś poczta?

– Chorągiewka jest opuszczona.

Lydia błyskawicznie pokonała schody, po cztery stopnie na raz. Wybiegła bosó. Stopy marzły jej na lodowatym chodniku. Błyskawicznie otworzyła skrzynkę. Listy. Wcisnęła rękę do środka, tak mocno, że zacięła się papierem. Nie mogła oddychać. Zaczęła niecierpliwie przeglądać zawartość skrzynki.

Śmieci. Śmieci. Coś do mamy. Coś do mamy. Coś do taty. Śmieci. Śmieci. Uniwersytet Nowojorski!

Ostatnia koperta. Lydia przymknęła oczy, wstrzymała oddech i rozdarła papier. Z trudem zebrała się w sobie, by odczytać zawartość. W końcu się udało.

Droga Lydio,

pozdrawiamy z Biura Rekrutacji Uniwersytetu Nowojorskiego.

Przede wszystkim – gratulacje, zostałaś przyjęta do grona studentów naszej uczelni. Cieszymy się wraz z Tobą!

Lydia przerwała i zaczęła krzyczeć. I skakać. Mama wybiegła przed dom, by sprawdzić, co się dzieje. Lydia pokazała jej list. I zaczęły razem skakać i krzyczeć. Potem przybiegł tata, który właśnie układał za domem drewno na opał. I teraz skakali i krzyczeli we trójkę.

Dill

Czy wszystko w porządku, proszę pana? Wyładowałem pale tę z makaronem, poukładałem towary na półkach i umyłem podłogę w dziale z warzywami.

Pan McGowan przesunął długopisem w dół listy, mruczając do siebie.

– Moim zdaniem wszystko wygląda jak należy, Dill. Wcześniej skończyłeś, ale odbiję kartę normalnie. Dobra robota.

– Dziękuję. Do jutra.

– Hej, jedno pytanie, Dill. Nadal jesteś chętny na pełen etat po zakończeniu szkoły?

– Tak, proszę pana. Wezmę tyle godzin, ile tylko się da.

– Świetnie. Powiem szefowi. Ucieszy się.

Dill zdjął zielony fartuch, włożył płaszcz i wyszedł. Przyjemny wieczór na powrót piechotą do domu. Jeden z tych wieczorów w lutym, kiedy pod warstwą chłodu czuć nieznaczny powiew ciepła.

– Podwieźć pana do domu? – Lydia siedziała na zderzaku swojej toyoty prius. Jej głos kompletnie go zaskoczył. Nie tylko dlatego, że Dill jej się nie spodziewał, lecz również dlatego, że (choć brał pod uwagę, że może całkowicie się mylić) słyszał w nim zalotny ton, który pojawiał się z większą częstotliwością od dnia konkursu talentów. Uważał go za dowód, że zaimponował jej odwagą. Wiedział, że nie może liczyć na nic więcej.

– Co ty tu robisz? Myślałem, że pracujesz nad blogiem.

– Nie dzisiaj. Właśnie dlatego przyjechałam. Możemy pogadać? – Widocznie zauważyła wyraz niepokoju, który przemknął po twarzy Dilla, bo dodała: – Mam dobre wieści. Tak jakby.

– No jasne.

– Super. Wskakuj. Jedziemy do Dobrej Nowiny. Uznałam, że nazwa jest bardzo odpowiednia. Ja stawiam.

W czasie drogi głównie milczeli.

– Może jakaś podpowiedź? – zapytał Dill.

– Nie. Daj się nacieszyć.

– Dostałaś się na studia. Nowy Jork?

– Zaczekaj, aż złożę oficjalne oświadczenie.

Weszli do kawiarni, zamówili napoje o chrześcijańskich nazwach i usiedli.

– No dobra – powiedział Dill. – Mów.

– Dostałam pismo, przyjęli mnie na Uniwersytet Nowojorski.

Ostry ból w głębi klatki piersiowej. Porażenie prądem prosto w serce. Wstrząs, który rozprzestrzeniał się coraz niżej, aż do żołądka, niczym krople krwi rozplływające się w wodzie.

Jak wtedy, kiedy na konkursie talentów wywołano jego nazwisko, mózg lodowacieje, odpływa w dal. Znajduje się na kampusie uniwersyteckim. Może to Nowy Jork. Trudno powiedzieć, nigdy tam przecież nie był. Lydia siedzi na ławce z jakimś gościem. Jest przystojny i dobrze ubrany (pewnie dzięki niej), emanuje beztroską swobodą świadczącą o zasobności finansowej. Rozmawiają, śmieją się. Dokoła spadają jesienne liście.

Potem siedzą razem w kawiarni. Dokoła wznoszą się stosy książek – jak góry potencjalnych okazji i możliwości.

Potem ten sam chłopak siedzi w samochodzie z doktorem Blankenshipem, też śmieją się i rozmawiają. A potem przy stole obok Lydii, naprzeciwko doktora i jego żony.

A Dill ma na sobie zielony fartuch ze sklepu. Stoi na zewnątrz, na zimnie, widzi ich przez okno. Widzi też swoje odbicie w szybie, bardzo zmęczone i zużyte. Co doskonale, choć boleśnie tłumaczy, dlaczego to tamten gość siedzi obok Lydii, a nie on.

Dill bardzo starał się uśmiechnąć.

– Gratulacje – powiedział cicho. – Wiedziałem, że się dostaniesz. Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. – *Gdybym tylko mógł wątpić. Gdybym mógł udawać chociaż przez sekundę.*

– Dzięki. Za to, że we mnie wierzysz i że jesteś moim przyjacielem.

– A więc jedziesz?

– No tak. Jadę. – Powiedziała to delikatnie. Pewnie dosłyszała nadzieję w jego głosie.

Wstała, okrążyła stolik i uściskała Dilla, długo, gładząc palcami jego włosy na karku. Ostatnio jakoś częściej znajdowała preteksty, by go przytulić.

– A to za co? – zapytał.

– Bo wyglądasz, jakby twoje serce stanęło na klocku lego.

Dill wbił wzrok w kubek z gorącą czekoladą, która w tym miejscu nosiła nazwę Hosanna.

– Cieszę się twoim szczęściem. Tutaj nie byłabyś szczęśliwa, a ja nie chciałbym, żebyś była nieszczęśliwa.

– Wiem.

– Proszę, nie zapomnij o mnie.

– Nigdy. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– Powiedziałaś Travisowi?

– Jeszcze nie. Pojechał sprzedawać drewno na opał. Wiedziałeś, że się tym zajmuje?

– Wiedziałem. – *Nie tylko to trzymamy w tajemnicy przed tobą.*

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obejmując kubki z napojami. Nagle rozległo się wycie syren. Odwrócili się i zobaczyli pędzącą karetkę, a za nią dwa wozy policyjne.

– Ja chyba też mam dobre wieści. Plan na życie po skończeniu szkoły – oznajmił Dill.

Lydia uniosła brwi.

– Tak? Powiedz.

– Trav i ja zamierzamy wynająć razem mieszkanie. Już nie możemy się doczekać. Travis będzie pisał opowiadania, a ja będę tworzył piosenki. A nasi tatusiowie nie będą mieli tam prawa wstępu.

Lydia przechyliła głowę z uśmiechem.

– Brzmi wspaniale. Małeńka kolonia artystycznej cyganerii w samym środku Forrestville.

Dill mówił dalej, coraz bardziej ożywiony. Jakby próbował przekonać Lydię, że to naprawdę wspaniały plan – bo rzeczywiście próbował. Jakby próbował przekonać samego siebie – bo rzeczywiście próbował.

– Zamierzamy podtrzymać tradycję filmowych piątków. Pomyśleliśmy, że może mogłabyś do nas dołączać na video czacie. Pewnie nie za każdym razem, bo będziesz zajęta.

– To byłby wielki zaszczyt. – Po chwili spytała: – Czy na pewno właśnie tego chcesz, Dill?

– To jest najbliższe tego, czego chcę – odparł po namyśle.

– Tego zawsze dla ciebie pragnęłam: abyś był szczęśliwy i żył tak, jak chcesz żyć. Myślałam, że w tym celu będziesz musiał stąd wyjechać, ale może jednak nie.

– Może nie.

Dill pomyślał, że może nie tak łatwo go przejrzeć. Bo inaczej Lydia zapytałaby go, dlaczego wygląda tak, jakby ktoś wyrywał mu serce, kawałek po kawałku, komórka po komórce, cząsteczka po cząsteczce. A on wcale od tego nie umierał, tylko robił się całkiem pusty.

Travis

Raynar Northbrook pełnił samotną wartę nad rzeką, na szczycie odosobnionej reduty. Gdyby przejeżdżali tędy zwiadowcy Randa Allastaira, napotkaliby wroga groźniejszego, niż przypuszczali. Wśród jego ludzi znalazłoby się wielu takich, którzy chętnie zastąpiliby go w obowiązkach, on jednak nie zwykł prosić innych o to, czego sam nie miał chęci się podjąć. I za to darzyli go miłością.

Travis usiadł na kilku wiązkach drewna na opał, których jeszcze nie udało mu się sprzedać. Miejsce nie wydawało się zbyt zachęcające – tuż nad rzeką, w sporej odległości od zabudowań. Ale Lamar je polecił i miał rację.

Jak ci idzie?, napisała Amelia.

Nieźle, szczególnie, że dr B. kupił połowę. Kilka takich wieczorów i będzie nowy laptop.

Kiedy dostanę twoje opowiadanie?

LOL, jak Lydia mi powie, co trzeba poprawić. Chcę, żebyś przeczytała najlepszą wersję.

Założę się, że już jest świetne. Jesteś taki inteligentny.

Ou dzięki. Hej, mam pomysł.

MÓW.

Kiedy wyjdzie *Nawałnica śmierci*, moglibyśmy spotkać się gdzieś w połowie drogi i przeczytać razem!

SUPER POMYSŁ!

No to jesteśmy umówieni! Możemy wziąć koce, położyć się na pace mojego pickupa i czytać przy latarkach.

GENIALNE!! NIE MOGĘ SIĘ DOCZekać!!!

Travis zadrżał z zimna. Zastanawiał się, czy nie zamknąć na dzisiaj interesu, ale jeszcze nie czuł się śpiący, a wieczorami, kiedy już wśliznął się do pokoju Dilla, mógł zajmować się właściwie tylko spaniem. W pracy w ogóle nie

rozmawiał z ojcem. Z pewnością nie dostał zaproszenia, by wrócić do domu – zresztą i tak by go nie przyjął. Z mamą rozmawiał regularnie – wpadał po jedzenie pod nieobecność ojca. Nie powiedział, gdzie śpi, ale dał jej słowo honoru, że jest to ciepłe i bezpieczne miejsce.

Poza tym nie chciał jeszcze wracać z innego powodu: właśnie czytał *Nocne wichry*, piątą część *Bloodfall*, świecąc sobie latarką. Zdążył przeczytać *Bloodfall*, *Kruczy Tron*, *Cios miecza* i *Wilczy gon*. Chciał przypomnieć sobie całą serię, zanim w marcu wyjdzie *Nawałnica śmierci*. A jednocześnie rozpoczął karierę pisarską.

Telefon zabuczał. Esmes od Lydii. *Mam niesamowite wieści. Powiem, jak się spotkamy.*

Pewnie dałaś moje opowiadanie agentce G.M. Penningtona i zamierzają je wydać, LOL.

Światła samochodu. Z mroku wyłonił się biały nissan maxima, starszy model, zatrzymał się za pickupem Trvisa, który odłożył książkę, wyłączył latarkę i zeskoczył na ziemię. Z nissana wysiedli dwaj mężczyźni. Travis nie rozpoznawał żadnego z nich, obaj mieli kaptury, które przysłaniały im twarze.

– Witam, panowie – powiedział. – Chcą panowie kupić trochę drewna na opał w tę chłodną noc?

Jeden trzymał się bardziej z tyłu, drugi wystąpił naprzód.

– Jasne. Ile?

– Mała wiązka pięć dolarów, duża dziesięć. Gdybyście chcieli wziąć całość, spuszczę z ceny.

– Niech się zastanowię. – Mężczyzna sprawiał dziwne wrażenie. Miał w sobie dziwnie nerwowe rozedrganie.

Ten z tyłu podszedł do kolegi.

– Weźmiemy dużą – powiedział.

– Okej. – Travis podszedł do paki, by wyszukać odpowiednią wiązkę.

Kiedy się odwrócił, mężczyzna celował do niego z broni.

– Dawaj kasę. I to migiem. Wszystko.

Serce Trvisa waliło jak młotem. Zaschło mu w ustach. Nogi miał jak z waty. Uniósł ręce.

– Okej, okej, okej. Nie ma problemu. Weźcie, co tylko chcecie. – Podał mężczyźnie swój portfel.

Ten drugi był jeszcze bardziej rozedrgany niż pierwszy, z którym rozmawiał.

– Co masz w środku?

Travis otworzył drzwi do kabiny. Pochylił się, by sięgnąć po zamykany na suwak woreczek leżący na podłodze, w którym trzymał większość zarobionych tego wieczoru pieniędzy. Na wierzchu leżał kij, Travis wyciągnął rękę, by go przesunąć.

Nagle usłyszał ogłuszający dźwięk i poczuł obezwładniające uderzenie w żebra. Rzuciło nim na drzwiczki samochodu.

– Kurwa, stary! Czemu strzeliłeś? – wrzasnął jeden z mężczyzn. – Spadamy.

Ten, który strzelił, wyrwał Travisowi woreczek z ręki, po czym obaj rzucili się w stronę nissana, wskoczyli i odjechali z piskiem opon. Travis patrzył, jak tylne światła znikają za wzniesieniem. Mózg podpowiadał, że powinien zapamiętać numer rejestracyjny, ale było za późno.

Trzymał się drzwi i jakoś zdołał ustać na nogach. Nie czuł się dobrze. Nie czuł własnych nóg ani rąk. Twarz jakby mu zdrętwiała. Serce biło zbyt mocno. Nie mógł oddychać. W ustach czuł metaliczny posmak. Nagle strasznie zachciało mu się pić. I marzył. Trząśnięcie niekontrolowane.

Uznał, że nie może prowadzić, i postanowił zatrzymać jakiś samochód. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, więc zaczął czołgać się w stronę drogi, jednocześnie szukając telefonu w kieszeni kurtki. Upuścił go na ziemię i wybrał numer alarmowy.

– O co chodzi?

– Chyba ktoś mnie postrzelił.

– Proszę podać lokalizację.

– River Road. Czy moja mama tam jest?

– River Road. A dokładniej?

– Na wschód od mostu. Chce mi się pić. Jest tam moja mama?

– Proszę pana, wysyłamy jednostki w pana stronę. Proszę się nie rozłączać.

Nazwisko?

– Travis Bohannon. Czy jest tam moja mama?

– Travis, nie rozłączaj się. Zaraz skontaktujemy się z twoją mamą. Mów do mnie.

– Chcę pić. Wody. Nie mogę oddychać.

– Mów do mnie. Travis. Travis. Travis? Travis? Travis? Wytrzymaj jeszcze trochę, Travis. Mów do mnie. Travis?

Niektórzy odchodzą w blasku chwały. Na zielonych polach bitewnych, jako

wojownicy w słusznym wieku, otoczeni przyjaciółmi, walcząc w obronie swego domu, walcząc ze złem.

A niektórzy odchodzą leżąc na drodze w Forrestville, w stanie Tennessee, pośród ciemności, niemożliwie młodzi i samotni, bez sensu, bez powodu.

29

Dill

Mam wyrzuty sumienia, że dowiedziałem się wcześniej od Trávisa – powiedział Dill.

– Wiesz, gdzie on może być?

– Wspominał o River Road.

– Hm, niewiele jest miejsc, gdzie można go szukać. Masz. – Lydia podała Dillowi swój telefon. – Wyślij mu esemes. Dowiedz się, gdzie jest.

Dill zrobił, jak prosiła. Zero odpowiedzi. Zadzwoił. Też nic.

– Wcześniej do mnie napisał. Może telefon mu się rozładował – powiedziała Lydia.

– Nigdy do tego nie dopuszczał.

– W epoce przed Amelią.

– Słusznie. Przejedźmy River Road. Jeszcze nie muszę wracać.

– Może pomożemy mu sprzedawać drewno – powiedziała Lydia. – Mogłabym pokazać kawałek nogi.

– Aha, tylko że wtedy każdy, kto by się zatrzymał, żeby kupić drewno, dostałby wykład na temat przedmiotowego traktowania kobiet.

– I? – Lydia wjechała w River Road, po chwili pokonała zakręt. Ukazała się ściana niebieskich świateł. Policja z Forrestville, szeryf hrabstwa White. Lydia zwolniła. – O rany – mruknęła. – Chyba jakiś wypadek.

Dill wyciągnął szyję.

– Oby nie Travis.

Podjechali bliżej. Na drodze stał policjant w kamizelce odblaskowej. Wskazał Lydii objazd. Błysnął flesz aparatu.

A potem zobaczyli scenę za ścianą świateł.

– Dill... czy to pickup Trávisa? – spytała Lydia zaniepokojonym głosem.

Dill zmrużył oczy. Nie mógł dojrzeć koloru samochodu przez ten cały niebieski blask. Znów flesz aparatu. Czerwony. Dill poczuł gwałtowne uderzenie adrenaliny i ciemne przerażenie.

– O kurwa. Proszę, Jezu, nie. Nie, nie, nie, nie, nie, *nie, nie, nie, nie, nie*. Lydia, zatrzymaj się.

Zatrzymała samochód pośrodku drogi. Wskoczyli i popędzili do policjanta kierującego ruchem. Wyglądał na niewiele starszego od nich.

– Proszę pani, muszę poprosić, by przesunęła pani samochód – powiedział.

Drżącym głosem Lydia odparła:

– To pickup naszego przyjaciela. Czy mógłby pan powiedzieć, co się stało?

– Niestety, nie w tej chwili. Nie wiem, jakie informacje otrzymała rodzina, więc nic nie mogę powiedzieć.

Lydia walczyła ze łzami, zrozpaczona.

– Proszę. Błagam pana.

– Naprawdę bardzo mi przykro, proszę pani. W tym momencie nie mogę udzielać żadnych informacji. Przepraszam.

Lydia całkiem się załamała.

– Proszę – wtrącił Dill, który również zaczynał tracić panowanie nad sobą.

– Proszę, niech pan powie, gdzie on jest.

Młody policjant miał zboląły wyraz twarzy. Rozejrzał się na boki. Jego koledzy otaczali miejsce zdarzenia taśmą policyjną. Któryś robił zdjęcie plamy krwi na chodniku.

Policjant przysunął się bliżej.

– Szpital White County.

Nie tracili czasu na podziękowania, natychmiast ruszyli w drogę.

Jechali w śmiertelnej ciszy. Silnik wył, zmuszany do maksymalnego wysiłku, przez większość drogi dwukrotnie przekraczając granicę prędkości.

Boże, proszę. Boże, proszę. Proszę, niech nic mu się nie stanie.

Z piskiem opon zajechali przed szpital, zaparkowali niedbale i pobiegli do środka.

Dill rozglądał się po jaskrawo oświetlonym wnętrzu. Miał wrażenie, że czas zwolnił. Odczuwał dziwne rozszczępienie pomiędzy tym, co widział, a tym, co przetwarzał jego mózg – lub raczej, czego nie przetwarzał.

Ojciec Travisa siedział w kącie, tłukąc pięściami boki swojej głowy i płacząc, a obok niego stali dwaj policjanci z zakłopotanymi minami.

Mama Travisa leżała na podłodze, głośno łkając, a trzy pielęgniarki gładziły

ją po plecach i próbowały uspokoić.

We wnętrzu umysłu Dilla coś się oderwało. Coś, co do tej pory tkwiło tam zakotwiczone, chronione przed ryczącymi falami. A teraz urwało się i rozbijało bezradnie o wszystko dokoła, pozostawione na pastwę pochłaniających je żywiołów. Dill już nie widział kolorów, świat zmienił się w wirującą, wyjąca, szarą jak ołów pustą rozpacz. Ale ból się nie zjawił. Tak jak morze cofa się tuż przed tsunami, tak samo cofał się on, każda jego cząstka. A potem ból uderzył.

Dill nigdy nie przejawiał daru mówienia językami. Duch Święty nigdy nie poruszał się w nim w ten sposób, tak jak nigdy nie pozwolił mu wziąć do rąk jadowitego węża. Ale teraz, leżąc na podłodze w szpitalu White County, Dill krzyczał w jakimś bolesnym obcym języku straty. Nie wiedział, że Lydia uklękła obok niego i, również krzycząc z rozpacz, ścisnęła jego ramię, jakby inaczej miała spaść z powierzchni Ziemi.

Kiedy wszedł do domu, matka powitała go ostrym:

– Gdzie byłeś? – Ale potem zobaczyła jego oczy i twarz i dodała z ostrożną troską: – Dillard? Co się stało?

Nienawidził tych słów i do tej chwili nie wypowiedział ich na głos. Jakby stanowiły jakieś potworne zaklęcie, które czyniło prawdę jeszcze bardziej realną. Były niczym ciernie na języku.

– Travis nie żyje.

– Chyba nie Travis, twój przyjaciel? Travis Bohannon?

Dill usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Wbił wzrok w blat. Całkowicie odrętwiały.

– Tak.

Mama Dilla przycisnęła dłoń do ust.

– Słodki łaskawy Jezu – wyszeptała. – Biedna Anne Marie. Co się stało?

Dill potrząsnął głową.

– Czy... był zbawiony?

Dill spodziewał się tego pytania, ale i tak musiał się zastanowić, jak na nie odpowiedzieć.

– Dostał swego zbawienia.

30

Lydia

Mam wieści – powiedziała, gdy Dill wszedł po schodkach na ganek. –
Usiądźmy.

Siedli na huśtawce i zaczęli się kołysać przy wtórze cichego skrzypienia.

– Złapali gości, którzy to zrobili. Tata dowiedział się od jednego z pacjentów, który pracuje w biurze szeryfa.

– Poważnie?

– Tak.

– Minęły dopiero trzy dni.

– Tak. Chociaż wydaje się, że dłużej.

– Wiem.

– Wiedzą, co się stało? – spytał Dill.

– Dwóch debili wzięło metę i pojechało na imprezę do Cookeville. Chcieli więcej, ale nie mieli kasy. Jeden wcześniej tego dnia odwiedzał babcię i widział, jak Travis sprzedawał drewno. No i stwierdził, że ma super pomysł, jak mogą zdobyć szybką kasę.

– Ale dlaczego go zastrzelili?

– Kiedy ich złapano, okazało się, że ledwo się znają. Spotkali się tamtej nocy. Nawet nie znali swoich nazwisk. I ten, który nie strzelał, momentalnie wszystko wypaplał. Powiedział, że kiedy odjeżdżali, tamten drugi stwierdził, że zastrzelił Travisa, ponieważ wydawało mu się, że sięgał on po kij bejsbolowy czy coś takiego.

– Kij.

– Właśnie. Zabili naszego przyjaciela dla stu dwudziestu trzech dolarów. – Nawet wypowiedzenie tych słów sprawiało jej ból. *Zabili naszego*

przyjaciela. Były jak ostry, raptowny dźwięk przedzierający się przez biały szum wypełniający jej mózg.

– Mam nadzieję, że będą płonąć w piekle. Po wieczność.

– Ja też. Cali w błablach od sumaku. – Lydia wiedziała, na jak wielką pogardę ją stać wobec ludzi, których nie cierpiała. Lecz tym razem nawet samą siebie zaskoczyła natężeniem nienawiści wobec zabójców Trávisa.

Jak na luty było wyjątkowo ciepło. Śpiewały ptaki, które zwykle słyszało się dopiero późną wiosną. Lydia miała na sobie prostą czarną sukienkę. Dill włożył tani czarny garnitur, który wcześniej należał do ojca. Źle na nim leżał, ale nie aż tak źle jak wcześniej, zanim Lydia nie dokonała kilku szybkich poprawek. Przez chwilę huścali się w milczeniu. Siedzieli, dotykając się nogami, jakby każde z nich chciało przypomnieć drugiemu, że jest obok.

– Nie mogę spać – powiedział Dill. Właściwie niepotrzebnie. Jego twarz zdradzała więcej niż słowa.

– Ja też nie. Może przespałam w sumie z dziesięć godzin w ciągu tych trzech dni.

– Za każdym razem, gdy zasypiam, przypominam sobie. I od razu się budzę.

– Czasem, kiedy udaje mi się zasnąć, a potem się budzę, przez jakieś dziesięć sekund nie pamiętam. A potem znów pamiętam. Tak więc nie myślałam o tym w sumie przez jakieś czterdzieści sekund.

– Nie wyobrażam sobie, żebym jeszcze kiedyś miał się poczuć normalnie. Tak jak przedtem.

– Ja też nie. – Lydia westchnęła i spojrzała na telefon. – Chyba musimy ruszać.

– Bardzo nie chcę.

– Ja też nie.

– To znaczy, chcę tam być dla niego. Ale nie chcę iść na pogrzeb Trávisa.

– Wiem.

Podnieśli się i poszli. Dom pogrzebowy znajdował się tylko dwie przecznice dalej. Lydia martwiła się, co teraz będzie z Dilem. Kiedy tylko minęło pierwsze odrętwienie, pojawiło się właśnie to – troska. Poczucie winy, że go zostawia. Samego. Bez planu. Bez wsparcia. Bez celu. Zagubionego.

Przez chwilę stali przed wejściem, zbierając siły.

– Zaczekajmy, aż przyjdą moi rodzice – powiedziała Lydia.

Nagle zjawiła się niewysoka rudowłosa dziewczyna, mniej więcej w ich

wieku, ubrana w sukienkę z czarnego aksamitu. Płakała.

Dill pochylił się do ucha Lydii.

– To chyba Amelia. Travis pokazał mi jej zdjęcie któregoś wieczoru, kiedy u mnie spał.

– Travis spał u ciebie?

– Aha. Teraz mogę ci powiedzieć. Ojciec sprzął go tamtego wieczoru po spotkaniu z G.M. Penningtonem i wywalił go z domu. Próbował podrzeć książkę, a Travis mu się przeciwstawił i wygrał. Nie chciał, żebyś wiedziała, bał się, że naślesz gliny na jego tatę.

Twarz Lydii przybrała ponury wyraz.

– I miał rację. Tak bym zrobiła.

– Powinniśmy z nią porozmawiać. Travis dostał lekkiej obsesji na jej punkcie.

Podeszli niepewnie.

– Ty jesteś Amelia? – spytała Lydia.

Amelia wyglądała na zaskoczoną.

– Tak... a wy to Lydia i Dill?

– Zgadza się – odparła Lydia. – Miło cię poznać. Słyszeliśmy o tobie same pozytywne rzeczy. Jak się dowiedziałaś?

– Policja się ze mną skontaktowała. Byłam jedną z ostatnich osób, z którymi rozmawiał przed śmiercią. – Amelia otarła oczy. – Zabawne, ale Travis tyle o was opowiadał. A wyszło tak, że poznałam was, zanim poznałam jego. – Urwała. – To chyba niezbyt zabawne. Ale wiecie, co mam na myśli.

– Wiemy – odparła Lydia.

– Mieliśmy się spotkać i razem czytać *Nawałnicę śmierci*. Wybieraliśmy się też na Festiwal Renesansu. Chyba mieliśmy sporo planów.

– Po skończeniu szkoły mieliśmy razem wynająć mieszkanie – powiedział Dill.

– Travis dał mi do przeczytania swoje pierwsze opowiadanie – dodała Lydia.

– To ty zorganizowałaś spotkanie z G.M. Penningtonem? Travis mówił, że to był najlepszy wieczór w całym jego życiu. Prześlesz mi to opowiadanie, nad którym pracował? – poprosiła Amelia.

– Oczywiście.

Przez chwilę w milczeniu myśleli o wszystkim, co umarło wraz z Travisem.

Nadeszli państwo Blankenship, cali na czarno. Doktor, przygnębiony,

zupełnie jak nie on, pocałował Lydię w policzek i uściśnął dłoń Dillovi. Dill i Lydia przedstawili im Amelię. Doktor westchnął i spojrzął na zegarek.

– Cóż, chyba już czas. Idziemy?

Weszli do środka. Dom pogrzebowy pachniał starym drewnem, cytrynową pastą do mebli, białymi liliami i gardeniami. Przyszedł Hippię Joe. Nie przyjaźnił się z Travisem, ale Joe zawsze przychodził na tego rodzaju uroczystości. Zjawili się też kilku nauczycieli z warsztatów, na które uczęszczał Travis. Kilka osób, które Dill znał z widzenia z kościoła. Oraz, ku wielkiemu oburzeniu Lydii, grupa uczniów z Forrestville High, z których żaden nigdy zbytnio nie dbał o Trávisa ani nawet za dobrze go nie znał, ale zapewne dostrzegł w jego śmierci doskonałą okazję do dramatyzmu i patosu.

Ojciec Trávisa siedział z przodu, stoicki, z popielatą twarzą. Obejrzał się, lecz na widok Lydii i Dilla natychmiast znów się odwrócił. *Wie, że my wiemy.*

Za to matka Trávisa do nich podeszła. Do tej pory Lydia sądziła, że nikt nie może wyglądać na bardziej wstrząśniętego śmiercią Trávisa niż Dill i ona, lecz teraz musiała zmienić zdanie.

– Dziękuję wam, że przyszliście – powiedziała łamiącym się głosem. – Byliście dla mojego Trávisa dobrymi przyjaciółmi, na pewno by się ucieszył z waszej obecności.

– Kochaliśmy go – powiedział Dill przez łzy.

– Tak – dodała Lydia.

– Mama kazała przeprosić, że nie przyszła. Nie mogła wyrwać się z pracy – powiedział Dill.

Z przodu stała prosta sosnowa trumna. W środku zaś leżało coś, co wyglądało jak figura woskowa ubrana w tani niebieski garnitur – sztuczna, nierealna. Podeszli, przejeżdżając lękiem.

– Kocham cię, Travis – wyszeptał Dill, kapiąc łzami na marynarkę przyjaciela.

– Dill – powiedziała Lydia. Łzy płynęły jej po twarzy. – Obejmij mnie. Zasłoń mnie.

Kiedy ją przytulił, udała, że podtrzymuje się trumny i włożyła Travisowi za pazuchę zawiniątko, które utworzyło małe wybrzuszenie.

Potem do trumny podeszła zapłakana Amelia. Długo wpatrywała się w twarz Trávisa.

Zanim zajęli miejsca, wzrok Lydii przyciągnęła jedna z wiązanek, wyjątkowo piękna i bogata. Lydia odczytała karteczkę – podpisaną Gary

M. Kozłowski:

Rycerzu, spoczywaj, dumny w zwycięstwie, dumny w śmierci. Niech twoje imię stanie się światłem dla tych, którzy cię miłowali. Niech białe kwiaty wyrosną w miejscu twego spoczynku. Twoje życie było spełnione, a teraz posilasz się w halach Starszych na wiecznej uczcie.

31

Dill

Dill i Lydia stali nad grobem Trávisa, wpatrzeni w świeżą brązową ziemię, długo po tym, jak wszyscy pozostali rozeszli się do domów. Niebo było dziwnie, bezwzględnie błękitne.

– Dostał stronę z autografem G.M. Penningtona i swój naszyjnik ze smokiem – powiedziała Lydia, nie podnosząc wzroku.

– A więc to włożyłaś mu do trumny? A skąd miałaś te rzeczy?

– Poszłam do jego mamy. Oddali jej rzeczy Trávisa, między innymi podpisany egzemplarz *Bloodfall*. Wycięłam kartkę z autografem, wzięłam też naszyjnik. Kij by się nie zmieścił, inaczej też by go dostał. Ale mam go. Dam ci później. Nie zasługuję, żeby go zatrzymać, bo tyle razy dokuczałam Trávisowi z jego powodu.

– Zastanowimy się, co najlepiej z nim zrobić. Ciekawe, skąd Gary się dowiedział.

– Zadzwońłam do jego agentki. Powiedziałam, co się stało, i kazałam przekazać panu Kozłowski, że spotkanie z nim bardzo wiele znaczyło dla Trávisa. Prawdopodobnie była to najlepsza rzecz, jaka mu się przydarzyła w całym jego życiu.

– Ciekawe, czy taki byłby kiedyś Travis. Sławny, bogaty pisarz, który potrafi poświęcić czas na spotkanie z wielbiącymi go dziećmiakami.

– Gdyby Travis stał się sławny i bogaty, na pewno byłby taką osobą. W dniu, kiedy zginął, dał mi do przeczytania swoje opowiadanie.

– Czytałaś?

– Tak.

– Czy...

Lydia zaśmiała się przez łzy.

– Fatalne.

Dill zawtórował jej.

– Ale na pewno by się rozwinął, prawda? Zamierzał chodzić na zajęcia z pisania.

– No jasne, że tak. To była pierwsza próba. Gdyby dostał czterdzieści lat więcej, byłby równie świetny jak Gary.

Pozwolili sobie płakać przez kilka minut.

W końcu Lydia westchnęła i otarła oczy.

– Był dzielny.

– Jeden z najdzielniejszych ludzi, jakich znałem.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Chodźmy dokądś – zaproponowała Lydia. – W jakieś miejsce, gdzie poczujemy, że jesteśmy żywi i szczęśliwi.

Kolumna wchłaniała ciepło popołudniowego słońca. Dill musnął palcami słowa, które wypisał Travis – zdawało się, że lata temu. *Tak niewiele po sobie zostawiamy.* Usiedli, opierając się plecami o Kolumnę. Dill rozluźnił krawat.

– Z mowy pogrzebowej więcej można było się dowiedzieć o Jezusie niż o Travisie – stwierdziła Lydia.

Wygłosił ją pastor z kościoła, do którego chodzili Dill i Travis; była długa i mówiła o świetle i życiu, i zmartwychwstaniu, a niewiele o samym zmarłym.

– Trzeba przyznać uczciwie, że pastor nie znał go zbyt dobrze. A co można powiedzieć o kimś, kto żył zaledwie siedemnaście lat?

– O wnukach raczej nie da się wspomnieć – zgodziła się Lydia.

– Travis kochał Bloodfall, burgery z Krystal i swój kij, ale nigdy nie całował się z dziewczyną.

– Travis nigdy nie całował się z dziewczyną?

– A wspominał kiedykolwiek coś na ten temat? Zresztą z kim?

– Słuszna uwaga. Ale zdaje się, że zmierzał w odpowiednim kierunku.

– Na moim pogrzebie też niewiele dałoby się powiedzieć – stwierdził Dill. *Też nie całował się z dziewczyną. Nie miał odwagi powiedzieć tej, którą chciał pocałować, co do niej czuje. Nawet nie lubił burgerów z Krystal. Wygrał w szkolnym konkursie talentów. Nagrał kilka swoich piosenek, które miały pozytywne przyjęcie wśród tych, którzy obejrzeli je w sieci. Wykonywał godną pochwały pracę w sklepie Floyd's Foods, świetnie mył*

podłogę i rzadko pomijał jakiś fragment, otwierała się przed nim ścieżka kariery kierownika nocnej zmiany. Miał dwoje dobrych przyjaciół. Możliwe, że to z jego winy tata trafił do więzienia, przynajmniej tak uważała mama. Nie wykazał się nadmiernie w kwestiach wiary. Koniec.

– Uważam, że życie człowieka to coś więcej niż suma fragmentów – powiedziała Lydia. – Nie powinno się oceniać jego wartości miarą osiągnięć. Szczególnie w przypadku Trava.

Przez chwilę słuchali szumu rzeki. Dill zastanawiał się, czy istniała, zanim w tej okolicy zjawili się ludzie. Czy brzmiała wtedy tak samo. I jak będzie brzmiała, gdy ostatni ludzie znikną. *Rzeki nie mają pamięci, podobnie jak nie mają jej powietrze ani ziemia.*

– Jak myślisz, gdzie on teraz jest? – spytała cicho Lydia.

Po namyśle Dill odparł:

– Chciałbym powiedzieć, że w niebie. Prawda jest jednak taka, że nie wiem. Mam nadzieję, że w jakimś miejscu lepszym od tego.

– Czasem, kiedy o tym myślę, wpadam w totalną panikę. Wyobrażam sobie, jak Travis spada w przestrzeni. Spada i spada, i spada bez końca. W czarnej pustce, ale całkowicie świadom. Tej przestrzeni. Siebie samego. Wciąż ma wszystkie wspomnienia.

– Dopóki ma wyobraźnię.

– Tak. Zastanawiam się też, czy dla każdego z nas niebo to miejsce, do którego najbardziej chciałby pójść. Na przykład muzułmanie idą tam, gdzie czeka na nich Allah. A Travis pije miód z rogu czy coś w tym stylu.

– Mam nadzieję, że tak jest. Trudno mi uwierzyć, że wspomnienia Travisa, wszystko, co kochał, czym był, już nie istnieje. Po co Bóg miałby tworzyć cały świat w człowieku, by potem go zniszczyć?

– Nadal wierzysz w Boga?

Dill przez chwilę bawił się mankietem koszuli. W końcu odpowiedział:

– Tak. Ale myślę, że może stworzył to wszystko, a potem trochę się pogubił. Nie ma kontroli nad całym złem, które przydarza się ludziom, i nie potrafi go powstrzymać. – Przez chwilę zastanawiał się nad własnymi słowami. – A ty?

– Nie wiem. Chciałabym. Czasami wierzę. A czasami nie.

Powiew wilgotnego wiatru zmierzwił im włosy.

– Zastanawiasz się czasem, ile jeszcze wiosen zobaczysz w swoim życiu? – spytał Dill, odgarniając włosy z oczu. – Mamy siedemnaście lat, więc przy odrobinie szczęścia jeszcze sześćdziesiąt trzy. Tak?

– Nie myślałam o tym do tej pory. Ale teraz będę.

– Myślę, że odpowiedź brzmi zawsze: jeszcze jedną, aż wreszcie okaże się, że zero. I nigdy nie wiesz, kiedy to nastąpi.

Patrzyli, jak sęp zatacza leniwe kręgi w oddali, wzlatuje w kominie prądu, szybuje.

– Kiedy człowiek odchodzi, nic się nie zmienia – powiedziała Lydia. – Pory roku nadal następują po sobie. Rzeka dalej płynie. Sępy zataczają kręgi w powietrzu. Życie ludzi, których kochamy też się nie kończy. Czas biegnie dalej. Powstają nowe historie.

– Lydia?

Odwróciła się, przekrzywiając głowę i szukając wzrokiem twarzy Dilla.

– Wszystko w porządku?

Wbił wzrok w buty.

– Sam nie wiem. W tym momencie jestem jak odrętwiały. Ale czuję, że zbliża się ciemność. Tak jak widać nadchodzącą burzę. Słyszę głosy w tej ciemności. – Urwał, zebrał wszystkie siły. – Muszę powiedzieć ci coś na swój temat.

I opowiedział historię Króla Węży. Lydia bardzo starała się zachować spokój, a Dill widział to i doceniał, ale jej twarz zdradzała przerażenie.

Teraz już wiesz, kim jestem. Teraz widziałaś drogę, którą mi wyznaczono. Może siła mojego przeznaczenia jest tak wielka, że Travis musiał umrzeć, by je spełnić. Uciekaj. Uciekaj ode mnie, tak jak ludzie uciekali przed moim dziadkiem, Królem Węży.

Lydia przez kilka minut siedziała w milczeniu, oszołomiona.

– To, że rozpacz zniszczyła twojego dziadka, nie znaczy, że musi zniszczyć również ciebie – powiedziała w końcu. Dill wysłuchał w jej głosie nutę niepewności, chociaż bardzo próbowała ją ukryć.

Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

– Mam to we krwi. Każda komórka mojego ciała kryje w sobie truciznę, a kwas rozpaczy w moim mózgu rozpuścił wszystko, co do tej pory mnie przed nią chroniło. I teraz trucizna pływa swobodnie w moim ciele. Tak jak było z moim dziadkiem i z tatą.

Lydia wzięła Dilla za rękę.

– Posłuchaj mnie. Oni ulegli swojej ciemności. Ty nie musisz i chcę, byś obiecał, że nigdy jej nie ulegniesz.

– Nie mogę tego obiecać.

– Obiecuj, że mi powiesz, jeśli kiedykolwiek poczujesz, że za chwilę możesz jej ulec. – Przyłożyła dłoń do policzka Dilla, obróciła jego twarz w swoją stronę i popatrzyła mu prosto w oczy. – Dill, obiecuj mi.

– Wyjeżdżasz. Nie będzie cię tutaj.

Łzy wypełniły oczy Lydii, po czym zaczęły cieknąć strumieniami po twarzy i kapać na beton. Podjęła, teraz z większą stanowczością.

– Dill, wydam wszystkie oszczędności życia i wynajmę prywatny samolot, jeśli będzie trzeba. Zwiążę cię taśmą, porwę i zabiorę ze sobą. A teraz obiecuj.

Dill wziął wdech, głęboki i drżący, odwrócił wzrok i nic nie odpowiedział.

– Dill? – Lydia znów skierowała jego twarz w swoją stronę.

– Obiecuję – wyszeptał w końcu. *Nie wiem, czy mogę obiecać to, co właśnie obiecałem.*

– Powiedz to.

– Obiecuję, że powiem ci, jeśli poczuję, że się poddam.

– Przynajmniej obiecuj, że zanim rozważysz kapitulację, powiesz mi, ale również spróbujesz zamiast tego zrobić ze swoim życiem coś zupełnie niespodziewanego, ponieważ i tak nie będziesz miał nic do stracenia.

– Co na przykład?

– Cokolwiek. Pójdiesz na studia. Wstąpisz do cyrku. Będziesz mieszkał w tipi i chodził bez ubrania. Cokolwiek. Tylko żadnych węży czy trucizny.

– Obiecuję.

Siedzieli tak, niczym na warcie, jakby odprawiali rytuał. Aż niebo zabarwiło zachodzące słońce – zimowe światło umierającego dnia, krwisto-pomarańczowe – a cienie urosły. Dill przyglądał się Lydii kątem oka. Wiatr przyklejał jej włosy do twarzy. Nosila na sobie zachód słońca niczym koronę z płomieni. Młoda, piękna, jaśniejąca i pełna życia, trzymająca ciemność na dystans, nawet jeśli tylko przez ten krótki moment.

Lydia

Kiedy wróciła, tata siedział na kanapie, przeglądając album ze zdjęciami. Nadal miał na sobie garnitur i krawat. Usiadła obok niego i położyła głowę na jego ramieniu. Otoczył jej plecy ramieniem i pocałował we włosy.

– Oglądasz moje zdjęcia z dzieciństwa? – spytała.

– Aha.

– Od samego pogrzebu?

– Z małymi przerwami od czasu do czasu. Jak się czujesz, kochanie?

– Tęsknię za nim.

– Domyślam się. Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie bardzo. Serce mnie boli, tato. – Lydia otarła łzę z policzka, nim ta zdążyła spaść na ramię ojca.

– Mnie też. Gdybyś chciała pogadać, jesteśmy. – Przyciągnął Lydię bliżej do siebie, a ona wtuliła twarz w jego pierś. – Postanowiliśmy wychowywać cię w tym miejscu właśnie po to, byś nie musiała przeżywać tego rodzaju sytuacji. A jednak się stało. Idiota ze mnie. Trzeba było zamieszkać w centrum Manhattanu.

– Tato. Skąd mogłeś wiedzieć.

– Dokonaliśmy złych wyborów. Podjęliśmy złe decyzje. Próbowaliśmy. Chcę, byś o tym wiedziała. Próbowaliśmy wychować cię najlepiej, jak mogliśmy. Przepraszam.

– Wiem o tym. Gdybyście nie postanowili tu zamieszkać, nigdy nie poznałabym Tralisa. Tak jak sam mówiłeś.

– Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię stracił. Chyba nigdy bym się z tego nie otrząsnął.

– Nie stracisz mnie.

– Chcę, byś zawsze zachowywała ostrożność. Jesteś moim sercem.

– Dobrze.

Po chwili Lydia podniosła się, by pójść na górę.

Ale zdążyła zrobić tylko kilka kroków, gdy tata zawołał:

– Lydia!

Odwróciła się.

– Czy Travis nadal by żył, gdybym kupił wtedy od niego całe drewno? – Głos taty brzmiał pusto i obco, jakby zadawał to pytanie pod przymusem, za kogoś, kto nie chce znać odpowiedzi.

– Pytasz mnie, czy zabiłeś Trávisa?

– Tak.

– Nie, nie sędzę. Sędzę, że Trávisa zabili tamci dwaj, którzy go zabili. I uważam, że nie powinienes ich usprawiedliwiać, biorąc część winy na siebie.

Próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

– Dziękuję – powiedział cicho. A potem wrócił do przeglądania albumu, Lydia zaś poszła na górę.

Czuła się wyzuta z sił. Położyła się na łóżku i wbiła wzrok w sufit. Zabuczał telefon.

Eu, dramat z Patrickiem. Mam dosyć facetów z liceum, napisała Dahlia.

Lydia poczuła konkretną fizyczną odrazę z powodu banalności problemów Dahlii. Choć oczywiście Dahlia nic tu nie zawiniła. Lydia uświadomiła sobie, że jej nie poinformowała. Z jakiegoś powodu nikogo nie powiadomiła o śmierci Trávisa.

Nie mogę rozmawiać. Straciłam przyjaciela, napisała.

OMG, w sensie, umarł?

Tak.

OMG, tak mi przykro. Jak się czujesz?

Nie wiem.

Co się stało?

Cóż, Dahlia, nigdy o tym nie wspominałam (ani tobie, ani nikomu innemu), pomyślała Lydia, ale miałam przyjaciela. Nazywał się Travis Bohannon i sprzedawał drewno na opał, żeby zarobić dodatkowo na zajęcia z pisania i nowy komputer, ponieważ chciał tworzyć powieści fantasy. Ktoś

go zastrzelił dla stu dwudziestu trzech dolarów. Ale Travis kiepsko się ubierał, więc się go wstydziłam. Ta świadomość dodatkowo powiększa ból straty. Nagle Lydii przyszedł do głowy pewien pomysł.

Zajrzyj za jakiś czas na Dollywould, napisała.

A potem podeszła do biurka i zaczęła stukać w klawiaturę. Na moment się zawahała. Wiedziała, że wchodzi do jaskini lwa. Lecz musiała to zrobić.

Ten tekst to mowa pogrzebowa i wyznanie zarazem. Najpierw mowa.

Miałam przyjaciela. Nazywał się Travis Bohannon. Kilka dni temu, kiedy sprzedawał drewno na opał, dwaj mężczyźni zabrali mu pieniądze, by kupić narkotyki, postrzelili go i zostawili na pewną śmierć.

Travis był człowiekiem, który doskonale czuł się we własnej skórze. Był tym, kim był, i nigdy nie przejmował się, co inni o nim myślą czy mówią. A kiedy świat okazywał się dla niego za ciasny, rozszerzał go siłą własnej wyobraźni. Był jednym z najodważniejszych ludzi, jakich znałam. I jednym z najmilszych. Najhojniejszych. Najbardziej lojalnych. Kiedy obudziliście się tego ranka, pewnie nie poczuliście, że świat stał się uboższy, ale tak właśnie jest.

Travis zasłużył na naszą pamięć. Proszę, spójrzcie na jego twarz. Wiedźcie, że żył i był wspaniałym człowiekiem. I że będę za nim tęsknić.

A teraz wyznanie. Jestem zwykłą oszustką. Udaję to wszystko, czym Travis po prostu był: udaję, że dobrze czuję się we własnej skórze. Że jestem odważna. Anonimowość i dystans, które zapewnia Internet, pozwalają mi prezentować wam tę maskę. Ale dopiero teraz dowiadujecie się, że miałam przyjaciela nazwiskiem Travis Bohannon, ponieważ tak naprawdę jestem tchórzem. Travis nie był fajny w konwencjonalnym sensie tego słowa. Nie nosił super ciuchów i nie słuchał fajnej muzyki. Uwielbiał powieści fantasy. Nosił tandetny naszyjnik ze smokiem i wszędzie zabierał swój kij. Uważałam, że zaszkodziłby mojemu blogowi. Uważałam, że z takim przyjacielem wydam wam się mniej fajna, więc trzymałam go w tajemnicy. Ale koniec z tym. Wolę żyć autentycznie i przyjąć wszystkie związane z tym konsekwencje, niż żyć w kłamstwie. Travisie, wybac mi, proszę. Zasłużyłeś na lepsze traktowanie.

Zacisnęła pięści i zapłakała. A kiedy skończyła, przejrzała zdjęcia Trávisa z pamiętnej wyprawy do Nashville. Wybrała jedno, na którym patrzy w dal, oparty o kij.

Wtedy uważała, że Travis wygląda komicznie. Dziecko bawiące się w przebieranki. Ale kiedy umieściła zdjęcie na blogu, stwierdziła, że wygląda

majestatycznie. Szlachetnie. Królewsko.

Dokończyła post i zamknęła komputer. Nie bała się negatywnych reakcji. Wiedziała, że dostanie mnóstwo komentarzy pełnych miłości i wsparcia. Ludzie ustawią się w kolejce, by udzielić jej rozgrzeszenia. I właśnie łaski bała się najbardziej. Nie czuła się jej godna. Nie czuła się na siłach słuchać, że nie zrobiła nic złego.

Nawałnica śmierci wyszła trzy tygodnie po śmierci Trávisa i otrzymała niemal wyłącznie entuzjastyczne recenzje. „New York Times” napisał:

G.M. Pennington stanął wobec niezwykle wymagającego zadania, jakim było związanie dziesiątek rozszianych wątków serii Bloodfall, by doprowadzić całość do satysfakcjonującego zakończenia. Dzięki *Nawałnicy śmierci*, dziełu liczącemu tysiąc dwieście dwadzieścia osiem stron, osiągnął ten cel w sposób, który powinien zadowolić nawet najbardziej krytycznych i wymagających fanów. Napisana z wielkim rozmachem, imponująca wyobraźnią *Nawałnica śmierci* wyznacza nowe standardy w gatunku fantasy i na zawsze umacnia pozycję G. M. Penningtona jako amerykańskiego Tolkiena.

Doktor Blankenship wynajął prywatnego terapeutę, który miał spotykać się u nich w domu z Lydią i Dille. Po jednym z takich spotkań wybrali się we dwójkę do księgarni Riverbanks. Było ciepło, powietrze wypełniał słodkawy gnilny zapach odwilży i nadchodzącej burzy.

– Pomagają ci jakoś te spotkania? – spytała Lydia. Dill wyglądał na zdruzgotanego. Błady jak zjawa i niewyspany. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Wydawał się znacznie starszy niż w rzeczywistości.

– Trochę. Pewnie bez nich byłoby jeszcze gorzej.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Lydio?

– Tak?

– Uważasz, że Travis zginął przeze mnie? Bo moje nazwisko jest jak trucizna i wszystkim, którzy za bardzo się do mnie zbliżają, przytrafia się coś złego?

– Nie, Dill. Nie uważam tak. Ani trochę. Ale ty chyba tak?

– Czasami.

– W takim razie chcę, żebyś przestał. Natychmiast.

Mijali drzewa wypuszczające pąki i soczyście zielone trawniki za ogrodzeniami z giętego żelaza. Na grządkach kwitły krokusy, zonkile, bratki i hiacynty. Cały świat kipiał życiem.

Lydia zatknęła za ucho nieposłuszny kosmyk.

– A jak... ciemność?

Z daleka doszedł łoskot burzy.

– Zaplanowałaś to – powiedział Dill ze słabym uśmiechem.

Te słowa na chwilę ucieszyły jej serce.

– Przeceniasz moje możliwości, chociaż tylko trochę. I nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Jest.

– Pamiętasz, co obiecałeś?

– Tak.

Dotarli do księgarni i weszli do środka przy wtórze dzwoneczka. Pan Burson nie podniósł głowy znad książki, nie przerwał głaskania kota.

– Witam, witam, proszę się rozgościć i rozglądać się do woli. To nie biblioteka, lecz proszę wziąć krzesło i czytać wedle upodobania, zachęcam.

A potem zobaczył, że to Lydia i Dill. Mina mu zrzędała.

– O rany – mruknął, odkładając książkę. – Bardzo... bardzo mi przykro. Wiadomość o śmierci Trávisa mną wstrząsnęła. Był wspaniałym młodym człowiekiem.

– Tak – powiedziała Lydia.

– Jak można postąpić tak jak tamci dwaj? Zabić chłopca dla pieniędzy? – Odwrócił wzrok. Potrząsnął głową. Podbródek mu drżał. – Jesteśmy upadłym gatunkiem, plujemy na dar zbawienia. Ludzkości nie da się ocalić.

– Przyszliśmy po *Nawałnicę śmierci*, specjalne zamówienie Trávisa.

– Tak, tak. Oczywiście. – Pan Burson miał obcy, pusty głos. Podniósł się z krzesła i poczłapał do magazynu. Po chwili wrócił z grubym tomem w rękę.

– Szkoda, że nie zdążył przeczytać. Nie mam już z kim rozmawiać o Bloodfall.

Lydia wyjęła portfel z torby. Pan Burson uniósł rękę.

– Robisz to, co mi się zdaje, że robisz?

– Tak – odparła.

– Weź książkę. To ode mnie. To straszne, że nie mogłem przyjść na pogrzeb Trávisa. Byłem akurat w podróży służbowej do Johnson City.

– Miło z pana strony – odparła Lydia. – Ale Travis kochał to miejsce i na

pewno chciałby je wesprzeć. Proszę, niech zrobi to po raz ostatni.

Pan Burson po namyśle odparł:

– Skoro tak.

Zapłacili i skierowali się do wyjścia.

– Mam dosyć wielu rzeczy – powiedział pan Burson, z trudem zachowując panowanie nad sobą. Odwrócili się. – Mam dosyć patrzenia, jak giną dzieci. Mam dosyć patrzenia, jak świat miażdży dobrych ludzi. Mam dosyć tego, że żyję dłużej od tych, którzy powinni umrzeć po mnie. Poświęciłem życie książkom, ponieważ pozwalają mi uciec od świata zła i okrucieństwa. Musiałem powiedzieć to głośno komuś więcej niż kotom. Proszę, uważajcie na siebie, młodzi przyjaciele.

– Będziemy uważać – odparła Lydia. *Przynajmniej spróbujemy. Świat ma czasem inne pomysły.* A potem wyszli.

Na zewnątrz, pod ciemniejącym niebem, Dill wydawał się jeszcze bledszy i wymizerowany niż zwykle. Sprawiał wrażenie kruchego, nierzeczywistego. Jakby zaraz miał zniknąć. Jakby robił się coraz mniejszy. Jakby się rozpadał. A ona mogła tylko patrzeć – bezsilna i bezradna.

Poszli na cmentarz, by zanieść książkę Travisowi. Ciepły podmuch nadchodzącej burzy zwiewał na drogę białe kwiaty, martwe i piękne.

Dill

Terapeuta zasugerował, że Dill powinien spróbować skanalizować ból po stracie za pomocą twórczości. A więc próbował. Usiadł na kanapie, z niemal czystą kartką przed sobą. Ale muzyka zdawała się leżeć pogrzebana gdzieś głęboko w jego wnętrzu. Bezsensownie brzdąkał na gitarze. Ten sam akord, raz po raz od nowa. Potem wściekle walił w struny, jakby w ten sposób chciał wydobyć z siebie muzykę. Jakby mógł ekshumować ją siłą.

Jedna ze strun pękła z przejmującym chrobotliwym „sprząk”. Nie wymieniał strun od konkursu. Przez chwilę wpatrywał się w gitarę, po czym rzucił ją na kanapę. Odchylił się na oparcie i zapatrzył w okno, na ciemniejące niebo. Zastanawiał się, czy napisać do Lydii, ale uznał, że to zbyt wielki wysiłek. *Poza tym chyba muszę przywyknąć, że nie ma jej przy mnie w takie wieczory jak dzisiaj.*

Zamiast tego próbował wyobrazić sobie swoje życie za rok. Próbował wyobrazić sobie, że z jakiegoś powodu mógłby odczuwać szczęście czy nadzieję. Próbował wyobrazić sobie jakiś kolor prócz szarości. Próbował tak przez chwilę, aż wreszcie uznał, że równie dobrze może się położyć, przynajmniej istniała jakaś szansa, że nic mu się nie przyśni.

Kiedy się podniósł, zauważył, że przed ich dom zajechał samochód. To był ford mamy Trávisa. Przyglądał się, jak pani Bohannon wysiada i niepewnie podchodzi do drzwi, mocno opatulając się płaszczem i rozglądając się na boki.

Dill nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tu zaglądała. Dziwne.

Włączył światła na ganku i otworzył, nim zdążyła zapukać. Stała w drzwiach, z lekko rozchylonymi ustami, jakby Dill ograbił ją z kilku

ostatnich sekund, których potrzebowała, by wymyślić, co ma powiedzieć.

– Dill.

– Dobry wieczór, pani Bohannon. Czy... zechce pani wejść?

Uśmiechnęła się niepewnie. I nieprzekonująco. Chyba miała na sobie grubą warstwę makijażu – znacznie obfitszą niż zwykle – a jej oczy były czerwone.

– Mogę? Mama w domu?

Dill odsunął się na bok i ruchem ręki zaprosił ją do środka.

– Jeszcze w pracy. Wróci najprędzej za pół godziny. Chciała pani się z nią zobaczyć?

Pani Bohannon przestąpiła próg i przygładziła włosy, a Dill zamknął drzwi.

– Nie, nie. Właściwie to z tobą chciałam się zobaczyć.

– O-o. Rozumiem. Zechce pani usiąść? – Dill pospiesznie przesunął gitarę.

– Może na minutkę. Nie mogę długo zostać. – Usiadła i wzięła głęboki wdech. – Jak się miewasz, Dill?

– Ja... – Już zamierzał powiedzieć, że w porządku. Ale nie mógł. W oczach pani Bohannon było coś takiego, surowego i zranionego, że nie potrafił skłamać. – Nie jest dobrze. Nie czuję się dobrze. Od czasu... Trvisa.

Jej oczy wypełniły się łzami. Odwróciła wzrok, szybko mrugając powiekami. Potem znów spojrzała na Dilla.

– Ja też nie. Chciałam porozmawiać z kimś, kto go znał. I zobaczyć, jak się miewasz. I podziękować, że byłeś dla niego takim wspaniałym przyjacielem. Wiem, że miał niewielu przyjaciół. Dzieci bywają okrutne dla tych, którzy są inni, a on był inny. Gadam bez sensu. Przepraszam.

– Niepotrzebnie. – Dill poczuł, że się dławi.

Pani Bohannon wydała z siebie mimowolny szloch, przycisnęła rękę do ust.

– Staralam się jak mogłam być dla niego dobrą matką.

– Wiem. Mówił, że jest pani dobrą matką.

Opuściła głowę i zakryła oczy, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy wreszcie uniosła głowę, tusz do rzęs spływał po jej twarzy czarnymi strumieniami.

– Raz, Travis miał chyba jakieś sześć lat, pojechaliśmy z wizytą do mojej siostry w Louisville. W pewnej chwili minęliśmy leżący na drodze but. Travis wykrzyknął: „Mamo, ten but na pewno czuje się samotny!”. Tak strasznie się przejął, że zaczął płakać. Oczywiście Clint i Matt uznali, że to najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszeli. Śmiali się i śmiali. Ale nie perfidnie. Clint był wtedy milszy. Po prostu nie rozumieli. Taki był mój

Travis. Mam w pamięci mnóstwo tego rodzaju historyjek. – Pani Bohannon wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła oczy.

– Zupełnie w stylu Trávisa.

– Zawsze myślałam, że Matt to ten silny i odważny, a Travis miły i łagodny. Ale w ostateczności okazało się, że Travis był tak samo miły i łagodny, jak silny i odważny. – Urwała. – A teraz obu nie ma. Już nie jestem matką.

Dill i pani Bohannon patrzyli na siebie w milczeniu. Potem objęli się i trwali tak, wydawało się, co najmniej godzinę, płacząc.

W końcu pani Bohannon wzięła głęboki wdech i otarła oczy. Spojrzała na zegarek.

– Lepiej już pójdę. Dziękuję, Dill. Za dzisiaj. I za wszystko. Domyślam się, że to tutaj Travis mieszkał, kiedy...

Dill kiwnął głową.

– Nie ma za co. – Odprowadził ją do drzwi.

Pani Bohannon ruszyła w stronę samochodu. Dill dostrzegł w świetle na ganku, że samochód jest niedbale zapakowany torbami, ubraniami i paczkami. I zrozumiał.

– Pani Bohannon?

Odwróciła się, a po jej twarzy spływały łzy.

– Więcej się nie zobaczymy, prawda? – zapytał.

Pokręciła głową.

– W takim razie mam coś dla pani. – Dill wrócił do środka, poszedł do swojego pokoju i chwycił kij Trávisa.

Kiedy wrócił, pani Bohannon nadal ocierała łzy. Makijaż rozmazał się na tyle, że pokazały się siniaki.

Dill podał jej kij Trávisa. Pani Bohannon uśmiechnęła się przez łzy. Chciała mu podziękować, ale nie mogła wydusić słowa. Dotknęła jego twarzy, po czym przyłożyła rękę do serca.

– Powodzenia, pani Bohannon.

– Dziękuję, Dill – wyszeptała. – Ja również życzę ci powodzenia. – Delikatnie ułożyła kij na fotelu pasażera, wsiadła i odjechała.

Dill nie mógł zasnąć tej nocy, rozmyślał o wyjazdach i sposobach ucieczki od bólu. Zazdrościł pani Bohannon.

Rano nie mógł podnieść się z łóżka. I nawet nie próbował.

Usłyszał pukanie do drzwi, ale nie mógł zebrać sił, by odpowiedzieć. Po

chwili matka weszła do pokoju.

– Dillard?

– Co?

– Dlaczego jeszcze nie wstałeś? Masz szkołę.

– Dzisiaj nie idę.

– Jesteś chory?

– Nie mam ochoty.

– Powinieneś iść.

– Dlaczego? I co to cię obchodzi? Przecież chciałaś, żebym zrezygnował. – Przekręcił się na bok, by na nią nie patrzeć.

– To prawda. Ale się uparłeś. Zobowiązałeś się. A więc dotrzymaj zobowiązania. W tym domu dotrzymuje się zobowiązań. Nie jesteśmy bogaci, ale nie łamiemy danego słowa.

– Nie dzisiaj. To zły dzień na dotrzymywanie zobowiązań.

Jej głos nabrał nietypowo łagodnych tonów.

– Czy chodzi o Trávisa?

Dill obrócił się na plecy i spojrzał na nią.

– Nie, chodzi o moje życie. A Travis jest częścią tej smutnej historii. Ludzie mnie opuszczają. Tak już jest.

– Jezus cię nie opuścił. On zawsze jest z tobą. Zostaliśmy obdarzeni łaską, nie możemy się smucić.

Dill zaśmiał się z goryczą.

– O tak. „Obdarzeni łaską” – to pierwsze, co przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o naszym życiu.

– Wiem. Każdego z nas spotykają próby. Sądzisz, że nie pytałam Boga: „Dlaczego ja?”. Odpowiedź zawsze brzmi tak samo. A dlaczego nie ja? Niby czemu moje życie miałoby być wolne od bólu i cierpienia, gdy Chrystus tyle dla nas wycierpiał?

– Cieszę się, że w twoim przypadku to działa.

– Martwię się o ciebie, Dillardzie. Jak nigdy dotąd. Nigdy nie widziałam cię w takim stanie, nawet kiedy odebrano nam twojego ojca.

Dill nic nie powiedział.

– Pomyśl, co by się stało, gdybym to ja pewnego dnia postanowiła nie wstawać z łóżka – dodała matka.

– Wcale bym cię nie winił. Może żadne z nas nie ma powodów, by wstawać z łóżka.

Po chwili milczenia matka odparła:

– Wstaję każdego ranka, bo nigdy nie wiem, kiedy będzie mi dane doświadczyć jednej z drobnych łask, którymi obdarza nas Pan. Może podczas sprzątanego pokoju znajdę dolara napiwku. Może na stacji będzie spokojna noc i dostanę pieniądze za samo siedzenie i oglądanie zachodu słońca. A może akurat tego dnia nie będzie tak bolało. Jakim cudem jest każdy dzień. Widzieć, jak Boży duch unosi się nad obliczem naszego życia, tak jak unosił się nad wodami w ciemnościach sprzed Stworzenia.

– Bóg mnie opuścił.

– Nieprawda. Przysięgam.

– Dzisiaj tak.

– Pomodlisz się ze mną, Dillardzie?

– Nie.

– W takim razie ja pomodlę się za nas oboje.

– Bardzo proszę.

– Jezus zna nasze troski. Sam ich posmakował. Pił z kielicha goryczy.

– No to już wie, że dzisiaj nie wstanę z łóżka.

Lydia

Lydia siedziała w samochodzie i znów próbowała dodzwonić się do Dilla. Po raz piąty i ponownie bez skutku. Potrząsnęła głową i zapatrzyła się na zniszczony budynek, wypatrując jakiegoś ruchu w środku. Nic. Samochodu matki nie było. Ale dom nie robił wrażenia pustego. Lydia spojrzała na zegarek. Szkoła zaczynała się za piętnaście minut.

Dill, gdzie jesteś? Jakoś wątpię, że wstałeś skoro świt i poszedłeś pieszo do szkoły.

Westchnęła, uruchomiła silnik i już miała wrzucić bieg, ale jednak się rozmyśliła.

Może innym razem. Może normalnie bym po prostu odjechała. Skontaktowałam się z nim jutro. Dałam mu ochrzanić za to, że niepotrzebnie przyjechałam. Ale to nie jest normalny czas. Nie wiedziałas, że ojciec Traversa wybił mu zęby. Nie możesz pozwolić, żeby Dill wykrwawił się na śmierć czy zadławił własnymi wymiotami.

Wysiadła z panicznie walącym sercem i prędko podeszła do wejścia. Zapukała, przez chwilę czekała na znaki życia. Nic. Znow zapukała, głośniejsze. Wciąż nic. Odwróciła się i ruszyła z powrotem do samochodu.

To nie jest normalny czas. To nie jest normalny czas.

Serce pulsowało. Zebrała się w sobie, zawróciła. Rozejrzała się dokoła, obejmując wzrokiem nieszczęsne, popadające w ruinę domy w sąsiedztwie. Wydawało się mało prawdopodobne, by któryś z ich mieszkańców się zainteresował, że ktoś wchodzi nieproszony do domu Earlych.

Na próbę przekręciła luźną, rozklekotaną gałkę. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. W nozdrza uderzyła ją woń zatęchłych dywanów i starego chleba.

Tak śmierdzi rozpacz. Nigdy wcześniej nie była w domu Dilla. Nigdy jej nie zapraszał. Przeciwnie, zawsze bardzo pilnował, żeby nie mogła choćby zajrzeć do środka. Nietrudno było zrozumieć dlaczego. Wyglądało to znacznie gorzej, niż sobie wyobrażała – nie żeby wyobrażenia na temat domu Dilla kiedykolwiek sprawiały jej przyjemność.

– Dill? – zawołała. Jej głos zanikł, stłumiony w ciasnocie zakurzonego salonu. Weszła do środka, ostrożnie stąpając w szarym świetle, jakby podłoga zaraz miała zapaść się pod jej stopami.

– Dill? – Zajrzała do sypialni. Na spartańskie umeblowanie składały się starannie zasłane łóżko, makatka z wyhaftowanym krzyżykami cytatem z Biblii, nocny stolik z leżącą na nim Biblią i właściwie niewiele więcej. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Podłoga skrzypiała pod jej krokami. Szumiało w uszach. Wnętrze ciała płonęło adrenaliną. Strach jak kwas wypalał gardło. Narastała zimna panika.

Lydia wyciągnęła rękę, zawahała się, zapukała delikatnie.

– Dill? Hej, stary. Szkoła. Dill? – Cisza. Starła się, by jej głos brzmiał mocno i beztrosko. – Hej, Dill, jeśli walisz konia, to lepiej przestań, bo wchodzę. To by było bardzo żenujące dla nas obojga. – Cisza.

Proszę. Proszę. Proszę. Niech wszystko będzie dobrze. Proszę. Nie możesz umrzeć w tym okropnym miejscu.

Obróciła gałkę i pchnęła drzwi. Opadły na złamanym zawiasie i zablokowały się na dywanie.

– Dill? – Lydia pchała drzwi bez skutku, dopiero po chwili stwierdziła, że trzeba je podnieść za gałkę i wtedy pchnąć.

Rozejrzała się po mrocznym wnętrzu. Wokół brzegów zaciągniętych rolet pełgało nieco światła rozjaśniającego kształt na łóżku. Dill leżał nieruchomo, bez koszuli, plecami zwrócony do drzwi. Pod skórą wyraźnie rysowały się wszystkie kości. Wydawał się taki drobny. Kiedy Lydia dostrzegła, że oddycha, jej serce nieco zwolniło.

– Dill? – Podeszła powoli, potknęła się o but Dilla i szybko odzyskała równowagę. Przysiadła na brzegu, wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła ramienia Dilla. Był ciepły. Ucieszyła się.

– Co? – powiedział Dill. Głos miał kamienny i bezbarwny.

– Martwiłam się o ciebie. Nadal się martwię. Dobrze się czujesz?

Dill wciąż wbijał wzrok w ścianę.

– Doskonale, jak nigdy.

Lydia roześmiała się z przymusem.

– To chyba głupie pytanie, co?

– Aha.

Oczy Lydii po chwili przywykły do półmroku. Powiodła wzrokiem dokoła. Ciuchy Dilla – które sama pomagała mu wybrać – zwisały z wysuniętych szuflad komody i leżały rozrzucone na podłodze, wraz z kulami zwiniętych kartek, być może wyrwanych z notesu, w którym zapisywał piosenki. Gitara stała niedbale wciśnięta w kąt, jedna ze strun zwisała, zerwana.

Krok pierwszy: skłonić Dilla, by opuścił ten pokój, bo sama mam ochotę popełnić w tym wnętrzu samobójstwo, a jestem tylko umiarkowanie przygnębiona.

Lydia znów dotknęła jego ramienia i lekko nim potrząsnęła.

– Hej, hej. Chodźmy gdzieś. Nie musi być szkoła. Chodźmy popatrzeć na pociągi albo pod Kolumnę czy coś.

– Nie.

– Pojedźmy na wycieczkę. Dokąd byś chciał? Nashville? Atlanta? Pojedźmy do Memphis, zobaczymy Graceland.

– Nie.

– Okej, ty coś zaproponuj.

– Chcę tu leżeć.

– Słaba impreza.

– Pewnie tak.

To prowadzi donikąd. Lydia znów położyła dłoń na ramieniu Dilla, zastanawiając się nad kolejnym krokiem.

– Widziałem się wczoraj z mamą Trávisa.

– Jak ona się trzyma?

– Nie za dobrze. Wyjeżdżała.

– Jak to? Tak całkiem?

– Aha.

– Ale chyba nie z koszmarnym tatką Trávisa.

– Nie.

– Wow. To dobrze. Mówiła, dokąd się wybiera?

– Nie. A ja nie pytałem. Dałem jej kij Trávisa.

– To dobrze.

Znów zapadła cisza, przerywana jedynie trzaskami wydawanymi przez stary dom.

– Ja też tęsknię za Travisem, Dill. Każdego dnia.

– Nie chodzi tylko o Travisa.

– Wiem.

Dill przekręcił się na plecy i spojrzał na Lydię.

– Zostań – powiedział cicho.

– Dobra, ale naprawdę uważam, że lepiej się poczujesz, jeśli spróbujesz wstać i dasz się dokądsz zabrać.

– Nie to mam na myśli. *Zostań*. Proszę.

Poczuła, jak wielka pięść ściska jej żołądek.

– Dill. Ja...

– Powiesz, że nie możesz. Ale to nieprawda. Możesz. Ale nie zostaniesz.

Nie to. Nie teraz. Obiecałeś. To znaczy, może niekonkretnie to. Ale to zawierało się w obietnicy. Spojrzała Dillowi prosto w oczy. Były szklane i puste.

– Nie zostanę. Nie zostanę, ponieważ nie mogę.

– Możesz wszystko, co zechcesz. Możesz zostać.

– Dill, proszę. To nie w porządku. Nie zostanę. Ty wyjedź. Wyjedź jak ja. Wyjedź jak mama Travisa.

– Ja...

– Tak, tak, wiem. Nie możesz. Ale to bzdury. Możesz. Tylko nie chcesz.

– Nie mogę. Nie mogę nawet wstać z łóżka.

– Wyjedź ze mną. Do Nowego Jorku. Możesz spać u mnie na kanapie. Znajdziemy ci pracę. Będę cię zamęczać Biblią i wywoływać w tobie poczucie winy, żebyś czuł się jak w domu.

– Nie. – Jego głos miał w sobie ponurą determinację.

– Nie zamierzam tak łatwo się poddać.

Dill znów obrócił się na bok. Lydia chwyciła go za ramię i próbowała delikatnie odwrócić w swoją stronę.

– Dill...

Odepchnął jej rękę.

– Zostaw – szepnął. – Chcę być sam.

– Na pewno nie powinieneś być teraz sam.

– Jasne. Ale mogę zacząć się przyzwyczajać. IDŹ. – Dill jeszcze nigdy nie zwracał się do niej tak ostrym tonem.

– Nie. – Starła się, by jej głos nie zdradzał strachu i bezradności, które ją wypełniały.

– *Idź! – krzyknął. – Zostaw mnie!*

Podniosła się, chwyciła go za ramię i obróciła na plecy. Starła się zapanować nad drżeniem głosu, ale bez większego powodzenia. Dźgnęła jego nagą pierś palcem wskazującym.

– Okej. Wiesz co? Jesteś beznadziejny. Jesteś niesprawiedliwy. I jeśli sądzisz, że pozwolę ci tonąć i nic z tym nie zrobię, to bardzo się mylisz. Dzisiaj pozwolę ci pogрузić się w rozpacz, bo czasem człowiek tego potrzebuje, ale uwierz mi: zamierzam przypilnować, żebyś dotrzymał złożonej obietnicy. I naprawimy tę zerwaną strunę. Zapamiętałeś?

– Tak. A teraz idź.

– Czy wiesz, jak bardzo mnie ranisz? A gdyby coś ci się stało, byłabym zraniona sto... milion razy mocniej.

Dill nie odpowiedział. Obrócił się na bok. Lydia patrzyła na niego, zastanawiając się, co by tu jeszcze powiedzieć. Szukając słów, które mogłyby wszystko naprawić. Idealnego żartu. Dowcipnej repliki. Przenikliwej uwagi. Ale tym razem jej umysł był wyjątkowo jałowy.

Odwróciła się i wyszła. W salonie na chwilę przystanąła, raz po raz zaciskając i rozkurczając pięści. Brała głębokie wdechy i próbowała się nie rozpłakać.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, poczuła się tak, jakby przetoczyła wielki głaz zamykający wejście do grobowca.

Leżała na łóżku, totalnie wyczerpana, ciężka jak ołów. Szkoła była do dupy. Wszystko było do dupy. Wpadła na pomysł, że włączy ulubioną muzykę, żeby się uspokoić – jedno z nagrań Dilla – lecz nagle przypomniała sobie, że jednak powinna coś jeszcze zrobić.

Wiedziała, że Dill nie cierpi esemesów, bo na jego przestarzałym telefonie z kłapką pisze się bardzo niewygodnie. Ale i tak wysłała wiadomość, ponieważ brzmienie jego szarego głosu wywoływało ból w jej sercu. *To był koszmarny dzień. Muszę wiedzieć, czy u ciebie przynajmniej ok., albo zacznę krzyczeć i rozwalać wszystko dokoła.*

Kilka sekund później: *Chyba ok.*

35

Dill

Ale nie było to prawdą. Ciemność narastała. Dzień po dniu trucizna rozprzestrzeniała się po jego ciele i dusiła go.

Sen nie pomagał. Nie przynosił odpoczynku. Dillowowi śniły się węże. Wizje, w których brał je do rąk i pozwalał, by oplotły się wokół ramion i szyi. W których nosił ich skóry, czaszki i zęby; brudny, zarośnięty, śmierdzący padliną – porzucona ludzka skorupa. Śnił, że mija na ulicy Lydię wracającą do domu z uczelni, patrzy na nią martwymi oczami, a żadne z nich nic nie mówi.

W snach pojawiał się również Travis, snuli plany o wspólnym domu i dwóch stojących obok siebie biurkach, a potem budził się i przez chwilę nie potrafił odróżnić, czy to był sen, czy jawa. Śnił też, że Lydia jednak postanawia zostać. A potem budził się i wiedział, że jest o dzień bliżej utraty jedynej rzeczy, która mu została.

Lydia patrzyła na niego oczami, które mówiły, że ona wie, iż on się oddala, znika jak mgła w porannym słońcu. A ona nic nie może na to poradzić. Spędzał większość czasu w samotności. Nie odpowiadał na jej telefony. Przebywanie w towarzystwie Lydii – ze świadomością, że czas pozostały do jej wyjazdu mija bezlitośnie – tylko pogarszało sprawę. Kiedy się spotykali, zabierała go na oglądanie pociągów, on jednak nie mógł znieść ich energii i żywotności. Nie miał na to miejsca.

Mama próbowała dotrzeć do niego poprzez Biblię, przypominając mu o dziełach Jezusa. Bez skutku. Zresztą i tak nie miała za bardzo czasu, by się nim zajmować.

Wszystko zdawało się bezbarwne i jakby przyciszone. Dźwięki, które docierały do jego uszu, brzmiały jak przez gruby wełniany koc. Nie miał w sobie muzyki. Za każdym razem, kiedy zdarzyło mu się usiąść do pisania,

kończył nad wciąż białą pustą kartką. Palce nie potrafiły utworzyć akordów na strunach gitary. Głos go opuścił. Lydia pokazywała mu rosnące liczby lajków i obejrzeń pod jego nagraniami, ale to nie pomagało.

Jedzenie było bez smaku. Czuł wyłącznie wszechogarniającą zapiekłą rozpacz, jak sadzę na języku. Przestał chodzić na spotkania z psychologiem.

Przemykał przez kolejne dni jak duch. Życie wydawało się całkowicie zbędne, bezsensowne i nieprzyjemne. Jak styropian na szkle. Silnik pozbawiony oleju. Zgrzytające koła zębate, łamiące się zęby, rozpad. Zgliszcza. Śmiertelne zmęczenie.

Wstawał, jechał z Lydią do szkoły. Próbowwała zagajać rozmowę, ale przeważnie milczeli. Liczył minuty do końca lekcji, na niczym nie mógł się skupić. Potem szedł do pracy i wykonywał swoje obowiązki jak w sennej mgle. Wracał do domu i szedł spać, najwcześniej jak to możliwe, żeby nie musieć rozmawiać z matką. Ona też wiedziała, że go traci. Widział to w jej twarzy. Kolejna rzecz, która sprawiała mu ból. Wiedział, że matka się za niego modli, a nie chciał stać się kolejną niewysłuchaną modlitwą.

Nad wszystkim zaś spoczywał miazdzący ciężar przeznaczenia. Wyniszczająca świadomość, że jego życie płynie według odwiecznego, z góry wyznaczonego planu, zapisanego w jego krwi, wbudowanego w architekturę jego nazwiska. Coś potwornego i nieuniknionego.

Pewnego dnia pod koniec marca obudził się i zastanawiał, czy jeszcze kiedyś będzie szczęśliwy. Przynajmniej dzień był słoneczny. Świat buchał zielenią, tworząc kontrast z wyniszczeniem i pustką w jego wnętrzu.

Poszedł do Bertram Park, by popatrzeć na pociągi. Długo musiał czekać. Potem poszedł do Kolumny i wspiał się na nią. Miał na sobie ulubione ubranie, które kiedyś wybrała dla niego Lydia.

Usiadł, opierając się plecami o listę wypisanych jego ręką rzeczy, które kiedyś kochał. Przymknął oczy, czuł słońce na twarzy. Obserwował świetlne wzory po wewnętrznej stronie powiek i zastanawiał się, czy ma coś jeszcze do stracenia – czy istnieje jakikolwiek powód, by zostać. Ale nie.

Czy Lydia będzie za nim tęsknić, tak jak on tęskniłby za nią? Raczej nie. Czy przynajmniej wybaczy mu, że złamał obietnicę? Miał taką nadzieję.

Zastanawiał się, czy zobaczy Trávisa. Miał nadzieję.

Zastanawiał się, czy rodzicom będzie go brakować. Może zarabianych przez niego pieniędzy, ale raczej nie jego samego.

Zastanawiał się, czy wszystko mogłoby ułożyć się inaczej, gdyby miał w sobie więcej wiary, nosił inne nazwisko, urodził się w innych okolicznościach. Nie wiedział.

Zastanawiał się, dlaczego czuje się tak, jakby Bóg go opuścił. Nie istniała odpowiedź na to pytanie. Czy obrazi Boga tym, co zamierza zrobić? Czy Bóg w ogóle zauważy? Było mu wszystko jedno.

Spojrzał w dół, na rzekę, i przypomniał sobie dzień swego chrztu.

Ma osiem lat, jest ubrany w białą koszulę i czarne spodnie od garnituru, obie rzeczy o wiele za duże. Ojciec powiedział mu, że kroczy śladami Jezusa, którego Jan Chrzciciel ochrzcił w rzece Jordan. Dill czuje szczęście, że kroczy śladami Jezusa, chociaż jeszcze większe szczęście niesie świadomość, że ojciec jest z niego zadowolony.

Ojciec mówi, że chrzest symbolizuje śmierć, pogrzeb i odrodzenie jako ucznia Chrystusa. Tłumaczy, że chrzest zmyje jego grzechy. Brzmi nieźle, chociaż Dill skrycie wie, że nie zdążył za wiele nagrzeszyć.

Członkowie kongregacji stoją wzdłuż brzegu, śpiewając *Cudowną bożą łaskę*, a Dill niepewnie wchodzi do wody. Jego stopy zapadają się w błotniste dno, próbuje dotrzeć do ojca, który czeka na niego uśmiechnięty. Rzeka obmywa łydki Dilla, kolana, uda, w końcu talię. Zdaje się żywa, jak wąż.

Ojciec bierze go za rękę, zanurza całkowicie w mętnej wodzie, po czym prędko wyciąga. Dill ociera twarz, a kiedy woda wypływa z uszu, dochodzące z brzegu oklaski przybierają na sile. Ojciec przytula go. Dill wraca na brzeg, wysokim jasnym głosem śpiewając *Jezus mym przyjacielem*.

Czuje się oczyszczony. Jakby rzeka zabrała wszystkie troski.

Teraz zatęsknił za tamtym uczuciem. Zastanawiał się, czy mętny nurt i tym razem uniesie jego smutki. A potem przypomniał sobie, kiedy jeszcze czuł się taki czysty i wolny: stojąc na scenie podczas konkursu talentów i patrząc prosto w oczy Lydii.

Począł, aż słońce zajdzie, a niebo przybierze odcień indygo, aż pokaże się na nim pierwsza gwiazda.

Wtedy wstał, zebrał całą odwagę i postanowił zakończyć obecne życie i zaryzykować nowe.

36

Lydia

Pukanie do drzwi stawało się coraz bardziej natarczywe.

– Chwileczkę – zawołała Lydia. – Sekunda.

Znowu.

– Spokojnie, Jezu!

Podeszła do drzwi, otworzyła je i jej serce natychmiast przyspieszyło.

– Wszystko w porządku? – spytała.

W progu stał Dill. Jego twarz znaczyły ślady łez.

– Jestem tu, ponieważ złożyłem ci obietnicę. Muszę wyjechać i pójść na studia, bo inaczej umrę. Ale nie dam rady bez twojej pomocy.

Objęła go i wyściskała jak jeszcze nigdy dotąd. O mało nie połamała sobie okularów na jego policzku. Zmoczyła szyję Dilla łzami radości.

– Kochanie? Wszystko w porządku? – W korytarzu pojawił się doktor Blankenship. – Dill?

Lydia wypuściła Dilla z uścisku i zaczęła wachlować się ręką, szybko łapiąc oddech i próbując chociaż trochę odzyskać panowanie nad sobą.

– Tak, jak najbardziej. Tato, dzisiaj chyba nie kładziemy się spać. Dill wybiera się na studia, a ponieważ dość późno podjął decyzję, to trochę nam się spieszy.

– Potrzebujecie kawy. Najprzedniejszego gatunku. I w bardzo dużej ilości – stwierdził doktor Blankenship, ruszając do kuchni.

– I pizzę z Pizzy Garden. Z bekonem i kremowym serem z jalapeño. Jak najszybciej!

– Przecież nie cierpisz Pizzy Garden.

– Nie przepadam za Pizzą Garden. To zasadnicza różnica.

– A co z mamą Dilla? Przypuszczam, że nie pochwała, kiedy jej syn nocuje

u dziewczyny – powiedział doktor Blankenship.

– Zgadza się – odparł Dill.

– I nie możemy wspomnieć przy niej o studiach – dodała Lydia. – Potrzebne nam solidne kłamstwo.

– Jestem zobowiązany oświadczyć, że nie pochwalam okłamywania rodziców – powiedział doktor Blankenship.

– Jestem zobowiązana oświadczyć, że nikogo to nie interesuje. I że chcemy czym prędzej zeżreć pizzę z Pizza Garden.

– Trafiony.

– No dobra. Kłamstwo – podjęła Lydia. – Źle się poczułeś i śpisz u nas na kanapie?

– Zbyt skromnie – stwierdził Dill. – Musimy iść na całość. Biblia. Czytam na głos Nowy Testament i świadczę o Jezusie przed całą waszą rodziną, i wszyscy doznają obecności Ducha Świętego, i proszą o więcej, i więcej.

– Kupi to? – spytała Lydia, wyraźnie pod wrażeniem.

– Pragnienie, by uwierzyć w to, co się chce, ma wielką moc – odparł Dill z uśmiechem. Szczerym. Pierwszym, który zobaczyła na jego twarzy od wielu tygodni. Od tamtego dnia. Wysłali esemes do mamy Dilla. Była bardzo zadowolona. Nie licząc kwestii Jezusa, pewnie ucieszyła się, że Dill wreszcie znów potrafi w coś się zaangażować.

Rozłożyli się na podłodze w pokoju Lydie. Drukarka grzała się od wszystkich aplikacji, podań po stypendia i wsparcie finansowe. Dill, na szczęście i na nieszczęście, znał na pamięć wszelkie potrzebne informacje na temat rodzinnych finansów, łącznie z numerem ubezpieczenia mamy.

– Tato? – zawołała Lydia w pewnym momencie.

– Tak, kochanie?

– Zaczynaj pisać dla Dilla list polecający.

– Już się robi.

Pracowali przez całą noc. Szybko postanowili, że Dill wyśle papiery do uczelni stanowych: uniwersytetu Middle Tennessee, uniwersytetu w Knoxville i uniwersytetu w Chattanooga. Dill najbardziej chciał się dostać do tego pierwszego, ze względu na zajęcia z muzyki oraz przecucie Lydie, że na pewno jest to miejsce dla niego. Wygoogłała uczelnię i okazało się, że siedemdziesiąt procent studentów MTSU należy do pierwszego pokolenia studentów w rodzinie.

Kiedy nastał świt, Dill miał gotowe podania, eseje i dokumenty potrzebne

do uzyskania pomocy finansowej. Leżeli obok siebie na łóżku Lydii i patrzyli w sufit, wyczerpani i milczący. Jak maratończycy, którzy właśnie dobiegli do mety.

– Dill? – Cisza. – Mogę o coś zapytać?

Znowu długa cisza.

– Tak.

– Jak blisko byłeś?

Wziął głęboki wdech, wstrzymał i wypuścił.

– Bardzo, naprawdę bardzo blisko.

– Co cię powstrzymało?

– Moja obietnica. I wspomnienie o konkursie talentów.

Lydia obróciła się na prawy bok, twarzą do niego, położyła dłoń na jego policzku.

– Dziękuję, że dotrzymałeś słowa. Gdyby cię zabrakło, pękłoby mi serce.

Położył dłoń na jej dłoni. A potem zaczął powoli ją gładzić, przesuając palcami wzdłuż jej palców.

37

Dill

Miał wrażenie, że słyszy, jak bije jej serce. A może to jego serce tak waliło, odzywając się echem w uszach? *Czy nadal się boisz? Nawet teraz? Nawet słuchając bicia własnego serca w cieniu śmierci?* Jego dłoń uparcie gładziła dłoń Lydii. A Lydia nie zabrała dłoni spoczywającej na jego twarzy. Powoli wsunął palce między jej palce, smukłe i delikatne. Tak jak pragnął od bardzo dawna. Bicie serca przybrało na sile.

Lydia

C ałe jej ciało było ciepłe, płynne i zarumienione, dłonie Dilla, zgrubiałe od strun gitary, gładziły się jej palców. Rozcapierzyła je, by wpuścić pomiędzy nie palce Dilla. *Cokolwiek to jest, podoba mi się. Chociaż lekkomyślne i niemądre, nie szkodzi. Jeśli mam go utracić, to wolę, by stało się to w taki sposób.* Tak brzmiałoby najbardziej spójne ujęcie jej niespójnych myśli. Szalone delirium, które ogarnęło jej wnętrze, być może wynikało z braku snu oraz zbyt dużej ilości kofeiny. Chociaż wcale w to nie wierzyła. Nieraz niedosypiała i piła zbyt dużo kawy i wcale nie czuła potem pragnienia, by dłonie jej najlepszego przyjaciela robiły z całym jej ciałem to, co robiły teraz z jej dłonią.

Dill

Złączyli dłonie, ich palce się splotły. *A ty myślałeś, że decyzja, by żyć dalej, to najodważniejsza rzecz, jakiej dokonałeś w tym tygodniu.* Zajrzał do sekretnej niszy, w której przechowywał wspomnienie z konkursu talentów. Otworzył ją po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin. Miał nadzieję, że i tym razem pomoże.

Szybkim ruchem obrócił się na bok i uniósł na lewym łokciu. Jego twarz znalazła się bardzo blisko twarzy Lydii. Spojrzeli sobie w oczy. Słyszał jej oddech, który nagle się urwał. Przez moment bał się, że Lydia zacznie się śmiać. Ale tak się nie stało. Lekko rozchyliła wargi, jakby zamierzała coś powiedzieć. Do tej pory sądził, że czuje pełnię życia chwilę po tym, kiedy zrobi coś niesamowicie odważnego. Okazało się, że podobnie czuje się również na chwilę przed.

Odkrył też, że jest coś jeszcze, co przychodzi mu równie naturalnie jak tworzenie muzyki.

Lydia

Wargi Dillarda Early'ego dotykały jej warg i był to jej pierwszy pocałunek, tak jak i jego. Szybko jednak przywykli do nowej sytuacji i po chwili wahania zaczęło się prawdziwe całowanie. Twarz. Szyja. Palce. Było w tym pragnienie i głód wykraczające nawet poza seks. Coś jeszcze bardziej pierwotnego i witalnego. Ciężar wszystkich lat tęsknoty.

To naprawdę zły pomysł, zaczynać coś takiego z najlepszym przyjacielem dwa i pół miesiąca przed wyjazdem na studia do Nowego Jorku. To naprawdę świetny sposób, by złamać dwa serca. To naprawdę niepotrzebny element, który doprowadzi do braku skupienia na studiach i całej reszcie nowego życia.

Naprawdę.

Naprawdę.

Naprawdę.

– Lydio? – zawołała pani Blankenship. Na schodach rozległy się kroki.

Dill momentalnie odsunął się od Lydii. Leżeli obok siebie, ze wzrokiem w suficie, łapiąc oddech i tłumiąc śmiech.

Pani Blankenship stanęła w drzwiach z dwoma kubkami kawy w rękach, gotowa do wyjścia.

– Hm. Za wami chyba pracowita noc, co?

– I poranek – odparła Lydia. Czuła, jak Dill cały się trzęsie, desperacko usiłując nie wybuchnąć śmiechem. *Nie rob tego, Dill. Powstrzymaj się.*

Dill wydał z głębi gardła mimowolne prychnięcie. Próbował zamaskować je kasznięciem. To wystarczyło. Salwy śmiechu. Potop. Lydia odwróciła się w jego stronę i schowała głowę na jego ramieniu.

Pani Blankenship przez chwilę przypatrywała się im z podejrzliwą miną.

- Ooooookej... Chyba coś przegapiłam.
- Nie, mam, nic takiego – powiedziała Lydia stłumionym głosem, wciąż wciskając twarz w rękaw Dilla i próbując zapanować nad sobą. – Śmiejemy się z dowcipu.
- Pani Blankenship uniosła brwi i oparła się o framugę.
- Lubię dowcipy. Opowiedzcie.
- Ty powiedz – zarządził Dill, zmuszając ją do konfrontacji z mamą.
- Za karę walnęła go w pierś, po czym otarła oczy i odchrząknęła.
- Okej, okej. No dobra. Puk, puk. – I znów odpadli, zaczęli chichotać jak szaleni.
- Kto tam? – Pani Blankenship upiła kawy.
- Do.
- Kto?
- Do kogo. – Lydia z trudem dokończyła. Śmiali się histerycznie. Łzy ciekły im po twarzach i kapały na pościel. Lydia dostała czkawki.
- Mmmhmm – powiedziała pani Blankenship. – Bardzo, bardzo zabawne, Lydio. Ale wiesz co? Sądzę, że przydałoby wam się trochę snu.
- Aha – odparła Lydia. – Tego ranka ewidentnie mamy problem z racjonalnym myśleniem.
- Rozumiem. Miłego dnia, kochanie. Miłego dnia, Dill. I gratulacje. Dokonałeś mądrego wyboru. Bardzo się cieszę z twojego powodu.
- Dziękuję. Ostatnio podejmuję mnóstwo mądrych decyzji.
- Pani Blankenship uśmiechnęła się i poszła.
- Wyśpijcie się. Mówię poważnie – zawołała jeszcze z korytarza.

- Lydia odczekała, aż kroki mamy ucichną, i odwróciła się w stronę Dilla.
- Obściskiwaliśmy się na moim łóżku.
- Aha.
- To była bardzo konkretna sesja macania. Wypasiona, organiczna i z wolnego wybiegu.
- Z certyfikatem.
- Chyba bredzę.
- Nie.
- Ale też nie *nie* bredzę. – Lydia przytuliła się do Dilla.
- Objął ją i odparł:
- Nie. Albo tak. Nie wiem. Nieważne, wszystko mi jedno. Jestem zbyt

zmęczony, żeby zastanawiać się nad podwójnym przeczeniem.

– Miałeś świadczyć o Jezusie – mruknęła Lydia.

– I tak zrobiłem.

– Czuję, że właśnie powiedziałeś coś bardzo nieodpowiedniego.

– Na pewno wyciągniesz odpowiednie wnioski. Ufam ci.

Lydia odwróciła się, położyła łokcie na piersi Dilla i oparła podbródek na złożonych ramionach.

– Zdajesz sobie sprawę, że od tej chwili „świadczyć o Jezusie” to będzie nasz eufemizm na macanie? – *Od tej chwili???*

– Aha.

– Chciałam to tylko wyjaśnić.

– Okej.

– A więc podsumujmy ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Po pierwsze, nie zabiłeś się. Po drugie, wypełniłeś papiery na studia. Po trzecie, całowaliśmy się. To trzy naprawdę dobre rzeczy.

– Brakuje tylko, żebyś został sławnym muzykiem.

– Nie mówiłam, że każde z twoich nagrań ma już ponad sto obejrzeń?

– Poważnie?

– Śmiertelnie poważnie.

– Wow.

– No. Masz wszystko, Dillardzie Early.

– Poza telewizorem i tatą na wolności.

– W punkt. To co teraz robimy? Dokąd zmierzamy?

– Nie wiem. Nie wybiegałem zbyt daleko w przyszłość. – Dill pogłaskał policzek Lydii.

– Może jeszcze trochę się pomagamy?

– Może. Tak.

I tak zrobili.

– To wszystko komplikuje – stwierdziła Lydia, kiedy skończyli.

– Nasze życie i tak było dość skomplikowane.

– Tak, ale to dodatkowo komplikuje nasze skomplikowane życie.

– Aha. Wiem.

41

Dill

I stniały zasady, jasno sprecyzowane i niezbyt sprecyzowane. Usta lone głównie przez Lydię.

Jasno sprecyzowane: mieli trzymać wszystko w tajemnicy. W ten sposób mogli uniknąć nieprzyjemności ze strony mamy Dilla i kolegów ze szkoły. Poza tym Lydia mogła z czystym sumieniem promować muzykę Dilla na swoim blogu – nikt by jej nie zarzucił, że lansuje własnego chłopaka. Z tą zasadą wiązał się surowy zakaz publicznego okazywania uczuć. Oraz określania się wzajemnie swoją dziewczyną i swoim chłopakiem.

Niezbyt sprecyzowane: nie angażować się zbyt mocno. Za parę miesięcy ich drogi miały się rozjeść. Nie zapominali o tym.

Dill rozpoczął długą i powolną wspinaczkę z dna przepaści. Miewał dobre i złe dni. Zakończył pracę we Floyd's Food i przez dwadzieścia godzin w tygodniu sprzątał gabinet doktora Blankenshipa i porządkował jego papiery. Zarabiał więcej pieniędzy (czym udobruchał matkę), w dodatku wszyscy pracownicy doktora Blankenshipa, nawet zatrudnieni na część etatu, byli objęci zbiorowym ubezpieczeniem zdrowotnym. Dill wreszcie mógł zacząć chodzić do prawdziwego terapeuty i rozpocząć porządne leczenie depresji. To wszystko bardzo pomagało. A muzyka powoli do niego wracała. Dobre dni zaczęły przeważać nad złymi.

A pewnego ciepłego dnia pod koniec kwietnia Dill po powrocie ze szkoły znalazł w skrzynce list informujący o przyjęciu go na MTSU, uczelnię stanową Middle Tennessee. Zadzwoił do Lydii, która natychmiast zawróciła i uparła się, by od razu pojechać na kampus, by Dill mógł zobaczyć, gdzie będzie studiował.

Lydia włączyła składankę utworów i zapytała:

– Kiedy powiesz mamie, że idziesz na studia?

– A kiedy wypada dzień przed rozpoczęciem jesiennego semestru na MTSU? Wtedy.

– Zalecałabym zrobić to wcześniej, w końcu, no wiesz, to twoja mama.

– Zobaczymy.

Kiedy znaleźli się w obrębie granic Murfreesboro, Dill zaczął śpiewać do muzyki. Miasto, pełne centrów handlowych i sieciowych restauracji, wydawało mu się ogromne. Opuścili szyby, pozwalając, by pachnący słońcem wiatr muskał ich twarze. Serce Dilla biło mocno, przepełnione bogactwem otwierających się przed nim możliwości.

Lydia zaparkowała w uliczce niedaleko uczelni. Kiedy pokonywali te kilka przecznic dzielących ich od kampusu, puls Dilla mocno przyspieszył. Nad całym terenem królował czterokondygnacyjny budynek biblioteki z cegły i szkła. Dill patrzył nań z zachwytem i podziwem. Owszem, widywał większe budynki, ale nigdy nie były one w żaden sposób powiązane z jego życiem.

Lydia spojrzała na Dilla.

– Ten jeden budynek znacznie górowałby w Forrestville nad całą resztą. Cieszysz się?

– Tak. Nie mogę uwierzyć, ilu tu jest ludzi.

Teren kampusu tętnił życiem. Wszędzie widziało się studentów. Dill i Lydia minęli siedzących na ławce troje ludzi, którzy mówili w jakimś obcym języku, chyba arabskim. Dziewczyna o fioletowych włosach rozmawiała z chłopakiem z mnóstwem kolczyków na twarzy. Ludzie jeździli na deskorolkach i rowerach. Grupki złożone z przedstawicieli ekstremalnie różnych grup społecznych prowadziły zażarte dyskusje. Oczywiście, i tu z pewnością znalazłoby się sporo osób w rodzaju tych, które dręczyły Dilla i Lydię w szkole w Forrestville, ale nic nie wskazywało na to, by cieszyli się tutaj szczególną pozycją.

Minęli dwie wytatuowane dziewczyny – jedna miała ogoloną głowę – które trzymały się za ręce.

– Wiele wskazuje na to, że uczelnia wyższa znacznie różni się od Forrestville High – stwierdziła Lydia.

– Nic nie może mnie bardziej ucieszyć. – Dill próbował się nie gapić, ale nie całkiem mu się udało.

– Gdybyś widział swoją minę. Wyglądasz jak dzieciak w Disneylandzie.

– Nigdy dotąd nie byłem w kampusie uniwersyteckim.

– Poważnie?

– Poważnie. Jest niesamowicie.

Lydia zatrzymała się i klapnęła dłonią w czoło.

– Chcesz powiedzieć, że mogłam przekonać cię znacznie wcześniej, gdybym tylko cię tu zaciągnęła?

Dill lekko się uśmiechnął.

– Może.

Lydia wywróciła oczami.

– Daj spokój.

– Dokąd idziemy?

Chwyciła Dilla za nadgarstek.

– Do księgarni. Potrzebna ci bluza z logo MTSU, w ramach prezentu, który uczci wydarzenie pod tytułem „dostałem się na studia i wreszcie uciekam przed koszmarem opresyjnego życia w rodzinnym miasteczku”.

Kupili bluzę. Kiedy przy wyjściu mijali tablicę z ogłoszeniami o przeróżnej treści, Lydia przystanęła.

– Hej, Dill, spójrz. – Wskazała na ulotkę informującą o wieczorze open mic w siedzibie organizacji studenckiej. – Wydaje mi się, że bardzo szybko poznasz tu mnóstwo ludzi.

Dill wskazał na inne ogłoszenie.

– Zespół szuka gitarzysty.

Lydia zrobiła Dillovi zdjęcie na tle tablicy.

– Kiedy się tu przeniesiesz, nie zwlekaj. Skacz na głęboką wodę. Od razu zacznij robić mnóstwo rzeczy i spotykać ludzi.

– Ta wizja wywołuje u mnie lekkie zdenerwowanie.

– Pamiętasz konkurs talentów? Grałeś przed całą salą ówoków z Forrestville High. Pamiętaj też, że wreszcie odważyłeś się zrobić ruch w moją stronę. Już nic nie powinno wywoływać u ciebie zdenerwowania.

– Słuszna uwaga.

Ruszyli dalej.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała Lydia. – Tutaj możesz zostać, kim tylko zechcesz. Nowy początek. Żadnych bagaży.

– Ale każdy, kto wrzuci w Google moje nazwisko, znajdzie mnóstwo informacji na temat mojego taty.

– No i co z tego? Normalni ludzie rozumieją, że ty i ojciec to nie ta sama osoba. Już nie będziesz mieszkał w gównianej dziurze zabitej dechami, gdzie

wszyscy próbują poprawić sobie samopoczucie, psując je innym.

– Tak uważasz?

– Oczywiście, że tak. Nie zrozum mnie źle, zawsze trafi się parę beznadziejnych osób, które będą cię obwiniać za grzechy twojego ojca. Ale większość? Czysta karta.

Wyszli z księgarni i usiedli na niskim murku. Lydia zrobiła im wspólne selfie.

– Może nawet znajdą się tacy, którzy uznają tę historię za bardzo romantyczną. Możesz to wykorzystać. „Taa, słonko. Nie miałem w życiu łatwo. Tatko w pierdłu” – powiedziała Lydia głosem twardego. Dill zaśmiał się.

Przez chwilę grzebała w telefonie.

– Okej... tędy – zawyrokowała. – Zobaczmy, gdzie przesiadują nerdy zakręcone na punkcie muzyki, czyli między innymi przyszedł ty.

Pokonali krótki dystans dzielący ich od budynku wydziału mediów. W środku było ciemno i chłodno. Ściany pokrywały tablice pamiątkowe, nagrody i fotografie. Dill poczuł się przytłoczony ilością kolorowej i błyszczącej informacji wizualnej. Wszędzie stały grupki ludzi, którzy prawdopodobnie nie należeli do najpopularniejszych w swoich liceach. *Ludzie mojego rodzaju.*

– To miejsce wygląda świetnie, Dill. Właściwie trochę ci zazdroszczę.

Uścisnął jej dłoń, lekceważąc przyjęte zasady.

– Pewnie miałabyś szansę się dostać. – *Zawsze warto spróbować.*

– Nie przesadzaj.

Zwiedzali budynek, aż zgłodnieli i ruszyli do siedziby organizacji studenckiej, żeby coś przekąsić. Po drodze minęli ładną dziewczynę w okularach słonecznych. Miała potargane jasne włosy, kolczyk w nosie i całe ręce pokryte tatuażami. Siedziała po turecku na niskim murku, bosy, japonki leżały obok na ziemi. Podniosła wzrok znad telefonu i spojrzała na Dilla. Uśmiechnęła się, spuściła wzrok i przygładziła włosy. Dill odwzajemnił uśmiech. Lydia dostrzegła tę wymianę. Mógłby przysiąc, że rzuciła dziewczynie spojrzenie pod tytułem „trzymaj się z daleka”. *To coś nowego. Tego jeszcze nie widziałem.*

A potem dziewczyna znów podniosła głowę.

– Hej, przepraszam. Nie chcę, żebyś wziął mnie za świra, po prostu cię rozpoznałam.

– Och, tak, prowadzę... – zaczęła Lydia.

– Sorry, ciebie miałam na myśli. – Wskazała na Dilla. – Tworzysz muzykę? Dopiero po chwili Dill zorientował się, że dziewczyna mówi do niego.

– E-e... tak.

– Ty jesteś Dearly?

– Aha.

– Ktoś z moich znajomych umieścił twoje nagranie na fejsie. Było niesamowite. Masz wspaniały głos. – Dziewczyna ponownie przygładziła włosy i owinęła sobie kosmyk na palcu.

– O-o... wow. Dzięki. I podziękuj znajomemu.

– A co tu porabiasz? Tak przyjechałeś?

– Tak jakby. Niedługo zaczynam tu studia.

– Super! Mam nadzieję, że się spotkamy.

– Jasne.

– Zamierzasz dawać w mieście koncerty?

– Nie zastanawiałem się nad tym.

Dziewczyna odrzuciła włosy na plecy.

– Powinieneś. Na pewno bym przyszła, moi znajomi też. Twój utwór zdobył mnóstwo pozytywnych komentarzy.

– O, to...

– Niestety – wtrąciła Lydia dobitnie – musimy się zbierać. Miło było cię poznać...

– Marissa.

– Marisso. Jestem Lydia, menedżerka Dearly'ego. Pożegnaj się, Dearly.

– Na razie.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu Marissy, Dill spojrział na Lydię rozpromieniony.

– Ta dziewczyna mnie rozpoznała.

– Aha, zauważyłam. I wcale mnie to nie dziwi. Twoje nagrania krążą w sieci. Mają mnóstwo obejrzeń. Jesteś naprawdę dobry.

– Może kiedy zacznę studia, ludzie będą o mnie wiedzieć tylko tyle: że tworzę muzykę.

– Twoje życie zmieni się na lepsze pod wieloma względami. – Nagle Lydia przystanąła. – A propos, jest coś jeszcze, o czym musimy porozmawiać.

– Dobra. – Serce Dilla gwałtownie przeskoczyło z przyjemnego galopu wywołanego statusem małej sławy do gorączkowego bicia, którym zawsze

reagowało na znajome „musimy o czymś porozmawiać”.

Po chwili namysłu Lydia podjęła:

– A więc, zapewne nie mogłeś dowiedzieć się tego w naszej szkole i żebyś tylko nie zaczął zadzierać nosa, ale jesteś bardzo przystojny w taki intrygujący ponury mroczny sposób, który bardzo działa na pewien typ dziewczyn. W dodatku śpiewasz i grasz na gitarze niczym wcielenie Orfeusza, o czym sam przed chwilą miałeś okazję się przekonać.

– Dzięki, to...

– Cisza. Nie prawię ci komplementów, stwierdzam fakty. I nie skończyłam. Ten „pewien typ dziewczyn” to przeważnie kompletne świruski. Mówię ci o tym, ponieważ na studiach będziesz miał mnóstwo okazji, żeby zadawać się ze świruskami, ale przyjdzie ci tego żałować.

Dill uśmiechnął się krzywo.

– Może powinienem sobie sprawić specjalną gigantyczną łąpkę na muchy, żeby przeganiać wszystkie latające za mną walnięte dziewczyny.

Lydia chwyciła go za ramię.

– Dill, mówię poważnie.

– Okej.

Lydia zwykle stanowczo egzekwowała swoje żądania, lecz tak stanowczej chyba jeszcze nigdy jej nie widział. *A może zaborczej.*

– Niedobrze mi się robi na myśl, że mógłbyś się zadawać z innymi dziewczynami, świruskami czy normalnymi. – Lydia, nie puszczając ramienia Dilla, rzuciła mordercze spojrzenie przechodzącemu facetowi, który na nich zerknął.

Dill popatrzył jej prosto w oczy.

– Możesz to nazywać jak tylko chcesz. Ale ja nazywam siebie twoim chłopakiem. I w związku z tym nie zamierzam zadawać się z innymi, świruskami czy nie. Rozumiesz?

– Rozumiem. A tak dla twojej informacji, ja też nie zamierzam zadawać się z żadnymi beznadziejnymi wstrętными facetami.

– Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy.

– Ani nawet z niebeznadziejnymi i niewstrętными facetami.

– Świetnie.

Lydia pogrzyżała się w rozmyślaniach. Wszędzie dokoła wznosiły się ogromne budynki z lat pięćdziesiątych otoczone wysokimi drzewami. Powietrze wypełniał zapach skoszonej trawy, wiórów i hamburgerów z grilla.

I nagle, całkiem niespodziewanie, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, Lydia wzięła Dilla za rękę. I oto szli tak dalej razem, trzymając się za ręce. Publicznie.

– To jawne złamanie zasad – zauważył Dill.

Lydia była niewzruszona.

– Owszem, ale skoro Marissa może cię podrywać na oczach twojej dziewczyny, ogłaszam moratorium na wszystkie zasady. MTSU to pozbawiona zasad, pogrążona w anarchii ziemia niczyja.

Dill splótł palce z jej palcami.

– Jeśli to prawda, w takim razie żadna zasada nie może mi przeszkodzić w pocałowaniu cię tu i teraz, na oczach wszystkich.

– No chyba nie.

– Powiedziałaś, że wszystko wolno.

– Tak.

– No to tak musi być.

– Aha.

– I zrobię to. – Dill zatrzymał się raptownie i przyciągnął Lydię do siebie.

– Dlaczego nadal rozmawiamy?

– Okej. – Przyciągnął ją jeszcze bliżej, położył dłoń na jej policzku i pocałował. Długo i powoli. Jakby byli całkiem sami, jakby wcale nie stali pośrodku chodnika, między spieszącymi na zajęcia studentami.

– Pierwszy występ Dearly’ego na MTSU zasłużył na entuzjastyczne recenzje – wymruczała Lydia, nie otwierając oczu.

– Tak? – powiedział Dill, delikatnie muskając jej wargi swoimi wargami.

– Aha. Może powinniśmy powtórzyć to przed Marissą i jej znajomymi.

– Wchodzę w to. Chodźmy jej poszukać.

Lydia odsunęła się, chwyciła dłoń Dilla i pociągnęła go za sobą w stronę budynku organizacji, tak gwałtownie, że o mało się nie przewrócił.

– Chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu. No chodź, gwiazdo.

Kupili kanapki w olbrzymiej części budynku przeznaczonych na barki i restauracje. Dill położył na stole torbę z nową bluzą, powiódł wzrokiem dokoła i poczuł, jak w jego wnętrzu rozkwita jakieś nowe uczucie. Nikt nie mógł zastąpić Trávisa. Nikt nie mógł zastąpić Lydii. Ale przynajmniej nie miał w perspektywie niszczącej samotności. Teraz jego życie otrzymało słońce i glebę, na której mogło rosnąć. Wyobrażał sobie, jak będą prowadzić z Lydią długie rozmowy, omawiać zajęcia i nowych znajomych. To znacznie lepsze niż

gdyby tylko Lydia opowiadała o zajęciach i nowych znajomych, a on o upojnych wieczorach w sklepie Floyd's. Nagle, bez ostrzeżenia, przytłoczyła go mieszanka radości, melancholii, nadziei i tęsknoty. Z trudem walczył ze łzami.

Lydia chyba umiała czytać mu w myślach.

– Hej, Dill.

Odkaszlnął, chrząknął.

– Tak?

Poklepała torbę z bluzą.

– Udało ci się.

Kiedy wrócili do domu Dilla, było już ciemno. Mama miała wrócić za około godzinę. Lydia przechyliła się, by pocałować go na pożegnanie.

– Zaczekaj – powiedział. – Wejdz ze mną do środka. Mam coś dla ciebie. – Nie planował tego. Prezent nie był całkiem gotowy. Ale Dill uświadomił sobie, że nie znajdzie lepszego momentu niż właśnie teraz.

Lydia weszła do domu Dilla, po raz drugi w życiu. Wskazał jej miejsce na tragicznej zapadniętej kanapie.

– Mam zapalić światło? – spytała.

– Nie. Tak jest dobrze. – Poszedł do swojego pokoju i chwycił gitarę. Stał naprzeciw Lydii, zarumieniony. Miał nadzieję, że tego nie widać.

Prędko sprawdził, czy gitara jest nastrojona.

– Em... okej. A więc, to jest piosenka, którą napisałem specjalnie dla ciebie. Nosi tytuł „Lydia”. – Poprawił strunę. – Pewnie mogłem tylko wymienić tytuł, sama byś się domyśliła, że to dla ciebie.

– Pewnie tak.

I zagrał. Piosenka była mocna i cicha zarazem – tak jak jego serce, kiedy przebywał obok niej. Po trzydziestu sekundach usłyszał, że Lydia pociąga nosem, i zobaczył, że zdejmuje okulary. Piosenka była niedokończona, niedoskonała, lecz jeszcze nigdy dotąd nie czuł takiej dumy z własnego utworu.

– No, w każdym razie mam nadzieję, że ci się podoba – powiedział na koniec i usiadł, wciąż zarumieniony. – Nie zamierzam robić z niej filmiku. Jest tylko dla ciebie. To znaczy, jeśli chcesz...

A Lydia wstała i odpowiedziała pocałunkiem, który przypominał letnią burzę.

Lydia

Kiedy weszła do domu, tata grał na gitarze elektrycznej (nie za dobrze mu szło w porównaniu z wykonaniem, które słyszała przed chwilą), a mama siedziała na fotelu bujanym na ganku, z książką i kieliszkiem wina.

– Hej – powiedziała. – Późno wracasz.

Lydia klapnęła na sąsiedni fotel.

– Zabrałam Dilla na wycieczkę do kampusu MTSU. Dostał dzisiaj pozytywną odpowiedź.

Mama położyła książkę na kolanach.

– Naprawdę? To wspaniale. Wyjazd chyba dobrze mu robi.

– Jeszcze jak.

Przez chwilę kołysały się, prawie nic nie mówiąc. Lydia usiadła po turecku i poprosiła:

– A... tak z ciekawości, opowiedz jeszcze, jak to się stało, że ty i tata zostaliście parą.

Próbowała nadać głosowi nonszalanckie brzmienie. *Tak tylko zagaduję, temat wcale mnie nie interesuje. Ani trochę.*

Mama przebiegle zmrużyła oczy.

– Tak z czystej ciekawości, co?

Zapamiętać: muszę być bardziej podstępna. Lydia unikała wzroku mamy.

– Nie mogę wyrazić zainteresowania procesem, który doprowadził do mojego istnienia?

Mama odstawiła kieliszek.

– Kochanie, ja się wczoraj nie urodziłam.

– Okej. Poddaję się. Dobra robota – mruknęła Lydia.

– Hej, to nie wymagało wybitnych zdolności śledczych.

Gitara umilkła. Kilka sekund później drzwi się otworzyły i pokazała się w nich głowa taty.

– Tu są moje dziewczyny. Co po...

– Do środka – zarządziła Lydia. – Wracaj.

Tata rzucił jej zranione spojrzenie.

– Bardzo uprzejmy...

– *Do. Środka.*

– Denny, skarbie – powiedziała mama łagodnie. – Babskie rozmowy.

Tata uniósł obie ręce w geście poddania i wycofał się.

– Dobrze, dobrze, już mnie nie ma. Nie wykonuję żadnych gwałtownych ruchów. Nie strzelajcie. A, cieszę się, że dotarłaś bezpiecznie do domu, Lyd.

Mama odczekała, aż tata na pewno zniknie.

– A więc? Od kiedy?

Lydia zaczęła zdrapywać lakier z paznokci u nóg.

– Około miesiąca. Od tamtej nocy, kiedy pisaliśmy podania na studia.

– Wiedziałam. Byliście bardzo, bardzo sprytni z tymi dowcipami o pukaniu.

– No-o.

– Wybraliście doskonały moment.

Lydia westchnęła.

– W pytę.

Mama wydała dźwięk dezaprobaty.

– Lydio. Wyrażaj się kulturalnie. Proszę, kochanie, przynajmniej spróbuj.

– Przepraszam. Ale wracając do głównego tematu. Tak. Fatalny moment. Wiem. Ale nie planowaliśmy tego. Po prostu tak wyszło. Nie żałuję, ale wcześniej perspektywa wyjazdu była znacznie łatwiejsza. Nie wiem, co robić.

Mama wzięła do ręki kieliszek i upiła wina.

– A co niby miałybyś robić? Ciesz się wspólnie spędzonym czasem. Niech to, cokolwiek to jest, będzie piękne, dopóki trwa. Może nie będziecie razem na wieczność, nie szkodzi. Ale serce nie sługa, jeśli czegoś chce, to chce i już. Kiedy chce.

– Serce jest do dupy.

– To twój pierwszy chłopak, prawda?

– Oczywiście. A z kim innym mogłabym się tutaj umawiać?

Przez chwilę kołysały się w milczeniu.

– Dill to dobry materiał na pierwszego chłopaka. Od dawna widział w tobie

kogoś więcej niż przyjaciółkę – powiedziała mama.

– Poważnie? Skąd wiesz?

– Oj, kochanie. To było jasne jak słońce. Naprawdę niczego nie zauważyłaś?

– Chyba miałam pewne podejrzenia. Wiedziałam jednak, że wyjeżdżam i nigdy nie myślałam, że coś takiego może się wydarzyć. Po prostu... nie mogłam. – Lydia odchyliła się na oparcie fotela. – A gdybyś wiedziała, że ty i tata wkrótce się rozstaniecie? Zdecydowałaś się?

– Ależ oczywiście. Życie jest krótkie, skarbie. Przykro mi, że już musiałaś się o tym przekonać. Nie da się żyć z sercem zamkniętym w sejfie.

43

Dill

Kiedy matka weszła do domu, wciąż był podekscytowany. Wcześniej postanowił, że powie jej bliżej rozpoczęcia roku, ale teraz zaczął powątpiewać w słuszność swojej decyzji.

Odsączył spaghetti, nałożył porcję na talerz i polał sosem z puszki, który podgrzewał się w rondlu na kuchence. Podał talerz matce.

– Dziękuję. Chyba jesteś w dobrym humorze.

Nałożył porcję sobie i odparł:

– To prawda.

– Cieszę się, że ostatnio lepiej się czujesz – powiedziała między jednym kęsem a drugim. – Pan słucha naszych modlitw.

– Owszem.

– A jak było w pracy?

– Dobrze. – Poczł wyrzuty sumienia. *Musisz jej powiedzieć.*

– Kiedy za...

– Nie, czekaj. Chwilę, mamó. Nie poszedłem dzisiaj do pracy. Muszę ci coś powiedzieć.

Matka odłożyła widelec i utkwiała w twarzy Dilla zmęczone oczy. Powietrze znieruchomiało.

– Pojechałem dzisiaj z Lydią do kampusu MTSU.

Jej twarz przybrała twardy wyraz.

– Po co?

Powiedz, że tylko tak, dla zabawy. Nieszkodliwej zabawy. Ale potem zobaczył samego siebie, stojącego na scenie podczas konkursu talentów. Całującego Lydię. I wiedział, że nie może zdradzić tego, kim się stał. Był teraz kimś więcej.

– Ponieważ jesienią zaczynam tam studia. Dostałem się.

– Uzgodniliśmy, że nie będziesz się tym zajmował. – Jej głos był miękki, ale nie jak poduszka, tylko jak kopczyk drobnych skrawków metalu bądź startego na pył szkła.

– Ty uzgodniłaś. Nie ja. Ja tylko ci się nie przeciwstawiłem. Ale teraz to robię. Idę na studia.

– Nie stać nas, Dillardzie. Zrzuńujesz nas. – Mówiła powoli i ostrożnie, jakby próbowała wyjaśnić małemu dziecku, że nie wolno dotykać gorącego pieca.

– Dostałem pomoc finansową na podstawowe potrzeby. Na resztę będę brał pożyczki i sam je potem spłacę. To postanowione.

Potrząsnęła głową.

– Nie.

– Nie proszę cię o pozwolenie. Mówię ci, ponieważ cię kocham. Nie zmienię decyzji. Może pewnego dnia wyjaśnię ci dokładnie, dlaczego tak musi być. Ale nie teraz. Teraz wystarczy, jeśli będziesz wiedziała, że taką podjąłem decyzję.

Oddychała głęboko i powoli. Powietrze grzechotało w jej gardle. Odwróciła wzrok i zamknęła oczy, jakby się modliła. *Nie jakby. Jasne, że się modli. O co? O słowa, które mogłyby mnie przekonać? O łaskę, by zaakceptować moją decyzję?*

Podniosła się i odepchnęła talerz z niedojedzonym spaghetti, niemal delikatnie i z gracją. Odwróciła się i poszła do swojego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi, starannie i powoli. Jakby wiedziała, że Dill wolałby, gdyby nimi trzasnęła.

Siedział w milczeniu, słuchając klekotu lodówki. Wypełniało go to samo uczucie, co w chwili, kiedy na konkursie talentów już skończył grać, a jeszcze nie zabrzmiały chłodne oklaski, jak w chwili, kiedy po raz pierwszy pocałował Lydię, kiedy wiedział, że zrobił coś bolesnego, odważnego i pięknego. *A jeśli zamierzasz dalej żyć, możesz równie dobrze robić rzeczy bolesne, odważne i piękne.*

Lydia

Lydia i Dill siedzieli w kącie, podczas gdy cała stołówka wrzała od rozmów na temat balu kończącego szkołę, który miał się odbyć już za tydzień, na początku maja. Od śmierci Trávisa nikt już się do nich nie przyczepiał. Ale czy w ich kolegach i koleżankach odezwało się poczucie przyzwoitości czy też po prostu się znudzili, tego Lydia nie potrafiła powiedzieć.

Dill czytał na laptopie wykaz zajęć na MTSU.

– Idziemy razem na bal? – zapytał, stukając w klawiaturę.

Lydia, nie podnosząc głowy znad powieści Djuny Barnes, odparła:

– Przykro mi, Dill, ale zamierzam zajechać na bal żółtą limuzyną hummer H2 w towarzystwie mojego napakowanego chłopaka, który gra w drużynie futbolowej. Będziemy uprawiać szybki seks na tylnym siedzeniu, wszystko potrwa siedem sekund, zajdę w ciążę i weźmiemy ślub. On dostanie pracę przy sprzedaży używanych samochodów, a ja... okej, ten żart zaczyna mnie wpędzać w depresję.

Dill zamknął komputer.

– Pytam poważnie.

– Poważnie. Jasne. – Lydia ugryzła zanurzoną w hummusie marchewkę, wciąż nie podnosząc wzroku znad książki.

– Uważam, że powinnaś pójść ze mną na bal – oznajmił Dill z tą swoją urzekającą nową pewnością siebie.

Lydia wreszcie odłożyła książkę i sceptycznie uniosła brwi.

– Czyżby?

– Tak. I mam pomysł, jak to zorganizować, żeby nie było do dupy.

– Zamieniam się w słuch.

Pochylił się w jej stronę.

– Obciachowy Bal. Będziemy mieć najbardziej obciachowy bal, jaki tylko można sobie wyobrazić. Celowo.

Lydia przez chwilę trawiła pomysł Dilla.

– Zgodny z wszelkimi wyobrażeniami otoczenia na nasz temat.

– Dokładnie tak. Pokażemy tej szkole potężny środkowy palec. – By zilustrować swe słowa, zaprezentował rzeczoną część ciała. Nikt nie zwrócił uwagi.

– Bal, na jaki nie tyle pozwolilibyśmy Travisowi zabrać kij, ile wręcz naciskalibyśmy, żeby go zabrał.

– Właśnie.

Lydia uniosła rękę do przybicia piątki.

– Jestem wściekła, że sama na to nie wpadłam.

Dill włożył garnitur, w którym wystąpił na pogrzebie Trávisa (zresztą i tak nie miał wielkiego wyboru). Lydia zajechała pod dom i zatrąbiła. Dill zeskoczył z ganku.

– Nie kupiłem ci bukietka, skoro tak nalegałaś – oznajmił, wsiadając do samochodu.

– Doskonale – odparła, podając mu zwiędłą różę i klamerkę do papierów. – Przypnij to do mojej sukni. – Miała na sobie tandetną balową sukienkę z lat osiemdziesiątych, całą w czerwonych cekinach.

Dill spełnił polecenie, a Lydia przypięła taką samą klamerką mlecz do klapy jego marynarki.

– Zaczekaj – powiedziała. – Wyskakuj. Musimy porobić selfie. A przy okazji, wystarczająco długo udawałam na blogu, że cię nie znam. Twoje nagrania miały setki tysięcy obejrzeń, nie doznasz szkody, jeśli ludzie oskarżą mnie o nepotyzm. Wszystkie nasze zdjęcia trafią na blog. Udawaj, że świetnie się bawisz w moim towarzystwie.

Kiedy wysiadła, Dill zaczął się śmiać. Lydia zafundowała sobie opalenie natryskowe – ale tylko na prawej nodze i lewej ręce.

Przybrała pozę.

– Najpierw nie chcieli się zgodzić, ale w końcu ulegli, bo zapłaciłam za całość.

Lydia miała też grubą warstwę komicznego krzykliwego makijażu na twarzy i włosy zaczesane do góry w bardzo skomplikowanym upięciu. A do kompletu

długie sztuczne paznokcie w kolorze neonowego różu.

– Wyglądasz niesamowicie – stwierdził Dill.

– Chciałam uzyskać wygląd uczestnika rekonstrukcji historycznej przerobionego na przydrożną prostytutkę. Albo odwrotnie.

– Osiągnęłaś zamierzony efekt. Ale wyglądasz bardzo ładnie.

Tylko bez rumieńców.

– O, zamknij się. Chodź tu, stań obok mnie.

Zrobili całą serię zdjęć, pojedynczo i razem. Lydia od razu wrzuciła je na Twittera i Instagram. Na wszystkich Dill się uśmiechał. Poczowała ulgę. *Dill żyje. I jest szczęśliwy. Ma przed sobą przyszłość.*

– Dobra, czas na specjalną kolację, która otworzy Obciachowy Bal – powiedziała Lydia. – I za którą ja zapłacę, żeby było jeszcze bardziej obciachowo.

– O nie. Wybacz. – Dill sięgnął do portfela i wyciągnął nowiutki i szeleszczący banknot pięćdziesięciodolarowy.

– To z konkursu talentów?

– Aha.

– Stary. Zabrać dziewczynę na miasto i postawić jej obiad z pieniędzy zarobionych na graniu rocka to najmniej obciachowa rzecz na świecie.

– Widać nawet obciach nie może mi się udać. To dopiero obciach – stwierdził Dill wesoło.

Jazda do Cookeville zajęła około pół godziny. Po drodze słuchali płyty z nauką pozytywnego myślenia. Lydia stwierdziła, że płyta podoba jej się w całkiem nieironiczny sposób, co świadczyło o tym, w jak doskonałym była nastroju. Stwierdziła też, że całkiem nieironicznie podobają jej się głodne spojrzenia, które Dill rzuca w jej stronę. Możliwe, że kilka nawet odwzajemniła.

– Dokąd jedziemy? – spytał Dill.

– Do Cracker Barrel.

– Ale ja lubię Cracker Barrel.

– Wiem. Trochę oszukuję. Technicznie rzecz biorąc, najbardziej obciachowe byłoby Krystal, a zaraz za nim Waffle House. Ale pamiętasz? Jesteśmy tak obciachowi, że nawet nie potrafimy zorganizować jak należy Obciachowego Balu, w związku z czym zjemy coś porządnego. – Krystal przypomniało Lydii o Travisie. Bez niego to nie to samo.

Kiedy weszli do środka, wszyscy zwrócili spojrzenia w ich stronę. Lydia

zarzuciła włosami i przemaszerowała obok gapiów. Dostojna kelnerka zdawała się niewzruszona zarówno ich strojami, jak i zainteresowaniem, które budzili wśród pozostałych gości.

– Jacy eleganccy. Bal na zakończenie szkoły? – spytała.

– Tak, proszę pani, zgadza się – odparła Lydia z wyraźnie mocniejszym południowym akcentem niż zwykle. Wyciągała go tylko na specjalne okazje.

Kelnerka pochyliła się nad stolikiem.

– W takim razie należy wam się wyjątkowy serwis w ten wyjątkowy wieczór.

Podczas gdy czekali na dietetyczne sprite'y (według Lydii najbardziej obciachowy ze wszystkich napojów), Dill rozegrał partyjkę samotnika. Właśnie zbliżał się do zwycięstwa, gdy Lydia nonszalanckim ruchem strąciła planszę ze stołu. Plansza spadła na podłogę i wszystkie kołki się rozsypały.

– Wybacz – powiedziała do Dilla, który zaczął je zbierać. – Zwycięska gra w samotnika *nie* jest obciachem. To triumf ludzkiego ducha. Daj spokój. To był twój pomysł.

Kelnerka przyniosła sprite'y.

– Mogę przyjąć zamówienie?

– Tak – odparła Lydia. – Poproszę smażone wątróbki drobiowe, porcję naleśników z jagodami i kulką lodów waniliowych oraz kawałek ciasta z kremem czekoladowym, również z kulką lodów waniliowych.

Dill zaczął:

– A ja...

– On chce to samo.

Kelnerka powiodła wzrokiem od Dilla do Lydii i z powrotem.

– Poproszę to samo – powiedział Dill z pogodną rezygnacją.

Kelnerka rzuciła Lydii pełne podziwu spojrzenie.

– Tak jest. Zaraz podam. – I poszła.

– Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że obiektywnie rzecz biorąc nie jest to możliwie najbardziej obciachowy posiłek.

– Może trzeba było zamówić kulkę lodów do wątróbek?

– Ta-a, tu wkraczamy w obszar postępedzenia, terytorium sztuki performatywnej. Co nie jest obciachowe. Doceniam twój pomysł, ale błagam, dzisiaj zdaj się na mnie.

– To był mój pomysł.

– Nieważne.

– Rozumiem. – Dill upił łyk napoju i wskazał na jedno z wiszących na ścianie zdjęć. – Zastanawiałaś się kiedyś, ile zdjęć ludzi, którzy już nie żyją, wisi na ścianach Cracker Barrel?

– Czy jeśli powiesz twoje zdjęcie na ścianie w Cracker Barrel, twój duch będzie po wieczność straszył w tym miejscu?

– Powinniśmy ukradkiem powiesić tu zdjęcie Trávisa, tak na wszelki wypadek – stwierdził Dill. – Myślę, że byłby zachwycony, mogąc straszyć w Cracker Barrel.

Zaśmiali się. Lydia poczuła krótkie ostre ukłucie.

– Tęsknię za nim – powiedziała. – Szkoda, że go tu nie ma.

Dill spuścił wzrok i przez chwilę przekładał kołki do gry, wesoły nastrój przysł.

– Świetnie by się dzisiaj bawił. Na pewno zaprosiłby Amelię.

– Jak sądzisz, co by powiedział na naszą obecną... sytuację?

– Ucieszyłby się. Wiem na pewno. Rozmawialiśmy na ten temat. Próbowałem mnie namówić, żebym wykonał ruch, zanim... – Dill urwał.

Łzy przepełniły oczy Lydii i zaczęły płynąć po twarzy. Nie tylko z powodu Trávisa. Tak, przede wszystkim z powodu Trávisa. Lecz również Dilla. A konkretnie zbliżającej się perspektywy rozstania. I odrobinę dlatego, że w Nowym Jorku nie było sieci Cracker Barrel. *Nawet tego wieczoru nie mogłam rozegrać jak należy. Nawalam, nawet kiedy chodzi o zwykłą głupią zabawę.*

Wyciągnęła rękę. Dill ją chwycił i też zaczął płakać. W tym momencie podeszła kelnerka z zamówieniem.

Popatrzyła na nich z troską w oczach.

– Wszystko w porządku?

– Tak, proszę pani – odparła Lydia, delikatnie ocierając oczy palcami serdecznymi, ostrożnie, by nie wydlubać sobie oczu sztucznymi paznokciami. – Po prostu oboje przegrywamy w samotnika, a jesteśmy bardzo wrażliwi.

– Hm, skarbie, chyba jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ta gra tak kogoś przygnębiła. Może, skoro tak na was działa, powinniście na jakiś czas z niej zrezygnować, co?

Lydia pociągnęła nosem i zaśmiała się.

– Oto nasz wielki wieczór, szkolny bal, a my ryczymy w Cracker Barrel w Cookeville w stanie Tennessee. Rzekłabym, że obciach coraz lepiej nam wychodzi – stwierdził Dill, kiedy kelnerka sobie poszła.

Lydia wytarła nos w chusteczkę.

– Zróbmy szybkie selfie, póki widać, że ryczeliśmy.

45

Dill

Dobrze, że pogoda dopisała – stwierdziła Lydia, kiedy zajechali przed jej dom.

– Aż się boję zapytać.

Lydia posłała mu przebiegły uśmiešek – ten, który poznał aż nadto dobrze.

– Nie musisz pytać. Zaraz zobaczysz.

Otworzyła drzwi i zawołała:

– Tato? Przyprawdź limuzynę.

– Kochanie? – krzyknął tata w odpowiedzi. – Jesteś tego pewna?

– Obciachowy Bal.

Westchnął.

– Spieszmy się na tańce. Dawaj.

– Kochanie, posłuchaj, odwiozę was. To straszny obciach, kiedy tata zawozi cię na bal. Włożę tylko coś stosownie obciachowego.

– W przeciwieństwie do twych licznych ubrań, które *nie są* obciachowe? Dawaj limuzynę, mówię.

Doktor Blankenship potrząsnął głową i znikł za rogiem. Po chwili wrócił, prowadząc skrzypiący zardzewiały rower górski ze sklepu z używanymi rzeczami.

– O rany – zaśmiał się Dill. – Ostatni raz jeździłem na rowerze jako mały dzieciak. Nie wiem, czy jeszcze pamiętam.

– Powiadają, że to jak z jazdą na rowerze – odparła Lydia.

I odjechali, Dill na siodełku, a Lydia na ramie.

– Tylko uważajcie! – zawołał za nimi doktor Blankenship.

Dill od czasu do czasu zerkał na Lydię, zapatrzoną przed siebie z wyrazem szczęścia na twarzy. Odwróciła się i odgarnęła kosmyk wpadający mu do

oczu. *Naprawdę cieszę się, że jestem tu i teraz, że nie leżę na dnie rzeki Steerkiller.*

Skądś dobiegał szum kosiarki. Powietrze pachniało skoszoną trawą i bzem. Jak miód w ciepłym powietrzu początku maja.

– Czy jakaś część ciebie będzie za tym tęsknić? – zapytał Dill, kiedy skręcili w Main Street i minęli księgarnię Riverbank, machając panu Bursonowi.

– Za czym? Za spędzaniem czasu w twoim towarzystwie? Czy – tu objęła ruchem ręki całe miasto – za tym?

Dill powtórzył jej gest. Właśnie zbliżali się do kawiarni Dobra Nowina, placu z altaną i wybudowanego w latach dwudziestych, od dawna zamkniętego kina.

– Tego. To oczywiste, że będziesz tęsknić za moim towarzystwem.

– Czy ty nie za bardzo sobie pochlebiasz? Tak. – Jej głos przybrał miękkie tęskne tony. – Będę tęsknić. Teraz, kiedy widzę światło na końcu tunelu, to miasto już nie wydaje się aż tak straszne. W Dobrej Nowinie podają całkiem niezłą Latte Łukasza. I w Nowym Jorku jest mnóstwo księgarń, ale nie mają tam Riverbank. A ty?

– Ta-a. Trochę. Będzie mi brakowało pociągów i Kolumny. – Urwał, pozwalając, by na chwilę zapadła kontemplacyjna cisza. – Sądziłem, że spędzę tu całe życie i tutaj umrę. Nie wiem, jak mogłem tak żyć.

Lydia usadowiła się wygodniej na ramie.

– Niedługo będziemy studentami.

– Tak.

– Zajęcia, te sprawy.

– Oboje będziemy mieć mnóstwo zajęć. – Myśl o szkole nigdy nie przyprawiała go o takie dreszcze emocji. No, ale do tej pory chodziło o liceum Forrestville High.

– Będziemy mogli o nich rozmawiać. Albo będziemy rozmawiać o innych rzeczach, bardziej interesujących, czyli zapewne o wszystkim.

Roześmiali się.

Lydia odchyliła się, wtulając się w pierś Dilla, ciepła i przymilna. Dill pochylił się i pocałował miejsce między jej uchem a zuchwą.

– Udało nam się, Dill.

– Tak – powiedział cicho. – Udało nam się. – *Gdybyśmy tylko zmierzali w tym samym kierunku i w to samo miejsce.*

Ich samotność we dwoje znów kazała mu pomyśleć o Travisie. *Leży sam pod ziemią, w ciemności, a Lydia i ja żyjemy, idziemy przed siebie, śmiejemy się.* Wyrzuty sumienia nieco tłumiała myśl, że Travis patrzy na nich z jakiegoś wysokiego punktu obserwacyjnego i cieszy się ich szczęściem. *Chciałby dla nas właśnie tego.*

Po chwili Dill przerwał milczenie:

– Ta część dzisiejszego planu byłaby ciężka do wykonania, gdyby Travis nam towarzyszył.

– Nawet gdyby Travis pedałowal, a ty siedziałbyś na ramie, a ja na twoich kolanach, to zabrakłoby miejsca na kij.

– Rower by się rozpadł. Travis chyba wazył więcej niż nas dwoje razem wziętych.

Lydia zapatrzyła się przed siebie.

– Zaraz znów się poryczę. Rozmażę sobie tusz. – Odwróciła się do Dilla. – O, czekaj.

Lydia

Kiedy dotarli pod szkołę, przed wejścia właśnie odjeżdżał chrysler PT cruiser, z którego chwilę wcześniej wysiedli pasażerowie. W kolejce do wejścia stali Jasmine Karnes i jej towarzysz, Hunter Henry. Jasmine odwróciła się i skrzywiła na ich widok, ze szczególnym uwzględnieniem Lydii. *Wy dwoje próbujecie sponiewierać najważniejszy wieczór w moim życiu*, mówiła jej twarz pokryta ciężką warstwą makijażu. Jasmine pochyliła się w stronę Huntera i coś mu szepnęła do ucha. Odwrócił się, zmierzył ich spojrzeniem i zaśmiał się, chyba głównie po to, by go usłyszeli, niż w celu wyrażenia radości.

– Hunter się śmieje, ponieważ Jasmine właśnie zwróciła uwagę, jak ulotną rzeczą jest ludzkie istnienie, nasza świadomość zaś tylko iluzją, a on mógł te refleksje przetrwać emocjonalnie jedynie za pomocą nieprzystającej reakcji, jaką był wybuch śmiechu – powiedziała szeptem Lydia.

Weszli do pogrążonej w półmroku sali gimnastycznej. DJ puszczał prostacki pop, modny kilka miesięcy temu.

Słyszeli pogardliwe szepty i ciche pomruki, czuli na sobie spojrzenia.

– Co za wspaniałe uczucie, wiedzieć, że zaledwie za kilka tygodni już nigdy nie będziemy musieli oglądać tych ludzi, przynajmniej nie stałe.

– Ty nie będziesz. Niektórzy mogli się dostać na MTSU.

– Ale w żaden sposób nie zdołają stworzyć masy krytycznej. Nawet na MTSU.

– Fakt. Cudowne uczucie. A równie świetnie jest nie dbać więcej o to, co o mnie myślą.

Jak na zawołanie w tym momencie minęli ich Tyson Reed i Madison Lucas.

– Och, Lydio, kochanie – powiedziała Madison, a jej głos ociekał udawaną

troską – ci od opalania natryskowego chyba pominęli parę miejsc.

Lydia zaśmiała się.

– Doprawdy? Ostatni raz zamówiłam pakiet o nazwie „rezonans aktywności mózgu Madison Lucas”.

– Jak zwykle najmądrzejsza – rzuciła Madison z krzywym uśmieszkiem.

– Jak zwykle nie – odparowała Lydia.

Dill stanął między nimi.

– Hej, ludzie. Nie rozumiecie? Już nie możecie nas dotknąć. Nic nie możecie nam zrobić. Niczego nie możecie nam zabrać. Jesteście zerem.

Madison miała taką minę, jakby puściła bąka podczas modlitwy. Tyson podszedł bardzo blisko do Dilla.

– Masz szczęście, że to szkolny bal, Dildo. Inaczej skopałbym ci tyłek. Gównu mnie obchodzi, że zmarł wasz kumpel i wszyscy się nad wami użalają.

Dill nawet nie mrugnął. Uśmiechnął się.

– Uważasz, że jesteś w stanie sprawić mi przykrość po tym wszystkim, co przeszedłem? No dalej. Uderz mnie swoją piąsteczką – powiedział, patrząc Tysonowi prosto w oczy, aż ten znów coś wybełkotał, jakie to Dill ma szczęście, chwycił dłoń Madison i poszedł.

– Przykro mi, że żadna uczelnia nie chce, byś grał w ich drużynie futbolowej – zawołała za nimi Lydia.

Potem odwróciła się w stronę Dilla, przyłożyła wierzch dłoni do czoła i udała omdlenie.

– Mój rycerz w lśniącej zbroi!

– Czy zaliczenie śliwy podczas balu na zakończenie szkoły nie byłoby obciachowe?

– Niezaprzeczalnie.

DJ puścił wolny utwór. Lydia wzięła Dilla za rękę.

– Sir Galahadzie, ruszajmy na parkiet. Bycie jedyną parą tańczącą na balu szkolnym jest również totalnie obciachowe.

Poprowadziła go na środek sali, pod obstrzałem spojrzeń i przy wtórze rechotów. Dill położył (drżące) dłonie na biodrach Lydii.

– Dla uzyskania szczególnie obciachowego efektu pewnie powinniśmy tańczyć zbyt blisko – powiedziała. – Właściwie możemy tak właśnie zrobić. – Przynęła się bliżej. Na tyle blisko, by poczuć jego ciepło. By kątem oka widzieć (piękną) linię jego zuchwy, a nie gapiących się ludzi. By słyszeć (szybkie) bicie serca, a nie śmiechy.

I kiedy tak tańczyli, chwiejąc się jak dwa drzewa na wietrze, uświadomiła sobie, że wcale nie udało jej się osiągnąć poczucia obciachu.

Dill

Wracali do domu w blasku księżyca i gwiazd. Lydia znów siedziała na ramie, opierając głowę na piersi Dilla.

– Fotograf nie wyglądał na szczególnie ubawionego – stwierdził Dill.

– Jakoś nie potrafię się tym przejąć. Ironiczne to bardzo, wszyscy chyba byli bardziej zajęci faktem, że wyśmialiśmy ich bezcenny rytuał przejścia, i już nie starczyło im za bardzo czasu na jazdę po pijanemu i dosypywanie dziewczynom tabletek gwałtu do drinków.

– Ja bawiłem się świetnie.

Lydia odwróciła się, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Tak przy okazji, wykazałeś się niezłą odwagą, kiedy przeciwstawiłeś się Tysonowi. Muszę powiedzieć, że było to całkiem seksowne.

Seksowne, ha? Dill oderwał jedną dłoń od kierownicy i napiął mięśnie, robiąc głupie miny.

– Taka sytuacja, mała. Tyson sobie nagrabił.

Lydia prychnęła, chwyciła go za nadgarstek i zacisnęła dłoń Dilla na kierownicy.

– Jesteś nieuleczalnym idiotą. Na szczęście dla trwałości naszego związku, jesteś też beznadziejny w udawaniu ćwoka.

Minęli księgarnię. Dill próbował skupić się na drodze, ale rozpraszała go geometria karku Lydie.

– Tego będzie mi brakować. – *Eufemizm stulecia.*

– Tego miasta? – Lydia znów wskazała na plac. – *Czy tego?* – Pokazała na nich dwoje.

– Tego. Bycia razem. – Uwielbiał uczucie, które te słowa wywoływały na

jego języku. Jak nektar.

Lydia uszczypnęła go w policzek.

– Ou. Proszę, niektórzy jednak załapali, o co chodzi z tym obciachem.

Dill odsunął się i zapytał:

– To jest obciach? Tęsknić za tobą to obciach?

– Oczywiście, że nie. Tak tylko gadam. – Znów oparła głowę na jego piersi.

Pachnący kwiatami nocny powiew musnął wargi Dilla kosmykiem jej włosów. Łaskotało, ale nie próbował go odsunąć.

Kiedy zajechali przed dom, a Lydia zeskoczyła z roweru, Dill upewnił się, że teren jest czysty, chwycił ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Jest coś jeszcze, czego będzie mi brakowało. – A potem ją pocałował. Sposób, w jaki odwzajemniła pocałunek, sprawił, że Dill zaczął się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem reguły nie zostały ponownie zawieszane.

– Lepiej przestańmy, zanim twój tata zobaczy – powiedział.

– Zasłużył na to, by zobaczyć, jak jego córka obściskuje się z synem kaznodziei, w ramach kary za to, że postanowił wychowywać mnie na tym zadupiu. Ale chodź. – Dała mu znak, by poszedł za nią na podwórze na tyłach domu. Zrzuciła buty i podeszła do zraszacza. – A teraz wkraczamy w ostatnią fazę Obciachowego Balu. Podczas gdy nasi koledzy i koleżanki schlewają się do nieprzytomności w Holiday Inn w Cookeville i zachodzą w ciążę, ty i ja pobawimy się w fontannie, a potem będziemy patrzeć na gwiazdy, aż do twojej godziny policyjnej. Tak?

Nie czekając, aż Dill odpowie, odkręciła wodę, która zaczęła tryskać na trawnik.

– Chodź, Dill. – Weszła w drogę strumieniowi wody, piszcząc i chichocząc jak dziecko.

Dill zakrył twarz ręką, zaśmiał się i potrząsnął głową. Lydia już zdążyła przemoknąć do suchej nitki. Resztki tuszu do rzęs spływały po twarzy atramentowymi smugami. Staranne upięcie całkiem się rozpadło, a wokół jej twarzy zwisały mokre kosmyki. Krople pokryły szkła okularów. Chichocząc, złapała zraszacz i zaczęła gonić Dilla.

Rzucił się do ucieczki.

– Nie! Zostaw!

Pośliznął się na mokrej trawie i przewrócił, a Lydia skoczyła na niego (tutaj nie protestował zbyt energicznie, szczególnie że leżała na nim nieco dłużej niż to konieczne) i starannie oblała wodą ze zraszacza. A potem biegali i skakali

razem dokoła przez kilka minut, śmiejąc się i pokrzykując.

Rodzice Lydii wyszli na ganek na tyłach. Mama skrzyżowała ramiona na piersi.

– Lydio, jesteś pewna, że Dill podziela twój zachwyty tą zabawą?

Dill wstał. Strumyki wody ściekały mu po nogach, tworząc kałuże u stóp, a z boku marynarki widniała gigantyczna plama z trawy.

– Tak, proszę pani, dzielam. W każdym razie tak mi się wydaje. Nie zawsze udaje mi się dojść, co kryje się w głowie Lydii.

Pani Blankenship westchnęła.

– Witamy w klubie.

– Dobra, dzieciaki, zostawimy ręczniki przy tylnym wejściu, w razie gdybyście zdecydowali się wejść do środka – powiedział pan Blankenship. – My oglądamy telewizję.

Lydia zrobiła gest „a teraz spadać” i rodzice posłusznie wrócili do domu. Chwyliła Dilla za rękę.

– Okej. Czas na patrzenie w gwiazdy. – Pociągnęła go na środek trawnika i oboje padli w mokrą trawę.

Przez parę godzin leżeli tak obok siebie, rozmawiając i śmiejąc się bez ustanku, i powoli schli. W pewnym momencie umilkli i tylko patrzyli w bezkresną, usianą gwiazdami przestrzeń, a sowy i świerszcze wyśpiewywały wokół nich swe nocne hymny.

Potem Lydia przysunęła się bliżej i położyła głowę w miejscu, gdzie pierś Dilla łączyła się z ramieniem. Wszystkie nerwy w jego ciele nagle upodobniły się do wiatru szeleszczącego pośród wysokiej trawy.

– No dobra – mruknęła Lydia. – Kłamałam. Teraz jest ostatnia faza Obciachowego Balu. Zamiast cię przelecieć, twoja partnerka na tobie zasypia.

Włosy Lydii spływały na jego pierś, tworząc skomplikowaną sieć rzek. Jej oddech zwolnił, a głowa stała się ciężka. *Co teraz będzie? Co będzie z nami? Nie, nie pytaj. Przyjmij ten dar, tę chwilę, które dostałeś, kiedy życie tak wiele ci odebrało.*

Dill czuł się, jakby świecił, jakby jego krew jarzyła fluorescencyjnym blaskiem. Jakby dało się zobaczyć przez skórę jego pulsujące hałaśliwe serce.

Po chwili Lydia poruszyła się, pomrukując, i przysunęła jeszcze bliżej, dotykając wargami szyi Dilla. Czuł jej ciepły oddech. Jedną nogę położyła na jego nodze.

Jest tym. Jest wszystkim. Standardem, według którego do końca życia będę

mierzył urodę. Każdy dotyk będę porównywał z jej oddechem na mojej skórze. Każdy głos z jej głosem. Każdy umysł z jej umysłem. Mój wzorzec doskonałości. Imię wyryte w moim wnętrzu. Gdybym tylko mógł, leżałbym z nią pod gwiazdami, aż serce by mi pękło.

Powoli sięgnął wolną ręką do jej włosów, po czym je pogładził. Delikatnie przesunął po nich dłonią. I jeszcze raz.

I jeszcze.

I jeszcze.

Gdyby tylko potrafił znieruchomieć na odpowiednio długą chwilę, cały świat również by się zatrzymał. Orbita Ziemi. Taniec pływów. Marsz rzek do morza. Krew w żyłach. Wszystko stałoby się jej idealną i ulotną obecnością.

Zatrzymaj tę chwilę. Zatrzymaj. Aż ciszę przerwie gwizd kolejnego pociągu w oddali.

Lydia

Wczesne wieczory w początkach czerwca były jeszcze łagodne i zielone, nie niosły obezwładniającego ciepła lata. Na grobie Trávisa wyrosła nowa trawa. Lydia i Dill siedzieli obok, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć sobie nawzajem i Travisowi. Lydia już nie czuła, że porzuca Dilla, czuła jednak, że porzuca Trávisa. Co wydawało się zarazem gorsze i bardziej irracjonalne.

– Ile zajmie ci podróż? – spytał Dill, wrywając źdźbła.

– Chyba około dziesięciu godzin – odparła, zabijając komara na łydce. Nie cierpiała bezsensownych pogawędek, a już w szczególności z tak ważną dla niej osobą jak Dill. Ale rozumiała, że muszą gawędzić.

– Dasz radę w jeden dzień? – Mina i ton Dilla zdradzały, że on też nie cierpi pogawędek, ale również nie jest gotów, by wypełnić ciszę czymś innym

– Yhy.

– Kurczę. O której wyjeżdżasz?

Westchnęła.

– Pewnie około szóstej.

– Au. A potem zaczyna się twój staż... – Dill delikatnie zdjął biedronkę z ramienia i położył ją sobie na dłoni, by mogła odlecieć.

– W przyszłym tygodniu. Dziewiątego czerwca.

– Wolałbym, żebyś nie wyjeżdżała tak wcześnie.

– Ja też, ale chcę mieć trochę czasu, żeby się rozejrzeć i trochę ogarnąć przed rozpoczęciem stażu.

– Denerwujesz się, że będziesz pracowała dla tej babki z „Chic”? Mówiłaś, że jest przerażająca.

Lydia zaśmiała się smętnie.

– Tak. I tak jest.

Zapadła gęsta cisza. Przez chwilę słuchali stłumionego brzęczenia owadów w koronach drzew, które otaczały cmentarz niczym objęcia. Ostatnie dziesięć dni szkoły minęło jak we mgle, na którą złożyły się praca, oglądanie pociągów, siedzenie pod Kolumną, wycieczki samochodem (Dillowi najbardziej podobało się Graceland) i częste sesje leżenia pod gwiazdami i całowania.

Dill odchylił się do tyłu, wsparty na dłoniach.

– Chyba ciężko będzie z parkowaniem Al Gore’a w Nowym Jorku?

– Ta-a. Sprzedaję go znajomemu Dahlii ze szkoły. Spotkamy się w mieście, zabierze Ala do Stanford. – Poczwała przelotny ból. *Och, daj spokój. Chyba nie zamierzasz rozczulać się w dodatku nad martwymi rzeczami, co? Tego nie było w planach.*

– Sprzedajesz Al Gore’a? Będę za nim tęsknił. – Ton głosu Dilla zdradzał, że jest w podobnym nastroju. *Irracjonalność uwielbia towarzystwo.*

Lydia przeciągnęła dłonią po źdźbłach trawy.

– Ja też.

– Mam nadzieję, że zatrzymałaś rower z balu, mógłbym cię wozić, kiedy przyjedziesz do domu.

– Chyba zdołam przekonać tatę, żeby pożyczał nam swój samochód.

– Ale z rowerem jest większa zabawa.

O tak, Dill. Zgadza się.

Świeliki błyskały między nagrobkami w gasnącym zielonkawym świetle. Cmentarz pachniał ziemią i nagrzanym w słońcu kamieniem.

– Mogliśmy zaplanować jakąś ceremonię – powiedziała Lydia.

– Wtedy musielibyśmy o tym myśleć, a ja nie chciałem o tym myśleć.

– Ja też nie.

Dill wbił wzrok w ziemię. Lydia udawała, że robi to samo, ale tak naprawdę zerkała kątem oka na profil Dilla i lśniący taniec świelików wokół jego głowy. Serce ją bolało, świadome, że każde jego uderzenie odmierza kolejną sekundę dzielącą ich od jej wyjazdu i rozstania.

– Dill? – powiedziała, kładąc dłoń na jego kolanie.

Podniósł wzrok.

– Tak?

– Mam nadzieję, że na zawsze pozostaniemy częścią życia tej drugiej osoby, bez względu na to, dokąd się udamy i co będziemy robić. – *Tylko niech nikt*

mi nie mówi, że odstawiam tandetę, pomyślała, wzdrygając się w środku. W Nowym Jorku na pewno będą miała mnóstwo okazji, by wykazać się chłodem i brakiem sentymentów.

Dill przysunął się bliżej i otoczył jej plecy ramieniem.

– Jeśli ty obiecujesz, to ja tym bardziej. Zайдiesz w życiu dalej ode mnie.

Wsparła głowę na jego ramieniu.

– Nie zakładaj tak. Moim zdaniem przyszłość ma dla ciebie mnóstwo wspaniałych niespodzianek.

– Oby.

– Żałujesz, że my... – zaczęła Lydia pełnym wahania, stłumionym głosem.

– Nie. O cokolwiek chciałaś zapytać. Jeśli o nas chodzi, nie żałuję niczego.

Myślała o wszystkim, za czym będzie tęsknić. Uwielbiała sposób, w jaki przekrzywiał głowę, kiedy z nią rozmawiał, w jaki odgarniał włosy z oczu, w końcu w jaki siedział po turecku, wsparty na dłoniach. Nie zawsze na nią patrzył podczas rozmowy, ale kiedy mówił coś ważnego, spoglądał jej prosto w oczy, a jego wzrok wywoływał mrowienie w jej wnętrzu. I te oczy, płonące i ciemne zarazem. Błyskawica na tle chmury burzowej.

Dziwnie było pomyśleć, że odtąd Dill będzie istniał poza zasięgiem jej wzroku. Ciekawe, czy posiada całkiem inny słownik prywatnych gestów. Może trzyma głowę pod innym kątem. Inaczej siedzi. Może jego oczy lśnią innym rodzajem światła i inteligencji.

Westchnęła ponuro.

– Chyba powinnam pożegnać się z Travisem.

Stanęli przy grobie. Dill położył dłoń na jej ramieniu. Lydia zaczęła coś mówić, ale urwała. Znowu zaczęła. I znów urwała.

– Travis, tęsknię za tobą. – Głos jej drżał. Wzięła głęboki wdech. – I cieszę się, że miałam takiego przyjaciela. Wspomniałam o tobie w przemówieniu na rozdaniu świadectw. Jakiś miesiąc temu odbył się bal, strasznie żałowaliśmy z Dillem, że nie możesz pójść z nami. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy tam, gdzie teraz przebywasz. Może masz fajną pelerynę i super miecz czy coś takiego. Wybacz, nie czytałam zbyt wiele fantasy, nie mam pojęcia, czego ci życzyć. Ale skończyłam *Bloodfall* i naprawdę mi się podobało. Szkoda, że nie możemy o tym pogadać. I przepraszam, że tak ci dokuczałam z powodu kija. Przepraszam też, że wcześniej nie powiedziałam światu o naszej przyjaźni. Przepraszam, że nie wiedziałam, jaką straszną sytuację masz w domu. I przepraszam, że nic mądrzejszego ani głębszego nie przychodzi mi do głowy.

Otarła łzy, odwróciła się i objęła Dilla.

– Czuję wyrzuty sumienia, że go tu zostawiam.

– Ja też.

A potem poszli pod Kolumnę i spędzili razem jeszcze kilka milczących minut. Słuchali, jak płynie rzeka, drążąc powierzchnię Ziemi, tak jak ludzie wzajemnie drążą ślady w swoich sercach.

49

Dill

Wdrodze powrotnej Lydia pozwoliła Dillowi wybrać muzykę. Zaproponował „Love Will Tear Us Apart” Joy Division, ponieważ pamiętał, że to jej ulubiona piosenka. Śpiewali razem, głośno. Dill, ponieważ śpiew wydawał się bardziej akceptowalną formą krzyku rozpaczny – bo tak naprawdę miał ochotę krzyczeć. Tak wiele wysiłku kosztowało go zachowanie kontroli nad sobą, że aż go mdliło.

Zajechali przed dom Dilla.

– No cóż – powiedziała Lydia, a jej oczy napełniły się łzami. – Tutaj chyba wysiadasz.

– Taak. – Dill odchrząknął. – Na to wygląda.

Otworzył drzwi i wysiadł. Okrążył samochód, podszedł do drzwi od strony kierowcy i otworzył je. Lydia odpięła pasy, wyskoczyła i objęła go. Mocno. Mocniej niż kiedykolwiek dotąd.

– Będę za tobą strasznie, strasznie, strasznie tęsknić – powiedziała, po czym zalała się łzami.

– A ja będę strasznie, strasznie, strasznie tęsknić za tobą – odparł Dill i też się poddał.

Obejmowali się kołysząc się lekko, a ich łzy mieszały się i płynęły.

– Zapamiętaj to, Dillardzie Early – wyszeptała w końcu Lydia łamiącym się głosem. – Ty to jesteś ty i jesteś wspaniały, mądry i utalentowany. Nie jesteś swoim dziadkiem. Nie jesteś swoim ojcem. Ich węże to nie są twoje węże. Ich trucizna nie jest twoją trucizną. Ich ciemność nie jest twoją ciemnością. Nawet ich nazwisko nie jest twoim nazwiskiem.

Dill zanurzył twarz w jej włosach. Wciągnął w nozdrza ich woń – gruszka, wanilia i drzewo sandałowe – zbierając się na odwagę. *Przed rozstaniem*

powiedz jej wszystkie tajemne skarby twego serca. Czy jeszcze się nie nauczyłeś, że jesteś nagi? Tańczyłeś ze śmiercią. Co masz do stracenia? Potrafisz wszystko wytrzymać. Wężu. Śmiertelne trucizny. To.

– Kocham cię – wyszeptał jej do ucha.

Lydia objęła go jeszcze mocniej, przyciskając mokry od łez policzek do jego policzka, długo nic nie mówiła. W końcu zaczęła, lecz zaraz urwała. A potem wspięła się na palcach, objęła dłońmi twarz Dilla i przyciągnęła do swojej twarzy.

50

Lydia

Czuła na wargach Dilla smak własnych łez. Przypomniała sobie wyjazd do Nantucket pod koniec lata zeszłego roku i smak soli na języku. Taki smak czuła teraz na ustach, jak koniec lata, który trwał przez całe jej życie.

Ogarnął ją spokój, poddanie, jakby spadała z wielkiej wysokości, ale miała nigdy nie sięgnąć ziemi. Jakby tonęła i nie miała nic przeciwko temu. Jego drżące dłonie błędziły w jej włosach, gładziły kark i plecy. Miała wrażenie, że przenikają całe jej ciało.

I.

I.

Dill

I Ta chwila mogłaby okazać się tą, która wreszcie cię złamie. Ale nie dbał o to. Przyjmował to zniszczenie z radością. Ale i tak musisz pozwolić jej odejść. Musisz patrzeć, jak odchodzi.

W końcu przerwali pocałunek, ale natychmiast złączyli się w kolejnym łapczywym uścisku. Dill nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Godziny. Dni. Sekundy. Znowu położył dłoń na jej karku i po raz ostatni pogładził jej włosy.

– Ocaliłaś mnie.

Przysunęła wargi do jego ucha.

– Sam siebie ocaliłeś. – Niemal straciła głos. Ledwo słyszała ją przez granie świerszczy.

Ponieważ nie mógł znieść przedłużającego się bólu, przerwał objęcia. Nagle o czymś sobie przypomniał. Kazał jej zaczekać, wpadł do domu i zaraz wrócił. Podał Lydii płytę CD.

– Nagrałem dla ciebie kilka piosenek. W razie gdybyś chciała posłuchać w podróży czegoś innego. Utwór „Lydia” też tam jest.

Przycisnęła płytę do piersi. Patrzyli na siebie przez moment, ocierając łzy. A ponieważ nie pozostało do powiedzenia nic więcej i ponieważ zostało do powiedzenia wszystko, pocałowali się jeszcze raz.

– Zadzwoń, kiedy dojedziesz, okej? Żebym wiedział, że wszystko w porządku – poprosił Dill. Słowa więzły mu w gardle.

Lydia kiwnęła głową.

Wsiadła do samochodu. Odpowiedział na jej tęskne machanie, wyszedł na środek ulicy i patrzył, jak tylne światła bledną w oddali i w końcu znikają.

Wszedł po stopniach, usiadł na rozwalającym się ganku i pochylił głowę,

jakby się modlił. Przez mgłę łez dostrzegł napis na kościele. KIEDY JEZUS ZJAWIA SIĘ W TWOIM ŻYCIU, WSZYSTKO SIĘ ZMIENIA.

Po chwili otworzył drzwi. Ale nie był w stanie wejść do środka. Tylko bezkresna przestrzeń obojętnego nieskończonego nieba usianego gwiazdami mogła powstrzymać wzbierający w nim gwałtowny ból.

Lydia

Myślała, że całkiem dobrze sobie radzi, zachowuje się roz sądnie i nie traci głowy z rozpaczy. W sumie rzeczywiście była w całkiem dobrym stanie – unosiła się na fali podekscytowania. Zajechała na parking dla ciężarówek pod Roanoke w Wirginii. Podczas tankowania planowała kolację w towarzystwie Dahlii i Chloe (jakiś bezpretensjonalny lokal, na uboczu, ponieważ Chloe wołała unikać zainteresowania otoczenia, z menu, w którym znalazłyby się pozycje zgodne z dietą bezglutenową Dahlii i zarazem coś etnicznego, ze względu na pochodzenie Lydii z Forrestville). Zrobiła kilka zdjęć do dokumentacji podróży na Twitterze i Instagramie.

Czuła się nieco sennie, więc weszła do środka, by zamówić mocną kawę, odpowiednią dla kierowców ciężarówek. Miejsce stanowiło raj dla wielbicieli południowego kiczu. T-shirty ozdobione wizerunkami orłów w mundurach konfederatów i dewizą „Amerykanin z urodzenia, Południowiec z łaski Boga”. Fartuchy z napisem „Mistrz grilla” i nieudolnym rysunkiem antropomorficznej świnki przypiekającej fragment (przypuszczalnie) innej świnki. Koszulki bokserskie z wizerunkiem południowych stanów w formie żeliwnych patelni. Lydia chwyciła Tennessee. Pstrykała zdjęcie za zdjęciem.

A potem ujrzała główną nagrodę: porcelanowego cherubina trzymającego flagę konfederatów z napisem „Dziedzictwo Nie, Nienawiść” na dole. Lydia zaśmiała się, zrobiła zdjęcie i wysłała Dillowowi, po czym umieściła na Twitterze dla swoich stu osiemdziesięciu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu czterech followersów z komentarzem: „Rasiści: niezbyt, dobrze radzą, sobie z, przecinkami”.

Nagle powróciło pewne wspomnienie. Podczas ostatniej wspólnej wyprawy na zakupy do Nashville Dill pokazał im plakat z napisem WINNICA

DELLA TAZZA, NAJLEPSZA WYTWÓRNIA WIN W ŚRODKOWYM TENNESSEE. Miał talent do wyszukiwania rzeczy, które ją bawiły.

– Kochanie, szukaj moją kurtkę rajdowca i T-shirt z flagą konfederatów. Marzę o szklaneczce przedniego wina z Tennessee – powiedziała wtedy.

I nagle ją walnęło. Jak, hm, ciężarówka. Świadomość, że jedynej osoby, której najbardziej pragnęła pokazać cherubina z flagą i śmiać się z tego, teraz przy niej nie ma. I nie będzie przy większości innych okazji, przy rzeczach, które zobaczy i zrobi przez kilka najbliższych lat. Nagle Lydia zaczęła tęsknić za życiem, które zostawiła za sobą, chociaż nigdy nie przypuszczała, że będzie za nim tęsknić. Tęskniła za Dilem tysiąc razy mocniej, niż przypuszczała.

Rozpadła się. Rozwaliła się na kawałki pośrodku sklepu, pod nieruchomymi spojrzeniami martwych alabastrowych oczu cherubinów, trzymających flagi głoszące wartość dziedzictwa i odcinających się od nienawiści. Wybuchnęła płaczem, takim porządnym, konkretnym, z rozmazanym tuszem, strumieniami łez ciekącymi po policzkach i tak dalej. *I właśnie dlatego pomyślałam, że to bardzo zły pomysł, słuchać twojej płyty w samochodzie. Gdybyś mnie teraz widział, Dill. Gdybyś tylko mnie widział.*

Po minucie czy dwóch zdołała jakoś zebrać się w sobie. Wzięła kawę i koszulkę bokserką i podeszła do lady. Kasę obsługiwała kobieta po sześćdziesiątce o udręczonej twarzy.

– Hej, słonko – powiedziała. – Wszystko w porządku?

Lydia kiwnęła głową, ale okazało się, że kran ze łzami wciąż jest odkręcony. Potrząsnęła głową.

– Żałuję, że przed wyjazdem nie powiedziałam komuś, że też go kocham. To wszystko.

– Cóż, słonko, nawet jeśli mu nie powiedziałaś, to może mu to okazałaś?

– Mam nadzieję – odparła Lydia. Głos jej drżał i łamał się.

– A więc on na pewno to wie. My, kobitki, nie umiemy za dobrze ukrywać takich rzeczy. – Kasjerka uśmiechnęła się lekko i sięgnęła pod ladę. Wyciągnęła pluszowego misia, równie styranego życiem, jak ona sama. – To jest zajazd dla kierowców ciężarówek, często mamy do czynienia z ludźmi, którzy tęsknią za bliskimi i ludźmi, którzy żałują, że czegoś nie powiedzieli przed wyjazdem. Chcesz przytulić Chestera?

Lydia wyciągnęła rękę i przyjęła niedźwiedzia imieniem Chester. Przytuliła go. Pachniał papierosami i tanią wodą kolońską. *Niby czemu nie miałabym zacząć nowego fascynującego życia w wielkim mieście, płacząc w zajeździe*

dla kierowców ciężarówek, otoczona rasistowskimi cherubinkami i tuląc śmierdzącego misia. Może wolałaby przytulić teraz kogoś innego, ale Chester musiał wystarczyć.

Dill

Wstał, kiedy strażnicy wprowadzili ojca. Wbijał w niego swoje płomienne spojrzenie, ale Dill odwzajemnił je spokojnie i nie odwrócił wzroku. Ojciec odsunął krzesło i już chciał usiąść, ale zauważył, że Dill wciąż stoi, więc zmienił zdanie. Patrzyli na siebie przez chwilę, która Dillovi zdawała się wiecznością.

– A więc – powiedział ojciec – musisz wiedzieć, że ja wiem. – W jego głosie brzmiał jadowity spokój.

– Tak.

– Wy tłumacz się.

Dill postanowił zapanować nad drżeniem głosu. Udało się.

– Idę na studia. Zamierzam zmienić swoje życie na lepsze. Nie ma tu co tłumaczyć.

– Porzucasz matkę – ojciec wypluł te słowa jak błuźnierstwo.

– I kto to mówi.

Jadowity spokój ojca zaczął się ulatniać.

– Nie. Ja nie porzuciłem twojej matki ani ciebie. Zabrano mnie od was. A ty porzucasz nas z wyboru, tak jak mnie twój dziadek.

– Nieprawda. Mało brakowało, bym porzucił was w ten sposób, co on. Ale jednak tego nie zrobiłem. – Dill widział po wyrazie, który na moment przybrała twarz jego ojca, że udało mu się przebić, chociaż tylko na sekundę.

Ale zaraz powrócił ogień zielonoświątkowca.

– Łamiesz boże przykazania, nie szanując ojca i matki. Istnieje miejsce wiecznej męki dla tych, co przeciwstawiają się boskim prawom.

– Szanuję cię na tyle, że przyszedłem powiedzieć ci osobiście. To więcej niż zasłużyłeś.

Ojciec pochylił się do przodu, opierając ręce na stole i wbijając spojrzenie w Dilla. Po jego twarzy przemknął wyraz kapitulacji. Dill zdawał sobie sprawę, że czasem musi się on pojawiać, ale nigdy dotąd go nie widział.

– To dzieło tej dziwki, prawda? Twojej małej Dalili. Lydii. Twoja matka mi o niej mówiła. Opowiadała, jak Dalila szepcze ci do ucha.

Dill zagotował się z wściekłości, czuł w ustach jej żelazisty smak. Ale nagle zrozumiał. *On chce właśnie twojej wściekłości. Nie dawaj mu jej. Nie dawaj mu tego, czego pragnie, czym chce cię uczynić.*

– Nie wiesz, o czym mówisz – odparł spokojnie Dill. – Nie masz pojęcia. I szkoda mi ciebie. Nienawidziłem cię. Kiedy myślałem, że mogę stać się taki jak ty, czułem do ciebie nienawiść. Mniej bałem się śmierci niż tego, że mogę się do ciebie upodobnić. Ale teraz wiem, że nigdy taki nie będę, i dlatego wreszcie mogę ci współczuć. – Po tych słowach Dill odwrócił się i wyszedł.

– Upadniesz – zawołał za nim ojciec. – Jesteś skazany na upadek i niepowodzenie. Dillard? Dillard?

Ale Dill nie obejrzał się za siebie.

Doktor Blankenship czekał na parkingu w toyocie prius, której bagażnik ugiął się pod ciężarem zakupów z Trader Joe's.

– Hej, Dill – powiedział. – Gotowy?

Dill kiwnął głową i uśmiechnął się.

– Tak sobie myślę, może zechciałby pan za parę miesięcy odwiedzić mnie na MTSU? Sprawdziałem autobusy, ale byłoby ciężko.

– Jasne. Nie ma problemu. Z przyjemnością ci pomogę.

– Byłoby świetnie. Byłbym bardzo wdzięczny.

– Możemy po drodze zahaczyć o Nashville, gdybyś chciał pożegnać się z tatą.

– Nie trzeba.

Kolejne dni lata zlewały się w jedno, wypełnione pracą niemal na okrągło. Dill nie miał teraz ani jednego przyjaciela, więc nie potrzebował wolnego czasu. W ciągu dnia pracował dla doktora Blankenshipa, nocami zaś w sklepie, na swoim dawnym stanowisku, i oddawał mamie tyle pieniędzy, ile tylko się dało, jednocześnie odkładając oszczędności na czas studiów. Nieliczne wolne chwile poświęcał na pisanie piosenek i rozmowy z Lydią. Dzwonili do siebie codziennie.

Lydia w ciągu dnia była bardzo zajęta w związku ze stażem. Wieczorami pracowała nad rozszerzoną wersją *Dollywould*. Dahlia i Chloe wyłożyły pieniądze na rozwinięcie bloga. Lydia po raz pierwszy współpracowała z zewnętrznymi autorami i rozszerzyła zakres tematów interesujących dla młodych kobiet. Blog był już głośny i zgarniał najciekawsze wywiady ze sławnymi osobami.

Jakiś miesiąc po wyjeździe Lydii niejaka Laydee zobaczyła jedno z nagrań Dilla, które Lydia umieściła na Twitterze. I retweetowała je milionowi dziewięciuset tysiącom followersów. Od tej chwili sprawy potoczyły się bardzo szybko. Kilka tygodni później menedżerka zadzwoniła do Dilla: Laydee chciała umieścić jeden z jego utworów na kolejnej płycie. Tonem sugerującym, że z tantiem będzie mógł sobie kupić nawet kilka podręczników.

Dill czekał w salonie na doktora Blankenshipa, otoczony rzeczami, które zabierał na uczelnię. Walizki ze sklepów z używanymi rzeczami kryjące w sobie wszystkie ciuchy, które posiadał (w tym zawartość paczki, którą przysłała Lydia z Nowego Jorku), komplet pościeli i ręcznik. Plecak z laptopem w środku. Gitara. Notatniki z piosenkami. Omiótł wzrokiem swoje skromne mienie, wciąż nie mogąc się nadziwić, jak niespodziewany obrót przybrało jego życie.

Poprzedniego wieczoru odprawił własną samotną ceremonię pożegnalną przy grobie Trávisa. Zostawił na płycie burgera z Krystal. Następnego wieczoru grał swój pierwszy koncert. Zapowiadała się pełna sala.

Do pokoju weszła matka Dilla w uniformie pokojówki i rozejrzała się dokoła z ponurą miną.

– Widziałam, jaki plan przeznaczył ci Bóg. To nie jest to.

– Jakim niby sposobem widziałaś jego plan? – Starannie unikał pretensji w głosie, chociaż wiedział, że nie spodoba mu się odpowiedź. Nie chciał, by jakaś chmura przysłoniła jego wyjazd na studia.

Kamienna twarz matki nieco złagodniała.

– Kiedy byłeś niemowlakiem, a ja trzymałam cię na rękach i patrzyłam na twoją buzię, Duch Święty mi go objawił. Twoje miejsce jest tutaj. Ciężka praca i proste życie. Pobożne życie.

Dill przeciągnął ręką po włosach i odwrócił wzrok.

– Kiedyś bym w to uwierzył.

Matka drgnęła.

– Już nie wierzysz?

Dill przez chwilę wbijał wzrok w dywan, skupiając się na odbarwionej plamce, która czasem przyciągała jego spojrzenie, kiedy siedział tu z gitarą.

– Ja też mam pewne wspomnienie. Kiedy byłaś w szpitalu i leżałaś w śpiączce po wypadku, lekarz powiedział, że możesz umrzeć. Przez długie godziny siedziałem przy łóżku, trzymając cię za rękę i słuchając, jak maszyny pikają i oddychają za ciebie. Prosiłem wtedy Boga, by cię uzdrowił i pewnego dnia uczynił moje życie lepszym. I tak się stało. Przysłał mi ludzi, którzy sprawili, że nabrałem odwagi i poczułem, że mam wybór. Teraz wierzę, że Bóg daje ludziom wiele dróg, którymi mogą podążać. Nie tylko jedną.

Matka uniosła brwi.

– I uważasz, że wszedłeś na jedną z dróg danych ci od Boga?

– Tak.

Pokręciła głową. Ale nie tak, jakby chciała wyrazić, że się z nim nie zgadza – raczej tak, jakby próbowała opędzić się od słów Dilla. Nie pozwolić im dotrzeć do jej uszu.

– Ten, którego bierzesz za Boga, może być Szatanem ukazującym się pod postacią anioła światła.

Dill uśmiechnął się smętnie.

– Uwierz mi, anioły, które znam, na pewno by mi powiedziały, gdyby to był Szatan.

– To nie jest śmieszne. – Matka odgarnęła z oczu nieposłuszny kosmyk. – Zmieniłeś się.

– A jaki byłem wcześniej?

– Mniej pyszny.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– To, co nazywasz pychą, ja nazywam odwagą.

Splotła ramiona na piersi.

– Rzeczy są tym, czym są. Nieważne, jak je nazwiemy. – Po pełnej wahania chwili ciszy dodała: – Ja też pamiętam coś z czasu, kiedy leżałam w śpiączce. Pamiętam, że ujrzałam piękne światło. Wypełniło mnie ciepłem i miłością. Wiedziałam, że mogę za nim pójść i trafię do lepszego świata, gdzie uklęknę u stóp mego Zbawcy i już nie będę czuła bólu. Ale tego nie zrobiłam. Wróciłam, by się tobą opiekować. Dokonałam wyboru, nie zostawiłam cię i teraz za to cierpię. Ale nie żałuję.

Dill podniósł się i stanął naprzeciw matki. Od dawna był od niej wyższy,

a teraz czuł się tak, jakby górował nad nią niczym wieża.

– Nie wymagam od ciebie zrozumienia. Porusza się we mnie Duch Święty. To znak mojej wiary. Zrobiłem to, by się ocalić.

– Nikt nie może sam się ocalić – odparła z lekką wzgardą.

– Nie twierdzę, że nikt mi nie pomógł.

– Robiłam dla ciebie wszystko, co w mojej mocy, Dillardzie. – Jej głos był złamany, pełen rezygnacji.

– Wiem. Ale to już nie jest dla mnie odpowiednie miejsce i życie. – Chciał jej powiedzieć, jak blisko był wtedy. Jakie to szczęście, że w ogóle jeszcze żyje. Ale nie mógł. O pewnych rzeczach nigdy nie powinna się dowiedzieć.

Matka wygładziła bluzkę i potrząsnęła głową.

– Czy jesteś ze mnie chociaż trochę dumna? – spytał Dill. *Już przecież znasz odpowiedź.*

– Dziewczyny w pracy mówią, że powinnam być.

– Ale czy jesteś?

Wbiła wzrok w podłogę.

– Nie wiem – odparła cicho.

Dill wiedział, że te słowa powinny go zranić. Ale poczuł tylko pełen znużenia smutek. Jak niknący siniec. I rozczarowanie, że odpowiedziała dokładnie zgodnie z jego przewidywaniami. *Nie, nie dokładnie tak. Spodziewałeś się wyraźnego „nie”.*

Matka przerwała ciszę, zabierając kluczyki leżące obok lampy i mówiąc:

– Muszę iść do pracy. – Ruszyła do wyjścia.

– Mamo? – powiedział Dill, nie wiedząc nawet, co właściwie chce powiedzieć.

Zatrzymała się z dłonią na gałce u drzwi, drugą ściskając grzbiet nosa, z pochyloną głową. Nie odwróciła się.

– Kocham cię – powiedział do jej pleców.

Wtedy się odwróciła, bardzo powoli. W jej oczach lśniły łzy.

– Boję się zostać sama – wyszeptała, jakby obawiała się, że normalny ton głosu zburzy jakąś nietrwałą barykadę w jej wnętrzu.

– Wiem. – *Wszyscy się tego boimy.* Dill nieśmiało zrobił krok w przód i objął matkę. Od dawna jej nie obejmował. Czuł kości jej biednego kręgosłupa i ramion. Pachniała podróbką mydła Ivory i proszkiem do prania z żółtego pudełka z napisem „proszek do prania”. Zakryła twarz dłońmi, nie odwzajemniła uścisku.

Kiedy ją puścił, przyłożyła wilgotną dłoń do jego policzka.

– Będę się za ciebie modliła, Dillardzie. – Zabrzmiało to tak, jakby zostawiała go na pewną śmierć gdzieś na pustkowiu. Próbowała się odwrócić i wyjść, zanim Dill dostrzeże łzy spływające po jej twarzy, ale nie zdążyła.

Przez chwilę siedział, gapiąc się w ścianę. Włączył klimatyzację, wyjął gitarę i zagrał, walcząc z klekotem klimatyzatora, aż doktor Blankenship zajechał przed dom przy wtórze klaksonu.

Dill wyłączył klimatyzator i włożył gitarę do futerału. Zrzucił plecak na ramię i ostrożnie chwycił dwie walizki oraz gitarę. I wyszedł w jasne światło poranka, lekki i wolny jak jeszcze nigdy dotąd.

Podziękowania

Z całego serca pragnę podziękować osobom, bez których ta książka by nie powstała. Podziękowania niech przyjmą:

Moi wspaniali agenci: Charlie Olsen, Lyndsey Lessing i Philippa Milnes-Smith. Świetna drużyna z wydawnictwa: Emily Easton i Tara Walker. Isabel Warren-Lynch i jej utalentowana grupa grafików – Alison Impey za niezwykłą wizję artystyczną okładki i Trish Parcell za projekt graficzny. Phoebe Yeh, Samantha Gentry i wszyscy w Crown Books for Young Readers, Barbara Marcus, Judith Haut, John Adamo i cały dział marketingu, Dominique Cimina i dział reklamy w Random House Children's Books.

Moi wspaniali czytelnicy: Joel Karpowitz, Shawn Kessler, Sean Leslie, Heather Shillace, Amy Saville, Jenny Downs, Sherry Berrett, Valerie Goates, Ben Ball i dr Daniel Crosby.

Chłopaki: Jeremy Voros, Rob Hale, James Stewart.

Mój guru: Fred Voros.

Moje fantastyczne szefowe: Amy Tarkington i Rachel Willis.

Lindsay Reid Fitzgerald, za to, że zachęciła mnie do pisania.

David Arnold i Adam Silvera, za przyjęcie mnie do bractwa.

Dr Małgorzata Büthner-Zawadzka, która pierwsza nazwała mnie pisarzem.

Jarrod i Stephanie Perkins, za to, że zawsze służą pomocą i stanowią ogromną inspirację.

John Corey Whaley, który jest wszystkim, czym ja kiedyś chciałbym być. Jedynym, co może konkurować z twoim niesamowitym talentem, jest twoja szczodrość.

Natalie Lloyd, za to, że zawsze mnie rozśmiesza oraz za Midnight Gulch i wszystkie magiczne światy, które jeszcze stworzysz.

Moje Lydie: Tracy Moore i Alli Marshall.

Denise Grollmus, jestem twoim dozgonnym dłużnikiem. Ta książka nie powstałaby bez ciebie.

Moja nauczycielka angielskiego z czwartej klasy, Lynda Wheeler, która

pozwoliła mi uwierzyć, że może kiedyś zostanę pisarzem.

Joe Bolton, za poezję.

Wszyscy uczestnicy Tennessee Teen Rock Camp i Southern Girls Rock Camp.

Wszyscy, którzy mówili, nawet sarkastycznie, że kiedyś powinienem napisać książkę, ponieważ przeważnie nawet sarkastyczne komplementy uznaję za szczerę.

Wszyscy, którzy słuchali mojej muzyki i mnie wspierali. Ta książka nie powstałaby, gdyby nie historie, które zaczęły się jako piosenki. A te piosenki nigdy nie powstałyby bez was.

Miasto Nashville w stanie Tennessee, za to, że nas przyjęło. Zarząd transportu miejskiego, za to, że w waszych autobusach tak doskonale się pisze. Większa część tej książki powstała w autobusach.

Sieć biblioteczna w Nashville, Parnassus Books i Rhino Booksellers w Nashville oraz Riverbank Books w Sparta, za to, że jesteście.

Mama i tata, którzy wpoili mi miłość do książek. Którzy mi czytali. Którzy podrzucali mnie do biblioteki, z ćwierćdolarówką na telefon, bym mógł po nich zadzwonić, kiedy już skończę. Ta książka zaistniała dzięki wam.

Moja piękna żona i wspaniała najlepsza przyjaciółka, Sara. Bez twego wsparcia i zachęty nie napisałbym tej książki ani żadnej innej. Jesteś moim światem. Wnosisz muzykę do mego życia.

I wspaniały syn, Tennessee. Dziękuję, że jesteś idealny i zawsze napełniasz mnie dumą. Nigdy nie zapomnę tych poranków, kiedy obaj pracowaliśmy, każdy nad swoją książką. Miłość zasługuje na pomnik, a ja potrafię budować jedynie pomniki tego rodzaju. I będę budował je dalej, dopóki starczy sił w rękach i umyśle. Kocham was. Dziękuję.

O autorze

JEFF ZENTNER jest piosenkarzem, kompozytorem i gitarzystą, nagrywał wspólnie z Iggyem Popem, Nickiem Cave'em i Debbie Harry. Jeff nie tylko tworzy i nagrywa własną muzykę, lecz również pracuje z młodymi muzykami podczas obozów Tennessee Teen Rock Camp, które zainspirowały go do napisania powieści dla młodych czytelników. Mieszka w Nashville z żoną i synem. *Król Węży* to jego pierwsza książka. Możecie śledzić go na Facebooku, Instagramie i na Twitterze pod @jeffzentner.

Na temat *Króla Węży* Jeff mówi tak: „Chciałem napisać o młodych ludziach, którzy próbują żyć godnie i odnaleźć piękno w zapomnianym, nieciekawym miejscu. Którzy zastanawiają się, co się stanie z ich marzeniami, kiedy przekroczą granicę hrabstwa. Ta książka to list miłosny do tych młodych ludzi i do wszystkich, którzy kiedykolwiek czuli się tak jak oni, niezależnie od tego, gdzie i w jakich okolicznościach dorastali”.

-
- 1 Ok. 500 stopni Celsjusza.
 - 2 Ok. 197 centymetrów i 113 kilogramów.
 - 3 35 stopni Celsjusza.
 - 4 9 kilogramów.
 - 5 20 centymetrów i 45 kilogramów.
 - 6 157 i 197 centymetrów.